

**Anna i Paweł Manczyk**  
**anna@manczyk.net**  
**pawel@manczyk.net**

### **Herbaciane wakacje...**

Po rocznej przerwie... skoro czas wakacji właśnie nastał, to i czas wyruszyć na kolejny podbój Azji.

W tym roku po burzliwych obradach dokąd jechać, do wyboru były 3 miejsca: Sri Lanka, Filipiny i Wyspy Zielonego Przylądka. Ostatecznie wybór padł na Sri Lankę (wyspę słoni:)), tym bardziej że przewodnik o tym kraju leży na półce od trzech lat.

Aha i ważna sprawa po raz pierwszy od 3 lat do ekipy wyjazdowej dołączają jeszcze dwie osoby – Asia i Iwona. Nie wiem jak Paweł wytrzyma na wyjeździe z... trzema nauczycielkami:)):

Lecimy 12 lipca na prawie 4 tygodnie. Bilety kupione. Jeszcze tak nie lecieliśmy. Z Krakowa Aerosvitem do Kijowa, gdzie mamy 4 godziny czasu, następnie Air Arabią (tanie linie lotnicze) do Szardży w Emiratach Arabskich, skąd dalej do Kolombo - stolicy Sri Lanki. Pewnym niepokojem napęła mnie fakt korzystania z 2 linii lotniczych, bo jak jedna nawali, to przepadnie drugi lot... na dodatek co któryś lot Aerosvitu z Krakowa jest albo odwołany albo opóźniony. No ale sezon urlopowy się zaczyna i mam nadzieję, że samoloty będą pełne... No i jeszcze ta tania linia lotnicza, a z nimi to różnie bywa. Choć może z Emiratów Arabskich to solidna firma? i żadne niespodzianki nas nie czekają po drodze.

#### **12.07.2011 (wtorek)**

Budzik dzwoni o 5:30. Cała nasza czwórka wstaje. Przy okazji sprawdzamy na ukraińskiej stronie Aerosvita czy samolot wyleciał z Kijowa do Krakowa. Wyleciał, więc humory nam dopisują. O 6:30 taksówka zabiera nas na lotnisko. Po niespełna 20 minutach jesteśmy na miejscu.

Przy odprawie bagażowej dowiadujemy się, iż jest jednak problem, bo samolot jest spóźniony 15 minut. Za chwile dowiadujemy się, że już godzinę. Paweł sprawdza w internecie przez komórkę, że samolot wcale jeszcze nie wystartował z Kijowa... Ups nieciekawie. Cóż idziemy do odprawy bezpieczeństwa i paszportowej, a potem do naszego gate'u i będziemy czekać na rozwój wypadków. W owej poczekalni około 40-50 osób. Wszystkim zaczyna udzielać się nerwówka, a najbardziej tym, którzy w Kijowie mają przesiadkę. Na dodatek an stornie Aerosvitu podają coraz to późniejszą godzinę odlotu samolotu z Kijowa do Krakowa, a tym samym coraz późniejsza godzina wylotu samolotu z Krakowa. Czas zaczynam nam się skracać. Liczymy o ile może się spóźnić abyśmy zdążyli...

Plan był taki: Lecimy Aerosvitem z Krakowa do Kijowa, wylot 9:05, w Kijowie 10:30 godzina różnicy czasu daje 11:30, co daje 3,5 godziny czekania na lot Air Arabia o 14:55 z Kijowa do Szardży.

A jak wyszło? Samolot o 9:06 polskiego czasu dopiero wyleciał z Kijowa do Krakowa, w Krakowie był 10:30, o 11:00 wylecieliśmy zatem z Krakowa z powrotem do Kijowa. Teoretycznie powinniśmy być w Kijowie o 12:30 plus godzina różnicy czasu daje 13:30 więc powinniśmy jeszcze zdążyć odebrać bagaż, wjechać na Ukrainę, wyjechać z Ukrainy, nadać bagaż na lot do Szardży. Air Arabia napisała na bilecie że check-in zamykają godzinę przed odlotem czyli o 13:55. Dla pewności z Balic wysyłają w naszym imieniu depeszę do Kijowa na lotnisko, która teoretycznie ma nam umożliwić ewentualny check-in po zamknięciu... czyli powinno nam zostać jakieś 15-20 minut, mało, ale do zrobienia. W międzyczasie okazuje się, że z nami leci para w podróż poślubną i też w Kijowie chcą zdążyć na samolot do Emiratów. No to jest nas szóstka. W końcu o 11:15, czyli 2 godziny i 10 minut po czasie samolot startuje. Damy radę. Przed nami 900 kilometrów i 70 minut lotu.

Niestety już sam lot do Kijowa przysparza nam niemiłą niespodziankę, gdyż droga naszego lądowania jest na granicy gigantycznej burzy i z powodu silnego wiatru samolot najpierw krąży

20min nad lotniskiem, a potem ląduje dopiero za 3 podejściem - 2 razy podrywa się w górę będąc już nisko nad ziemią. Jeszcze w życiu nie przeżyłam czegoś tak potwornego, czyli tak dużych turbulencji, że wszystko w samolocie trzeszczy, a samolot raz gwałtownie spada, to się podrywa, co nie służy zołądkowi. A czas nieubłaganie leci. Co chwilę za oknem widzimy te same rozlewiska Dniepru. Kurczę niech ten samolot w końcu wyląduje. Czas zapasu 20 minut już szlag trafił. W tej chwili bramki Air Arabii powinny być zamknięte. Kłopoty te wydłużają nasz przelot do 2 godzin w rezultacie czego, z powodu zamkniętych bramek check-in na lot do Szardży, teoretycznie mamy przed sobą perspektywę 4 tygodni zwiedzania Ukrainy, a nie Sri Lanki. Nagabujemy stewarda, aby powiadomił lotnisko, że 6 osób leci na samolot do Emiratów. Jedyna nadzieja, że nasz kolejny samolot w związku z pogodą ma podobne problemy.

No nic lądujemy. Jest 14:00 czasu kijowskiego (13:00 polskiego), a za 55 minut start naszego kolejnego samolotu. W Kijowie leje. Na płycie lotniska pakują nas w autobus, a ten zamiast odjechać, czeka na bagaż podręczny, który obsługa lotniska donosi po jednej sztuce. Nie ma to jak złośliwość okoliczności i cały czas mamy pod górkę. Na hali lotniska jesteśmy na 45 minut przed odlotem, część z nas biegnie szukać check-inu, reszta czeka na bagaże. Nawet celnicy i pogranicznicy (musimy formalnie wjechać na Ukrainę i z niej wyjechać) patrzą na nas z politowaniem i odpuszczają pytania czy mamy coś do oclenia i jaki jest cel naszej wizyty na Ukrainie. Patrząc na zegarki czekamy na bagaże, uff w końcu są. Teraz bieg w poszukiwaniu check-inu, gdzie powinni być Paweł z owym panem młodym wybierającym się w podróż poślubną. Szukanie stanowiska odpraw jest o tyle utrudnione, że na tablicach informacyjnych widnieje jedynie informacja że 'check-in closed'. No nic, znajdujemy stanowisko, ktoś siedzi jeszcze. W końcu i my docieramy do owego check-inu. Siedzący Ukrainiec mówi tylko, że 'zakryto', ale mimo wszystko dzwoni gdzieś i mówi, że „6 spóźnionych cielewiewkow” jeszcze przyleciało z Krakowa i chcieliby mimo wszystko odlecieć Air Arabią. Pół godziny przed planowanym odlotem nadajemy bagaże. O depeszy wysłanej w naszym imieniu z Balic nikt nic nie wie... Potem bieg do gate'u nr 6, bo do odlotu zostało 15 minut. Kiedy przybiegamy zdyszani, okazuje się, że samolot będzie opóźniony.

Samolot do Szardży odlatuje z prawie godzinnym opóźnieniem (15:55), co również nie jest nam zbytnio na rękę, bo w Szardży też nam się czas na przesiadkę kurczy z pierwotnej godziny do kilku minut. Jednak dalej to już te same linie lotnicze. Najwyżej przerzuca nas na inny lot. Przed nami 4,5 godziny lotu i 3491 kilometrów. Po chwili zaczyna się poczęstunek. Jak fajnie, że jedzenie zamówiliśmy przez internet (bo nie ma w cenie biletu, gdyż to tania linia lotnicza), bo dzięki temu jedzonko – smakowitego kurczaka dostajemy jako pierwsi.

Emocje schodzą powoli z nas i mogę zacząć podziwiać widoki za oknem. Ale nigdy więcej łączonych lotów różnych linii lotniczych. Po 3 godzinach lotu właśnie jesteśmy nad Iranem, czyli zostało 1072 km do Szardży. Gdzieś za chwilę minie pod nami irański Isfahan. Powoli zachodzi słońce, powodując że niebo ma różowo-pomarańczowy odcień.

Po 4,5 godzinach lotu samolot schodzi do lądowania w Emiratach. Jest 21:25 czasu emiratów (+2 do polskiego). Pod nami Zatoka Perska. Mamy tylko 25 minut do odlotu samolotu do Kolombo, jednak zanim opuszczamy samolot mija jeszcze 10 minut. No masakra jakaś. Na płycie lotniska żar – 38 stopni. Jak tu można spędzać wakacje? Autobus szybko podwozi nas do terminalu. Na szczęście po wylądowaniu w Emiratach pełen profesjonalizm. Na terminalu panowie z Air Arabia wyłapują ludzi lecących do Colombo, wszystkim wręczają wydrukowane już karty pokładowe i mówią do którego gate'a biec na dalszy lot. Do samolotu wchodzimy ostatni, teoretycznie 5 minut po planowanym odlocie wszyscy już siedzą na swoich miejscach i czekają na odlot. Ciekawe czy nasze bagaże też zdążyły... zanim samolot startuje z głośników leci modlitwa Allahu Akbar, to tak jakbyśmy zapomnieli, że lecimy arabskimi liniami lotniczymi. Chwila moment i samolot startuje. Paweł właśnie wypatrzył przez okno najwyższy budynek świata Burdż Chalifa w Dubaju o wysokości ponad 800 metrów, inne wieżowce przy nim wyglądają niczym karzełki.

Normalnie nie mogę w to uwierzyć. Udało się, mimo takich przebojów przez cały dzień. Czas teraz na zamówione kanapki. Przesuwam czas o 1,5 godziny i mam czas lankijski 00:45 (+3,5 do polskiego), czyli czas spać. Należy nam się po takim dniu.

**13.07.2011 (środa)**

Przysypiam w samolocie i budzę się co jakiś czas. Kiedy otwieram oczy po raz kolejny jest 3:30 i jesteśmy wysoko w powietrzu, a powinniśmy już lądować. Właśnie kapitan samolotu ogłasza informację, że z powodu silnego wiatru nasze lądowanie opóźni się. W końcu samolot podchodzi do lądowania i... nagle znowu podrywa się do góry, pochylony na bok. Normalnie masakra. Niemiłe uczucie. Tyle razy już lataliśmy i nigdy nie doświadczyliśmy kilku podejść, a tu nie dość, że w Kijowie, to jeszcze na Sri Lance. Po tym manewrze znowu zgłasza się kapitan przepaszając za ten manewr. Odchodzimy na tzw. drugi krąg i samolot rozpoczyna lądowanie raz jeszcze. Sri Lanka z lotu ptaka, to chaos światła obszarów zabudowanych, nie to co nad zatoką Perską, gdzie miasta są na planie kwadratu, a wszystkie ulice krzyżują się pod kątem prostym.

Lądowanie w Kolombo nie należało do łatwych, najpierw omijaliśmy monsunowe burze nadkładając trochę trasy, a następnie wylądowaliśmy dopiero za drugim podejściem z 40 minutowym opóźnieniem. Na szczęście wszystko skończy się dobrze. Jest 4:10 samolot kołuje po pasie do terminalu.

W terminalu szybka odprawa paszportowa, gdzie zamiast wizy wbijają nam pieczęć uprawniającą do 30 dniowego pobytu na wyspie. Potem pędzimy po bagaże. Heh niesamowite, ale są!!! Mimo tak krótkiego czasu w Szardży, obsługa arabskich linii lotniczych nie zawiodła. Nasze bagaże też musiały zdążyć. Kolejny raz przekonuję się, iż linie lotnicze z Zatoki Perskiej pod względem jakości świadczonych usług, to mistrzostwo świata, a zaznaczam tym razem lecieliśmy tanimi liniami...

Wychodzimy z budynku lotniska i szukamy autobusu, którym moglibyśmy dojechać do Kolombo, bo lotnisko Bandaranayake jest oddalone od stolicy jakieś 35 kilometrów. Trafiamy na shuttle bus, który bez opłaty dowozi osoby z lotniska na pobliski dworzec autobusowy. Przesiadamy się na bus do Kolombo. Najpierw jednak trzeba poczekać, aż zbierze się komplet. Nie trwa to na szczęście długo i po kilkunastu minutach ruszamy. No to witaj Sri Lanko!

Sri Lanka to kraj o kształcie zbliżonym do kropli lub łzy i zajmujący powierzchnię 65 610 km<sup>2</sup> (czyli 1/5 Polski), ale za to tak mały obszar zamieszkuje aż 20 milionów mieszkańców. Sri Lanka położona jest w Azji Południowej, na wyspie Cejlon oraz mniejszych przybrzeżnych wyspach. Od Półwyspu Indyjskiego oddzielone jest cieśniną Palk (odległość 50km) i zatoką Mannar. Od zachodu oblewa je Zatoka Bengalska, od południa otwarty Ocean Indyjski. Z matematycznego punktu widzenia Sri Lankę określają skrajne punkty – północny - Thikkam 9°50'N, południowy - Dondra Head 5°55'N, zachodni- Kachchatheevu Island 79°45'E, wschodni - Sangaman Kanda 81°50'E. Stąd jej rozciągłość południkowa wynosi 432km a równoleżnikowa tylko 224km. Linia brzegowa jest słabo urozmaicona i wyrównana, zwłaszcza na południu. Jednak północna część wyspy jest bardziej rozwinięta i posiada kilka głębokich zatok. Wybrzeża są wąskie i najczęściej piaszczyste, w wielu miejscach odgradzone o otwartego oceanu rafami koralowymi, które tworzą płytkie laguny.

Nazwa państwa Sri Lanka, przyjęta w 1972 oznacza w sanskrycie „ośniewający kraj”. Obecna nazwa jest współczesną adaptacją nazwy występującej w Ramajanie, gdzie wyspa znana jest jako Lanka. W Ramajanie wyspa znana jest także jako Lankadweepa (dwepa – wyspa) oraz Lakdiva (diva – wyspa). Późniejszą tradycyjną nazwą była Lankbima. Lak to skrót od Lanka.

Nazwa Cejlon sięga swoim rodowodem sanskryckiego słowa sinha (lew). Sinhala może być rozumiana jako „krew lwa”. Ponieważ na Sri Lance nie występują lwy, nazwa ta mogła odnosić się do lokalnego bohatera, dziadka króla Vijayi. W języku pāli, sanskrycka nazwa Sinhala to Sihalam, wymawiana jako Silam.

Ptolemeusz nazywa Sri Lankę jako Simoundou lub Simundu (prawdopodobnie jako Silundu), która to nazwa upowszechniła się w starożytnym świecie. Ptolemeusz używał także nazwy Palai-Simundu (z gr. palai – stara, lub z sanskrytu jako „miejsce pochodzenia świętego prawa”), jako że w owym czasie wyspa była jednym z głównych ośrodków buddyzmu.

Biorąc pod uwagę pochodzącą z sanskrytu nazwę Sinhala (Ammianus Marcellinus (IV w.)

nazwał mieszkańców wyspy Serandives, natomiast grecki podróżnik Kosmas Indikopleustes (VI w.) nazwał wyspę Sielen Diva (wyspa Sielen). Ta ostatnia została zaadoptowana przez inne języki: łac. Selan, port. Ceilão, hiszp. Ceilán, franc. Selon, hol. Zeilan, Ceilan i Seylon oraz ang. Ceylon, czy w końcu pol. Cejlon. Abu Rihan Muhammad bin Ahmad (X w.) nazwał wyspę Singal-Dip, jednak w języku arabskim przyjęto później nazwę Serendib lub Sarandib, pochodzącą z perskiego Serendip. Nazwa ta użyta została w perskiej bajce „Księżniczka z Serendip”, w której bohaterowie dokonują nieoczekiwanych odkryć i znajdują rzeczy, których nie poszukiwali.

Pośród innych nazw Sri Lanki należy wymienić tamilską İlanare, arabską Tenerism („wyspa rozkoszy”). Wyspa posiadała także popularne określenia: „Wyspa Nauki” (ze względu na to, że była jednym z ważnych centrów buddyzmu), „Łza Indii” (ze względu na swój kształt i położenie względem Półwyspu Indyjskiego) oraz „Perła Oceanu Indyjskiego”.

Odmiana nazwy tego państwa przez przypadki może sprawić pewne trudności, jak i utworzenie rzeczownika określającego obywatela Sri Lanki. Przy odmianie w niektórych przypadkach zachodzi oboczność. Mówimy o Sri Lance. Odwiedzamy zaś Sri Lanke. Obywatel Sri Lanki to Lankijczyk, obywatelka to Lankijka. Przymiotnik brzmi: lankijski.

I jeszcze na początek trochę historii kraju...

Legendarnym protoplastą, dominujących dziś, Syngalezów był książę Widzaja, który przybył na Cejlon z północno-zachodnich Indii i dokonał podboju wyspy (V w. p.n.e.). Następna fala osadników dotarła prawdopodobnie od wschodu z rejonu Zatoki Bengalskiej. Przybysze aryjscy z Indii (gł. Sinhalowie) w ciągu 2 następnych stuleci stworzyli państwo w północno-zachodniej części Cejlonu, na obszarze zwanym Radżarata ze stolicą w Anuradhapurze, która IV w. p.n.e.–X w. n.e. była głównym ośrodkiem politycznym Cejlonu. Pierwsi przybysze z Indii byli prawdopodobnie wyznawcami hinduizmu, ale już w I w. p.n.e. na wyspie był rozpowszechniony buddyzm, który zyskał status religii państwowej, stając się czynnikiem, wokół którego ukształtowała się tożsamość grupowa przybyszy.

Już w starożytności na wyspie były również obecne społeczności drawidyjskie (gł. Tamilowie), które przybyły z południa Indii (najpóźniej od III w. p.n.e.). Od II w. p.n.e. Tamilowie podejmowali próby podboju terenów północnego Cejlonu. W 145 p.n.e. władca tamilski Elara zdobył Anuradhapurę. Po 15-letniej wojnie król Dutthagamani (panował 161–137 p.n.e.), narodowy bohater Syngalezów, pokonał Elarę, odzyskał Anuradhapurę i jako pierwszy władca syngaleski panował na całej wyspie. Od I do VIII w. n.e. syngaleskie państwo na terenie Radżaraty, ze stolicą w Anuradhapurze, było rządzone na przemian przez 2 dynastie — Lambakannów i Morijów, przy czym okresowo władzę nad Anuradhapurą sprawowali Tamilowie z południowych Indii.

Od IX w. nasiliły się inwazje władców południowoindyjskich na Cejlon. Król Radżaradża I włączył do imperium Cólów północny Cejlon, jego syn Radżendra dokonał podboju całej wyspy. Północ Cejlonu ze stolicą w Polonnaruwie pozostała prowincją władców południowoindyjskich do 1070, kiedy Widzajabahu I, jeden z najwybitniejszych władców Cejlonu, ostatecznie przywrócił tam władzę syngaleską, ustanawiając kontrolę nad całą wyspą. Jego następcy nie zdołali utrzymać jedności polit. wyspy; wybuchła wojna domowa, której towarzyszył rozpad struktur państwa. W 1. połowie XIII w. nastąpiła inwazja Tamilów, po której królestwo syngaleskie na obszarze Radżaraty nigdy już się nie podniosło. W XIII w. nastąpił ostateczny upadek Polonnaruwy (1255 przestała być stolicą).

Wobec powtarzających się najazdów z Indii ośrodek władzy przeniesiono na obszary płaskowyżu w centralnej części wyspy. W XIV w. powstało tu królestwo, którego centrum stała się Gampola. W późniejszym okresie stolicę przeniesiono do Senkadagali (obecne Kandy lub Mahanuwara). Na północy wyspy wzrastali w siłę Tamilowie, którzy nigdy nie włączyli się całkowicie w gł. nurt kultury syngaleskiej i stworzyli tu swoje państwo. W 2. poł. XIV w. tamilskie królestwo Dżafny pod panowaniem dynastii Arjaćakrawartich było najpoważniejszą siłą na wyspie. Napór Tamilów z północy wyspy skłonił władców syngaleskich do kolejnej zmiany stolicy — została przeniesiona na zachodnie wybrzeże w okolice Kolombo, gdzie zbudowano fort Dżajawardhanapura, zw. Kotte. W 1415 Parakramabahu VI (1411–66) ustanowił tu stolicę państwa, znanego jako królestwo Kotte. Podporządkował sobie Dżafnę i stał się ostatnim monarchą, który

panował nad całą wyspą.

Na początku XVI w. na Cejlonie istniały 3 rywalizujące centra władzy: Kotte, Kandy i Dżafna. W takich okolicznościach pojawili się na Cejlonie pierwsi Europejczycy. W 1505 dotarła do Kolombo flota Lourenço de Almeidy — syna wicekróla Goa, portugalskiej kolonii w zachodnich Indiach. W 1518 Portugalczycy wzniesli fort w Kolombo i rozpoczęli działalność handlową, rywalizując z cejlońskimi muzułmanami (osiedlili się na wyspie w XIII i XIV w.). W 1521 królestwo Kotte wskutek kryzysu rozpadło się na 3 mniejsze. Portugalczycy udzielili pomocy militarnej formalnym zwierzchnikom Kotte, których wkrótce całkowicie sobie podporządkowali. Ostatni z nich Dharmapala (1551–97) przyjął chrzest i 1580 przekazał swe ziemie we władanie królowi portugalskiemu, czyniąc władcami Cejlonu Portugalczyków, którzy stopniowo rozszerzali swoje posiadłości.

Na początku XVII w. tylko królestwo Kandy utrzymało jedność i niezależność wobec dominacji portugalskiej, stając się ostoją buddyzmu. W 1638 król Radżasinha II (1635–87) zawarł sojusz z Holendrami, którzy zgodzili się udzielić mu pomocy militarnej przeciw Portugalczykom w zamian za monopol w handlu. W 1639–58 wojska holenderskie stopniowo wyparły Portugalczyków z Cejlonu. Holendrzy, ustanowili nowy porządek na wyspie, oddali władcy Kandy część terytorium zdobytego na Portugalczykach, nie pozwolili mu jednak objąć rządów w Kotte. Półtora wieku holenderskiej dominacji na Cejlonie stanowiło okres koegzystencji holendersko-kandyjskiej; tylko raz doszło do otwartej wojny — 1762.

Pod koniec XVIII w. Cejlon znalazł się w centrum zainteresowania Brytyjczyków, którzy 1795–96 dokonali oni podboju Cejlonu, bez trudu usuwając Holendrów. Na mocy pokoju w Amiens (1802) Cejlon stał się częścią imperium brytyjskiego. W 1815 Brytyjczycy opanowali Kandy, wkrótce zaczęli zakładać na obszarach Płaskowyżu Centralnego wielkie plantacje herbaty, kawy i kauczuku; zatrudniali ludność miejscową oraz robotników sprowadzanych z Indii, głównie z Tamilnadu i Kerali (tworzą oni obecnie społeczność zw. Tamilami Indyjskimi). W za rządów brytyjskich działała 1833–1920 Rada Legislacyjną, w skład której weszło 3 Cejlończyków jako przedstawiciele głównych społeczności miejscowych: Syngalezów, Tamilów i Burgherów (potomkowie Portugalczyków i Holendrów).

Na przełomie XIX i XX w. zaczął kształtować się ruch wyzwolenczy, który czerpał inspirację z doświadczeń indyjskich. W 1919 powstał Cejloński Kongres Narodowy domagający się większego udziału w sprawowaniu rządów. Konstytucja z 1920 (z poprawkami 1924) nie przyznawała Cejlończykom żadnej reprezentacji we władzach. Dyskusja o reprezentacji terytorialnej doprowadziła do rozłamu — Tamilowie wystąpili z Kongresu i stworzyli własne organizacje. W 1931 uchwalono nową konstytucję, która wprowadzała m.in. powszechne prawo wyborcze i większy zakres samorządu.

Po zakończeniu II wojny świat. proces wyzwolenia się Cejlonu spod władzy brytyjskiej uległ przyspieszeniu. W wyborach 1947 zwyciężyła syngaleska Zjednoczona Partia Narodowa (ZPN), na czele z D.S. Senanayake. W 1948 Cejlon otrzymał status dominium brytyjskiej Wspólnoty Narodów, jako podstawy ustroju państwa przyjęto system demokracji parlamentarnej i zasady gospodarki wolnorynkowej. W wyborach 1955 zwyciężyła Partia Wolności (PW), pod przywództwem S. Bandaranaike, w koalicji ze Zjednoczonym Frontem Ludowym. Rząd Bandaranaike doprowadził do przystąpienia Cejlonu do ONZ (1955) i do ruchu państw niezaangażowanych (1961), natomiast w gospodarce położył nacisk na państwowy interwencjonizm.

Po nadaniu 1956 językowi syngaleskiemu statusu jedyne go języka urzędowego Tamilowie, którzy zachowali odrębność kulturową (własny język, odrębna religia — hinduizm), podjęli kampanię tzw. obywatelskiego nieposłuszeństwa, domagając się równouprawnienia. Odpowiedzią Syngalezów były pogromy Tamilów (1958) i przyjęcie kolejnych aktów prawnych godzących w ich interesy (ustawodawstwo antytamilskie pojawiło się już wcześniej, m.in. 1948 pozbawiono obywatelstwa cejlońskiego ponad milionową grupę Tamilów Indyjskich). Reformy w duchu buddyjskim podzieliły także społeczność syngaleską. 1959 premier Bandaranaike został zamordowany, a jego miejsce zajęła żona, S. Bandaranaike. W 1965 do władzy powróciła ZPN

(premier D. Senanayake, syn D.S. Senanayake). Próby ożywienia gospodarki nie przyniosły oczekiwanych rezultatów i 1970 rządy objęła ponownie PW z S. Bandaranaike, która skoncentrowała się na reformie rolnej i poszerzeniu zakresu nacjonalizacji. W 1972 parlament przyjął nową konstytucję, która wzmocniła pozycję rządu i poszerzyła jego uprawnienia (ustawy probuddyjskie i antytamilskie pozostały bez zmian). Cejlon został proklamowany republiką, a nazwę państwa zmieniono na Socjalistyczną Republikę Sri Lanki. 1977 wybory wygrała ZPN, która sprawowała władzę przez następne 17 lat. Konstytucja 1978 wprowadziła prezydencki system rządów (prezydent J. R. Jayawardene) i ponowną zmianę nazwy państwa na Demokratyczno-Socjalistyczną Republikę Sri Lanki.

Sri Lanka jest demokratyczno-socjalistyczną republiką w ramach Wspólnoty Narodów. Zgodnie z konstytucją z 16 sierpnia 1978 głową państwa jest prezydent, który stoi na czele rządu i jest naczelnym dowódcą armii. Wybierany jest w wyborach powszechnych maksymalnie na dwie 6-letnie kadencje. Prezydent, spośród członków parlamentu, powołuje premiera i w konsultacji z nim ministrów rządu. Premier zastępuje prezydenta we wszystkich przypadkach uniemożliwiających pełnienie przez niego swojej funkcji. Władza ustawodawcza należy do jednoizbowego parlamentu, do którego wybieranych jest 225 deputowanych na 6-letnią kadencję.

Oficjalną stolicą kraju jest Sri Dżajawardanapura Kotte, do którego przeniesiono parlament w celu zdecentralizowania Kolombo. Wciąż jednak większość instytucji centralnych znajduje się w Kolombo, z którego będą w przyszłości przenoszone. Z racji, że Sri Dżajawardanapura Kotte jest faktycznie jednym z przedmieść Kolombo, zwykle nie jest traktowane jako osobna aglomeracja.

Okolica powoli budzi się do życia. Ludzie czekają na chodnikach na swoje autobusy, młodzież szkolna mimo wczesnej pory (5 rano!) w białych mundurkach zmierza do szkół. Przejazd do Kolombo zajmuje nam godzinę. Co ciekawe kierowca busa pyta dokąd chcemy jechać. Kiedy mówimy, że na dworzec autobusowy, bo od razu zmierzamy do Anuradhapury, zostajemy podwiezieni dokładnie w to miejsce. Na dodatek jeszcze znajdują nam właściwy autobus, który odjeżdża za 5 minut. U biletera w autobusie kupujemy bilety, które kosztują... 5zł za osobę, a trasa liczy 200 kilometrów!!! Punkt 6 rano czerwony rupięć rusza. To nowość, bo w Indiach wcale takie oczywiste to nie było. Początkowo autobus przebija się przez niezatłoczoną stolicę. Ruch bardzo duży. Często stoimy w korku.

Jazda będzie ciężka, bo siedziska wąskie, a na dodatek odległości między siedzeniami to jakieś niespełna 20 cm. Nie da się tak długo siedzieć. Toteż co chwilę muszę prostować moje kolano, wyciągając nogę na naszych plecach leżących w przejściu. Ponadto zmęczenie daje się we znaki. Nasza podróż trwa od wczoraj, więc zmęczenie swoje robi, plus dodatkowo zmiana strefy czasowej. Kostki nóg mam już spuchnięte. Jak wstanę będę miała wrażenie jakbym chodziła na szczudłach, a nie własnych nogach.

W naszym autobusie, co chwilę zmieniają się pasażerowie. Autobus momentami jest zapchany maksymalnie, a podróżni manewrują między naszymi plecakami. My w dziwnych pozach próbujemy co jakiś czas zasnąć. Jednak nie ma o co oprzeć głowy, więc, gdy przysypiamy głowa opada i automatycznie się budzimy.

Ze zmęczenia nawet trudno obserwować świat za oknem. Kiedy autobus wyjeżdża poza stolicę śmiga niczym strzała, aż cud że za chwilę się nie rozsypie. Silnik ryczy niemiłosiernie i wrzyna się w nasze mózgi. Co chwilę odzywają się klaksony pojazdów, równie często jak było to w Indiach. W końcu asfalt znika i jedziemy po bitej drodze. No i teraz to prawdziwa szkoła przetrwania. Autobus podskakuje na każdej dziurze, czy muldzie, a my wraz z nim. Paweł w tym czasie wypatruje przez okno pierwsze małpy i zimorodki.

W połowie drogi zatrzymujemy się na chwilowy postój w drewnianym „sklepiko-barze”. Czas na coca-colę, która ożywia nas na jakiś czas. Zjadamy kanapki, które przygotowałam w Polsce z resztek, które zostały ze śniadania. Teraz są idealne, chociaż początkowo nikt o nich nie chciał słyszeć, abym je robiła na drogę.

Ludzie na Sri Lance podobni do tych w Indiach, może trochę ciemniejsi. Kobiety ubrane w sari, jednak już nie na taką skalę jak w Indiach. Dalej jednak mają piękne włosy – czarne, grube plecione warkocze.

Do Anuradhapury dojeżdżamy o 12:30, po ponad 6 godzinach jazdy. Zostajemy wysadzeni przy głównej ulicy i próbujemy się zlokalizować na planie miasta, aby dotrzeć do miejsca noclegowego. Okazuje się, że musimy przejść jakiś kilometr z kawałkiem. Po drodze doczepia się do nas jakiś Lankijczyk na rowerze, który próbuje nas zaprowadzić do naszego hoteliku Lake View, który wiemy gdzie jest. Jednak gość chce nas odprowadzić, aby od właściciela wycygnąć kasę za przeprowadzenie nas do hoteliku. Taki łatwy zarobek.

W księdze gości odnajdujemy wpis Jacka Stefańskiego, naszego znajomego z Krakowa, który też już od 2 tygodni jest na Sri Lance i jak się okazuje spał w tym samym hoteliku. Lake View, to fajnie miejsce, jednak nie wiem gdzie ten widok na jezioro, skoro nazwa hoteliku właśnie taka. Pakujemy się do pokoi, bo każdy z nas marzy o dwóch rzeczach – aby się wykapać i przespać. Nasz pokój znajduje się na piętrze, ale żeby tam się dostać, trzeba wejść bo wąskich i kręconych metalowych schodach. Dajemy sobie trzy godzinki na drzemkę.

Spotykamy się o 17:00, zamawiamy kolację na wieczór i postanawiamy przejść się na spacer nad pobliskie jezioro. Nie jest to łatwe, bo wszystko zabudowane. Musimy obejść wszystko dookoła od głównej drogi. W pobliskim barze kupujemy bardzo ostre pierożki – samosy. Nadziewane są jajkiem z chili. Musi minąć sporo czasu zanim człowiek ochłonie po zjedzeniu czegoś tak ostrego.

W końcu udaje się nam dojść do jeziora, gdzie co chwilę przelatują nad nami całe stada zielonych papug. Są ich setki. Z krzykiem papuzim lecą od jednej kępy drzew do drugiej. Trafiamy również na nietoperze, które niestety przysmażyły się na drutach wysokiego napięcia. Niestety są pokaźnych rozmiarów i jak zawiesza się na jednym drucie to głową dotykają tego niższego i... jest po nich. W drodze powrotnej idziemy jeszcze na sok mango w butelce. Strasznie podobny do indyjskiej maazy, ale nie jest aż tak słodki. Pychotka, bo jest jeszcze lepszy.

Obok naszego hoteliku, w innym bardziej ekskluzywnym trwa wesele. Dużo gości, rozstawione stoły pod chmurką, muzyka na żywo. Tylko jakoś państwa młodych nie widać. Wszystko dookoła przyozdobione łańcuchami światełek jak na Boże Narodzenie.

Czas coś zjeść. Zamówiliśmy rice&curry, czyli najbardziej znane lankijskie jedzenie. Ciekawe czy będzie tak ostre jak w Indiach. Właściciel hoteliku przynosi nam potrawę. Najpierw ładują talerze z toną ryżu, po czym kolejne miseczki z kurczakiem w sosie curry, cieciorką, fasolką cukiniopodobnym warzywem, do tego chrupkie placki papadam. Jedzenia jest tak dużo, że nasza czwórka nie jest w stanie tego wszystkiego zjeść. No po prostu nie ma szans. Wszystko smakuje wybornie. Jest ostre, ale nie tak, że wykręca. Czuć smak tego co się je. Właściciel ogólnie z przygotowaniem jedzenia przesadził. A wszystko to za około 50zł za cztery osoby. Postanawiamy jutro też tu zjeść.

Po kolacji idziemy spać, bo jutro zaplanowaliśmy dość wyczerpujący dzień z pobudką o 6 rano. Nie wiem jak wstaniemy, bo to przecież według polskiego czasu 2:30 w nocy...

## **14.07.2011 (czwartek)**

Wrr.. budzik dzwoni o 6:10. Nie jest nawet źle, wczorajsza drzemka, plus wczesne pójście spać przynosi efekt. Zbieramy się z hoteliku i idziemy do głównej drogi szukać transportu do Mihintale. Jest nawet przystanek autobusowy i po kilkunastu minutach już jedziemy. Nie jest to daleko i trasa zajmuje nam pół godziny.

Jest jeszcze wcześniej i budki sprzedawców wszelkiego rupiecia w Mihintale dopiero się rozkładają. Przed nami do pokonania 1840 schodków.

Legenda mówi, że to właśnie tu indyjski misjonarz Mahinda w 247 r. p.n.. spotkał króla Dewampiję Tissę i nawrócił go na buddyzm. Nazwa Mihintale dosłownie oznacza „wzgórze Mahindy”. Władca z 40-tysięcznym orszakiem ścigał jelenia koło szczytu wzgórza, gdy nagle zobaczył jakiegoś człowieka w mnisiej szacie. Był to Thera Mahinda, wysłany przez swojego ojca, cesarza Aśokę z misją szerzenia nowej wiary na Cejlonie. Mahinda, aby sprawdzić, czy król będzie

w stanie pojąć niuanse buddyzmu posłużył się słynną zagadką o mangowcu. Gdyby król nie zdał egzaminu, być może Sri Lanka byłaby dziś całkiem innym krajem. Syngalezi żarliwie przyjęli nową wiarę i wkrótce cała wyspa praktykowała buddyzm, podczas gdy na subkontynencie indyjskim nauka Oświeconego cieszyła się mniejszym powodzeniem.

Wchodzimy do góry. Trochę czasu nam to zajmuje, ale na szczęście nie jest gorąco jeszcze. Przed nami Kantaka Centija, do której idziemy w cieniu drzew gigantycznie długimi schodami. Zostały one zbudowane za panowania Bhathiki Abhai (22 r p.n.e.), a dopiero później poprowadzono brukowaną drogę na skróty. W pierwszym ciągu schody stopnie są szerokie i płytkie, dostosowane do spokojnego kroku i oddechu, niezbędnego do medytacji. Przy końcu pierwszych schodów znajduje się pochodząca z II w. p.n.e. świątynia Kantaka Centija. Jest to jeden z najwcześniejszych zabytków religijnych na wyspie. 130 metrowa podstawa składa się z trzech stopni z ciosanego kamienia. Stojąca na niej kopała, dziś przypomina bezładną stertę kamieni i cegieł.

Drugi ciąg schodów prowadzi do pozostałości monastycznych gmachów. Przy wejściu do domu relikwii Dhatu Ghara umieszczono tablice Mihintale – pokryte inskrypcjami dwie kamienne płyty, na których uwieczniono regułę stanu mnisiego. Członkowie zakonu dyskutowali nad ważnymi sprawami w Sali Zebrań, a pożywiali się w Refektarzu, usytuowanym na centralnym dziedzińcu. Za nimi stoją dwie potężne kadzie na żywność, każda wydrążona z jednego kamienia. Mówi się o nich ryżowe czółna, ponieważ kształtem przypominają dłubanki. Pobożni świeccy ludzie kiedyś napełniali je ryżem ofiarowanym mnichom.

Trzecie schody, wąskie i strome są odpowiednikiem duchowego wstąpienia na szczyt. Prowadza na wyżej położony płaskowyż, gdzie czarująca biała dagoba Ambasthala znaczy miejsce, gdzie Mahinda zaskoczył króla Dewanampiję podczas polowania i zadał pytanie o mangowiec. Dagoba Drzewa mangowego przypuszczalnie została wzniesiona dokładnie w tym punkcie, w którym stał Mahinda, miejsce, w którym stał król, wskazuje dzisiaj jego posąg. Mędrzec Mahinda wygłosił swoje pierwsze kazanie na pobliskiej Skale Zgromadzenia. Z płaskowyżu we wszystkie strony rozchodzą się szlaki do innych miejsc kultu.

Widoki z samej góry są piękne. Dookoła harczą małe makaki i langury. Trzeba uważać, aby na dzień dobry czegoś nam nie ukradły. Wspinamy się na platformę widokową, gdzie jest straszny tłum pielgrzymów. Na ścieżce jest miejsce tylko na jedną osobę, a ciągną dwa sznury ludzi jeden na górę, drugi na dół. Na dodatek w pewnym momencie trzeba zejść po barierkach i tu się korkuje, bo jak w końcu tłum rusza z góry, to nikt nie wejdzie na górę.

Wszędzie chodzimy boso, bo w świątyniach jest zakaz noszenia butów. Mamy ze sobą skarpetki, które umożliwiają lepsze chodzenie po kamyczkach, a ponadto w miarę silniejszego słońca, posadzki przy świątyniach nagrzewają się. Owe skarpetki to podobno wymysł Japończyków. Co już nam się podoba, bo pomaga.

W drodze powrotnej na schodach już rozstawione są mini straganiki z pamiątkami religijnymi, owocami i kwiatami. Schodząc dostaję od jednego ze sprzedawców lilie wodne. Lilia wodna symbolizuje życie i oświecenie Buddy – kiełkuje w mule na dnie jeziora, wypuszcza pąk, który rośnie i zakwita w promieniach słońca. Zwinięty pąk można kupić u wielu sprzedawców. Następnie rozłożyć płatki i zanieść w darze do świątyni. Buddyjskie świątynie toną od kwiatów lilii.

O 10 łapiemy busa z powrotem do Anuradhapury i o 11 jesteśmy z powrotem w naszym hoteliku, gdzie jemy śniadanie, a które składa się dość ostry omlet jajeczny i całkiem smaczny chleb. Po śniadaniu bierzemy riksze i jedziemy do banku wymienić pieniądze. Okazuje się być zamknięty, kolejny też. Okazuje się, że dzisiaj jest święto Pooja, czyli Pełni Księżycy i wszystkie instytucje publiczne są zamknięte. Kierowca rikszy wiezie nas do jubilera, który również handluje walutą. Hmm wygląda to trochę podejrzanie. Schodzi się kilku Lankijczyków. Dla świętego spokoju liczymy pieniądze kilka razy. Wszystko jest w porządku. A kurs lepszy niż w banku.

Następnie nasza riksza jedzie z nami na 5 godzinny objazd zabytków Anuradhapury. Anuradhapura to miasto o najbogatszych korzeniach historycznych na całej Sri Lance. Stało się stolicą, za czasów króla Pandukabhaya, czwartego władcy Sri Lanki. Nazwa Anuradhapura pochodzi od imienia Anuradha, ministra króla Pandukabhaya, odpowiedzialnego za budowę. Słowo „pura” oznacza „miasto”, mamy więc do czynienia z Miastem Anuradha. Mimo, że niektóre źródła



historyczne wskazują, że miasto zostało założone około 400 roku p.n.e., aktualne dane archeologiczne wskazują, że osada mogła tam istnieć już nawet w 1000 roku p.n.e., zaś wiadomo, że w roku 300 p.n.e. miasto było jednym z 10 największych na wyspie. W tym czasie do Sri Lanki przybył buddyzm i rozpoczęła era wielkich budowli, w tym również gigantycznych kompleksów klasztornych. Niektóre z nich należą do najwyższych budynków, które zbudowano na świecie w czasach starożytnych. Na ten okres datowane jest również rozpoczęcie nawadniania pól ryżowych i doprowadzanie wody do miasta.

Anuradhapura to jedna z trzech starożytnych stolic Sri Lanki, która wraz z Polonnaruwą, i Kandy pełniły one kolejno funkcję stolic, a dziś wyznaczają tzw. Kulturalny Trójkąt. W jego środku oprócz Dambulli znajduje się także skała Sigiriya. Wszystkie są wpisane na Listę UNESCO.

Anuradhapura zachowała status stolicy kraju do roku 1017. Upadek jego potęgi związany był z wojną i ciągłym napływem emigrantów z Południowych Indii. Miasto zostało zdobyte przez najeźdźców z Indii właśnie w 1017 roku. Stolica została wówczas przeniesiona do Polonnaruwa. Zniszczenia w mieście i jego skomplikowanym systemie nawadniania były tak wielkie, że aglomerację całkowicie opuszczono. Dopiero w 1800 roku Brytyjczycy ponownie założyli tam osadę. Dzisiaj stare miasto to głównie ruiny. Główną atrakcją zarówno dla turystów z kraju jak i z zagranicy, jest święte drzewo Sri Maha Bodhi, który jest najstarszym posadzoną przez ludzi drzewem na świecie. Zostało zasadzone w 288 roku p.n.e. W 1982 roku miasto Anuradhapura wpisano na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO.

Anuradhapura to dawna stolica Syngalezów, w której możemy nabrać wyobrażenia o wspaniałościach ich starożytnego królestwa. W czasie czternastu stuleci jej rozwoju na tronie zasiadało tam dobrze ponad stu monarchów. Stworzyli oni gigantyczny kompleks pałacowo-świątynny, w którym w dziesiątkach klasztorów rezydowało kilkadziesiąt tysięcy samych tylko mnichów. Szacuje się, że miasto mogło zamieszkiwać nawet 2 mln ludzi. Po upadku Anuradhapury w XI w. jej architektoniczne cuda pokryła dżungla, aż do XIX w., kiedy to dla świata odkryli je Brytyjczycy. To historia niemal analogiczna do dziejów kambodżańskiej stolicy Khmerów Angkor, wprawdzie późniejszej, ale też opuszczonej, też pochłoniętej przez dżunglę i też odkrytej po wiekach. Co więcej, obie metropolie rozwinęły się dzięki umiejętności panowania nad wodą – wspaniałym obiektem irygacyjno-nawadniającym, sztucznym zbiornikom i kanałom połączonym w przemysłne systemy. Większość opadów północ wyspy dostaje bowiem w czasie kilku miesięcy monsunu. Sztuką było zatem schwytać ten nadmiar i zachować go na miesiące suche, a mieszkańcy Cejlonu uzyskali w niej nadzwyczajną biegłość.

W szczytowym okresie rozwoju było tu kilkadziesiąt klasztorów skupiających dziesiątki tysięcy mnichów. Miasto przez 1400 lat było miastem stołecznym.

Jedziemy riksą mijając coraz to większe tłumy pielgrzymów ubranych na białą. Zmierzają do najważniejszych świątyń – piechotą, ciężarówkami, autobusami. Przed świątyniami na trawnikach tysiące ludzi niczym na wielkim pikniku. Dzisiaj jest święto puja- pełni księżyca. Dzień Asanha Puja upamiętnia powstanie trzech klejnotów buddyzmu, czyli samego Buddy, Jego nauki oraz Jego uczniów. Dzień ten przypada na około 15 dzień przybywania księżyca, ósmego miesiąca kalendarza księżycowego (lipiec). Dzień ten jest rocznicą wygłoszenia przez Buddę pierwszego kazania do jego pierwszych pięciu uczniów, które odbyło się w jelenim parku w mieście Benares ponad 2500 lat temu.

Buddyści z całego kraju obchodzą ten dzień składając ofiary i stosując się do zasad buddyjskiej moralności. Niektórzy z nich udają się do świątynni w celu złożenia ofiary i ofiarowania mnichom różnych dóbr najczęściej są to „Patjai 4” czyli 4 niezbędne rzeczy tj. ubranie, jedzenie, leki oraz schronienie. Wierni słuchają też kazań by oczyścić swoje umysły. Dzień Asanha Puja przypada na dzień poprzedzający rozpoczęcie się buddyjskiego postu, który przypada na pierwszy dzień ubywania księżyca, ósmego miesiąca księżycowego.

Tradycja buddyjskiego postu, czyli trzy-miesięcznego okresu pory deszczowej wywodzi się z czasów wczesnego buddyzmu starożytnych Indii. Wtedy to wszyscy kapłani, mędrcy i żebracy osiedlali się na, coroczny 3-miesięczny okres pory deszczowej, w jednym miejscu. Chcieli oni uniknąć niepotrzebnych wędrówek w tej porze, gdy plony zaczynały kiełkować, by przypadkowo

nie nadebrać na młode, dopiero rozwijające się rośliny. Budda polecił swoim uczniom by również stosowali się do tej prastarej tradycji, tak więc jego wierni, na czas pory deszczowej, poczęli zbierać się w grupy i organizować proste obozowiska. Buddyjski post obchodzi się przez 3 księżycowe miesiące, co równa się większości część pory deszczowej. Obrzędkiem praktykowanym w dniu rozpoczęcia się buddyjskiego postu jest wręczanie mnichom specjalnych „postnych” świec. Czynią to indywidualne osoby jak i całe organizacje, szkoły i uniwersytety, idąc w kolorowych procesjach do pagód w celu podarowania tychże świec. Niektórzy buddyści na czas buddyjskiego postu, poczynają pewne postanowienia jak np. wstrzymanie się od picia alkoholu lub rzucenie palenia.

Podczas Asanha Puja ludzie przychodzą do świątyni z kwiatami, świeczkami i kadzidełkami. Przed procesją zapala się świeczkę i kadzidełko, a gdy mnisi wyjdą na zewnątrz świątyni, wszyscy ruszają za nimi. Procesja okrąży świątynię 3 razy, aby na końcu, złożyć kwiaty, kadzidełko i świeczka dookoła świątyni, oddać hołd buddzie i poprosić mnichów o błogosławieństwo.

Gdziekolwiek się nie ruszymy, tłum ludzi. Jest też wojsko, które czuwa nad bezpieczeństwem wszystkich pielgrzymów.

Jedziemy najpierw zakupić bilety, a potem riksza wiezie nas od świątyni do świątyni. Używamy w każdej skarpetek, bo posadzki są niczym rozżarzone węgle i palą stopy. Lankijczycy przy dźwiękach muzyki niosą materiał w balach, który jest rozwijany a miarę dołączania się kolejnych pielgrzymów. Ten materiał trafia potem pod dagoby, gdzie wielka świątynia jest nim obwijana. Przy wielu świątyniach są miejsca, gdzie pielgrzymi zawiązują małe fragmenty kolorowych materiałów, które potem powiewają na wietrze. Wszędzie też pełno lilii i unoszącego się zapachu kadzideł. Odpowiednie służby świątynne na bieżąco wynoszą nadmiar kwiatów, aby kolejni pielgrzymi mogli składać następne.

Dagoby Anuradhapury z powodzeniem rywalizują pod względem rozmiarów z piramidami w Egipcie. Dagoba jest najważniejszym symbolem wczesnego buddyzmu na Cejlonie. Wewnątrz tradycyjnie kryją się relikwie Buddy, lub innych świątobliwych osób, pełniących funkcję fizycznych symboli buddyjskiej wiary, choć większość jest pusta. Popularne wyjaśnienie mówi, że sam Budda, kiedy Go zapytano, jaki kształt powinien mieć pomnik wiary, złożył swój płaszcz w kostkę i umieścił na nim odwróconą do góry dnem miskę żebracza, dodając na szczycie laskę, z którą wędrował. W interpretacji metafizycznej dagoba reprezentuje półkolisty kosmos ze strzelistą iglicą prowadzącą w górę, ku nirwanie. Dagoby na Sri Lance, stupy w Indiach, czedi w Tajlandii, pagody w Chinach i Japonii pozostają kwintesencją architektury buddyjskiej.

Najpierw oglądamy dagobę Dżetawanarama. Jest to największa dagoba w Anuradhapurze o średnicy przy podstawie 113 metrów. Wysoka na 122 metry kopuła spoczywa na masywnym ceglany fundamentie wspartym na potężnej betonowej ławie. Mimo ułamanej iglicy nadal jest największą na świecie konstrukcją z cegieł. Do budowy zużyto aż 93 mln sztuk. Otoczony murem teren świątynny zajmuje 3 hektary. Z każdej z czterech stron świata król kazał wybudować na dagobie ozdobną fasadę. Tutaj też odwiedzamy niewielkie muzeum z ceramiką i biżuterią pochodzącą sprzed wieków.

Kolejna dagoba to Abhayagiri mimo tego że znacznie mniejsza robi wrażenie chyba ze względu na swój stan. Zbudowana w I wieku p.n.e. była centrum monastycznym dla 500 mnichów. Nazwa oznacza „nieustraszony Giri” i odnosi się do dzinijskiego mnicha, który podpadł królowi Valagambahu I. Dagobę zbudowano w miejscu, gdzie zginął. Po rekonstrukcji dokonanej przez króla Parakramabahu I dagoba miała ponoć 100 metrów wysokości, ale dziś ma tylko 75 i jest trochę zarośnięta. Obecnie w trakcie rekonstrukcji, która przywróci jej dawny blask. W otoczeniu świątyni znajduje się Budda Samandhi – Budda medytujący – wykonany z wapienia. Tutaj też ciągną pielgrzymi z liliami wodnymi. Nieco dalej znajdują się Bliźniacze Baseny, które mogły powstać na zamówienie klienta o wyszukany guście. Wbrew nazwie nie są one identyczne – jeden jest o 12 metrów dłuższy. Proporcje zostały starannie obliczone, tak aby ich doskonałość równoważyła brak zdobień. Jeszcze dalej leży wspaniały księżycowy kamień, tworzący próg do Pawilonu Królowej w pałacu króla Mahasena. Do najbardziej charakterystycznych cech syngaleskiej sztuki należy kamień księżycowy – ozdobna półkolista płyta polerowana z granitu, ułożona na ziemi tuż przy ważnej świątyni. To rodzaj duchowej wycieraczka, ma za zadanie

oczyścić i skupić myśli ludzi wstępujących do sanktuarium. Półpierścień najczęściej zewnętrzny, zawiera płomień (symbolizuje żądze), potem pas przedstawiający cztery zwierzęta słońca (narodziny), konia (starość), lwa (choroba), byka (śmierć). Wokół nich wija się pnącza (lub węże), reprezentujące przywiązanie do życia oraz widnieją gęsi, symbolizujące czystość. Po przekroczeniu tych pasów wstępuje się na odległy koniec kamienia, gdzie wyrzeźbiony lotos nawiązuje do osiągnięcia nirwany. Zostaje zaczepiona przez jednego Lankijczyka. Pyta skąd jestem, w odpowiedzi na to, że z Polski z dumą obwieszcza, że pochodzi ze... Sri Lanki.

Czas jechać dalej. Trafiamy do stupy Lankarama, zbudowanej w I w p.n.e. i otoczonej kolumnami różnej wysokości. Następnie swoje kroki kierujemy do świątyni Thuparamaja. Est mała, ale dla buddystów święta. Wierni uważają, że złożono w niej prawy obojczyk Mistrza. Budowla jest XIX wieczną rekonstrukcją. Otaczają ją kamienne kolumny (konstrukcja spotykana tylko na Sri Lance). Rozmieszczono je w czterech koncentrycznych kręgach, według malejącej wysokości. Ozdobiono je gęśmi, ptakami symbolizującymi ochronę. Tutaj wręcz pielgrzymi zakorkowali możliwość obchodzenia dookoła świątyni.

Gigantyczne białe sklepienie wyłaniające się z zieleni drzew to Ruwanwalisaja, zwana też Wielką Stupą (Maha Thupa). Wzniósł ją król Mahawamsa pomiędzy 161-119 r. p.n.e. Podobno zainspirowała go bańka mydlana unosząca się na powierzchni wody. Do budowy wykorzystano tysiące ton kamienia i 100 milionów cegieł, lecz mimo tak wielkiego ciężaru materiałów osiągnięto wrażenie lekkości – na zewnątrz widać tylko białą farbę, która wydaje się cieniutką powłoką zamykając ukrytą w środku pustą przestrzeń. Stupę otacza zastęp pełnowymiarowych rzeźbionych słoń (niestety dzisiaj to już repliki oryginałów), stoją wzdłuż białego murowanego ogrodzenia. Słoniowy mur wywiera ogromne wrażenie, ale ma także znaczenie symboliczne. Zwierzęta wydają się podtrzymywać platformę dagoby, tak jak w buddyjskiej mitologii podpierają Ziemię. Symboliczną wymowę mają też wszystkie inne elementy świątyni. Kopuła reprezentuje niebiosy, ale można ją interpretować jako głowę Buddy. Stożkowa sterczyna to wymyślne skupienie parasoli będących oznaką królewskości, a zarazem przypomnienie płomienia wieńczącego głowę Buddy, oznaczającego Oświecenie. W środku kopuły kryje się komnata ze świętymi relikwiami buddyzmu. W zewnętrznym murze ogrodzeniowym każda z czterech stron świata jest zaznaczona budynkiem bramnym. Pielgrzymi w białych szatach okrążają gigantyczną kopułę boso (zgodnie z religijnymi wymogami) po rozgrzanych przez palące słońce kamieniach, nie to co my w skarpetkach. Składane są w tym czasie kolejne pęki lilii wodnych i zapalane są kadzidełka. Natomiast na wietrze powiewają kawałki materiałów, zawieszane przez pielgrzymów do specjalnie ustawionych rusztowań.

Idziemy z dagoby pod świątynię drzewa Bo wraz z tłumem pielgrzymów. Co chwilę słychać muzykę, albo widać innych pielgrzymów jedzących posiłek na trawnikach. Jakas dziewczynka chwyta mnie za rękę i przez dłuższy czas idzie ze mną, ku rozbawieniu miejscowych. W Anuradhapurze znajduje się jedno z najbardziej świętych miejsc dla Buddyizmu. Śri Maha Bodhi - święte drzewo Bo. Ludzie przybywają w to miejsce, ponieważ tutejsze drzewo Bo zostało wyhodowane ze szczepki dokładnie tego figowca, pod którym medytujący Budda doznał Oświecenia. Sadzonkę na wyspę przywiozła córka króla Indii – Asioki, Sanghamitta, wypełniając misję szerzenia buddyizmu na Cejlonie. Jest to najstarsze z udokumentowaną historią, drzewo na świecie. Wierni dbają o nie pieczołowicie od 23 stuleci. Pielęgowali je nawet w okresach, gdy miasto ulegało podbojom Tamilów. Szczepy pobrane ze świętego figowca posadzono w świątyniach na całej wyspie i wielu zakątkach świata. Dzisiaj sędziwe drzewo wspiera się na żelaznych podporach i jest otoczone złożonym płotem. Przez 2 310 lat swego życia fikus wypuścił liczne odrośla, które dziś rosną na dziedzińcu jako samodzielne drzewa. Wokół drzewa powiewają kolorowe proporczyki modlitewne, mocowane przez pielgrzymów. Dominuje biały – to prośby o dziecko. Niebieskie i czerwone zawieszają studenci i uczniowie, prosząc o powodzenie na egzaminach. Co miesiąc w czasie pełni księżyca (święto poya) ściągają tu ponad milion wiernych. Dziesiątki pielgrzymów modlą się dookoła całego kompleksu. Pielgrzymują w to święte miejsce z całego kraju, całymi rodzinami a często również z innych państw, przynosząc różnorodne dary. Odświętnie ubrani ludzie śpieszą do otaczających je kaplic z tacami pełnymi kwiatów lilii wodnych

i pękami kadzidełek. Niektórzy niosą kiełkujące orzechy kokosowe – to prośba o obdarzenie potomstwem. Każdy z pielgrzymów chce dotknąć konarów głównego drzewa. Miejsce jest niesamowite. Gdziekolwiek człowiek się nie obejrzy wyrasta kolejne drzewo Bo, a wszystko z jednego korzenia.

Jesteśmy już zmęczeni i czas wracać do hoteliku. Wracamy nad jezioro w pobliżu którego umówiliśmy się z kierowcą rikszy. Liczne sztuczne zbiorniki utworzone przez starożytnych Syngalezów przez prawie dwa tysiące lat pozwalały nawadniać pola. Wokół Anuradhapury znajdują się trzy z najstarszych takich jezior. Główną część rocznych opadów region otrzymuje podczas opadów monsunu, dlatego tak ważne jest by zatrzymać jak najwięcej deszczówki i zachować na zapas, na czas suszy. Większość pradawnych kanałów nawadniających nadal dostarcza wodę do pól ryżowych. Do zbiorników w Anuradahapusrze należą Basawakkulama tank utworzony w IV w p.n.e., Tissa Wewa, dzieło króla Dewanampii Tissu (tafla jeziora ma 65ha powierzchni, a woda dociera z odległego o 85km zbiornika przepływając przez 70 innych) oraz Nuwara Wewa – największy zbiornik utworzony w II w p.n.e. o długości 7 km i głębokości 12 metrów.

Wracamy obok jeziora. Słońca powoli zachodzi, a pielgrzymi masowo biorą kąpiel w jeziorze, po całym dniu modlitw i odwiedzaniu kolejnych świątyń.

Po powrocie do hoteliku czas na odpoczynek. Niektórym zachciało się piwa... ale niestety nic z tego. Właściciel nie sprzedaje alkoholu w święto puja. Nawet później jesteśmy świadkami, jak przychodzi 3 mężczyzn, którzy stanowią kontrolę, czy w miejscach hotelowych nie sprzedaje się w tym dniu alkoholu.

Nasz właściciel serwuje nam kolację. Znowu tona ryżu z kurczakiem, której nie udaje nam się zjeść, mimo szczyrych chęci. Jest to ponownie rice&curry ale dzisiaj z innymi sałatkami – ziemniaki w sosie curry, kapusta oraz ogórki, a także moje chrupkie papadam. Najadamy się niczym baki, siedzimy jeszcze chwilę na tarasie i idziemy spać.

## **15.07.2011 (piątek)**

Pobudka o 7:30. Po raz drugi wstaje się dobrze, czyli nie ma za bardzo skutków ubocznych zmiany strefy czasowej. O 8 zjadamy się śniadaniem w naszym hoteliku, choć zamiast omletu właściciel zaserwował nam dzisiaj jajka sadzone, których nie znoszę, ale są jeszcze smaczne grzanki i obowiązkowo talerzyk z owocami.

Po śniadaniu zabieramy plecaki i idziemy na dworzec autobusowy. Akurat mamy autobus, ale w tanim gruchocie (za 83 rupie) brak wolnych miejsc, więc jedziemy busikiem z klimą za 200 rupii. Przed nami 70 km do Dambulli. Busik mknie niczym strzała i po godzinie i 20 minutach jesteśmy w centrum Dambulli. Tu bierzemy tuk-tuka i podjeżdżamy do jaskiń. W pobliskiej restauracji zostawiamy nasze plecaki, oczywiście za opłatą. Nie sposób nie zauważyć olbrzymiej postaci Buddy, górującej nad okolicą. Wzniesiony w 2001 roku, 30 metrowy Złoty Budda (Golden Budda), wygodnie zasiadający na świątyni Golden Temple, jest jedną z największych figur Oświeconego na świecie, ale nie on jest główną atrakcją, która przyciąga tu tłumy wizytatorów. Jego złocona, kiczowata forma nijak się bowiem ma do kompleksu świątyń jaskiniowych, objętych patronatem UNESCO. Zakupujemy bilety i ruszamy, mijając stragany z kolorowymi napojami, minerałami wątpliwej oryginalności, a także owocami głównie pokrojonymi mango. No i niestety znowu trzeba pokonać masę schodów... Po drodze mijamy całe stada małp makak z małymi małpeczkami, które czatują na turystów.

To największy i najlepiej zachowany zespół świątyń jaskiniowych na wyspie. Po utracie tronu na rzecz najeźdźców tamilskich (I w. p. n. e.), król Walagambahu I ukrywał się w tutejszych jaskiniach. Odzyskawszy tron, w akcie wdzięczności, postanowił wzniesić w oparciu o owe jaskinie świątynię poświęconą Buddzie. W kolejnych wiekach, wzniesiono kolejne świątynie. Obecnie kompleks, usytuowany na 160 metrowej skale zajmuje pięć, spośród ponoć osiemdziesięciu okolicznych, jaskiń. Pierwsza jaskinia to wiharaja Dewardza – świątynia pana bogów, z 14 metrowej długości śpiącym Buddą, wyrzeźbionym w jednym bloku skalnym, ze swym oddanym

uczniem i towarzyszem Anandą, u stóp. Ściany ozdobiono tu wizerunkami Wisznu i innymi malowidłami, z których wielu nie da się rozpoznać z powodu sadzy pochodzącej kadzideł, od wieków palonych przez pielgrzymów.

Druga jaskinia – Świątynia Wielkich Królów jest największa w Dambulli i najbardziej ascetyczna w wystroju. Majestatu przydają jej prostota i imponujące rozmiary (50m długości, 25m szerokości i 7m wysokości). Uważa się, że stworzył ją król Walagamba. Główny posąg stoi u wejścia. Naturalnej wielkości siedząca figura wykonuje gest „Nie lękajcie się”. Po bokach widać postacie 100 rękiego bóstwa życzliwości, a za nimi posągi Wisznu i Samana.

Trzecia jaskinia, czyli wiharaja Maha Alut – wielka nowa świątynia powstała za panowania króla Kirti Śri Radżasinyhy. W pieczarze znajduje się posąg medytującego Buddy w otoczeniu 50 innych Buddów oraz 9 metrowy spoczywający Budda.

Czwarta jaskinia wiharaja Pacchima, to jaskinia w której znajdują się rozmieszczone wzdłuż ścian posąжки Buddy oraz mała dagoba, która według legendy zawierała klejnoty.

Piąta jaskinia to wiharaja Dewana Alut – druga nowa świątynia – w niej znajduje się leżący Budda, otoczony pięcioma mniejszymi. W przeciwieństwie do figur z pozostałych jaskiń, te zostały wykonane z cegieł i gipsu.

Wszystkich figurek Buddy jest podobno około 150 - ciu. Szczególną jednak atrakcją jaskiń, odróżniającą je od innych na wyspie, są cudowne malowidła sufitowe i naścienne. Wyglądają jakby kolorowe dywany rozwieszone na wszystkich możliwych płaszczyznach jaskiń. Ich barwa, cudowne wzornictwo, mnogość scenek, ukazujących głównie aspekty związane z buddyzmem, sprawiają, że człowiek wręcz traci wiarę, że ich twórcami mogli być ludzie. Zapewne na stan taki wpływa również tajemna atmosfera miejsca, woń kadzideł wypełniających wnętrza jaskiń, rozrzucone wszędzie kwiaty lotosu, szepty chłonek atmosferę miejsca. Wszystko to sprawia, że ogarnięty filozoficznymi rozmyślaniami umysł, czuje się niezwykle swojsko w tym miejscu, sprawiając że pobyt w miejscu przedłuża się ponad czas, wydawałoby się niezbędny do wizytacji tego miejsca. Turystów jest sporo, ale głównie to Lankijczycy i wycieczki szkolne uczniów ubranych w białe mundurki. Nie byłabym sobą, gdybym nie sfotografowała się z nimi.

Po zobaczeniu wszystkich jaskiń wracamy po plecaki, wypijamy obowiązkową coca colę lub napój soda cream, łapiemy tuk tuka i wracamy do centrum Dambulli. Po drodze przejeżdżamy, podobno przez największy na Sri Lance hurtowy market warzywny. Ilość ciężarówek z warzywami robi wrażenie. Co chwilę przeładowywane są masy worków z ziemniakami, kapustą, cebulą. Ciężarówki są wypchane po brzegi całymi kiściami bananów, czy kokosów.

Kierowca tuk-tuka podjeżdża pod same drzwi autobusu zmierzającego do Sigiriji. 5 minut później już jesteśmy w drodze. Droga niedaleka, ale to czerwony autobus – rupieć. Na dodatek co chwilę zatrzymuje się by kogoś wysadzić, lub aby ktoś inny mógł wsiąść. Sporo dzieci tym autobusem wraca ze szkoły. Po prawie godzinie docieramy do Sigiriji. Autobus zatrzymuje się dokładnie pod guesthousem, w którym chcieliśmy mieszkać. Bierzymy 2 pokoje i przez 1,5 godziny siedzimy na tarasie popijając herbatę i świeże soki ananasowe. Oczywiście nie każdy chce pić sok z lodem... Iwona niestety wymięka, z czego my z Pawłem skwapliwie korzystamy. W ogródku przed domem znajduje się jakiś zabytkowy samochód, który Aśce strasznie się podoba i podobno jest na chodzie.

Późnym popołudniem idziemy na spacer po Sigiriji, która jest niewielką wioską. Idziemy zobaczyć ową Lwią Skałę górującą nad okolicą, na którą jutro z samego rana będziemy się wspinać. Teren wokół całego kompleksu jest nieźle przygotowany. Turyści mają do dyspozycji szerokie aleje, którymi można swobodnie okrążyć kompleks i dostać się do miejsca kasy biletowej. Całość otacza też fosa napełniona wodą. Po drodze zatrzymuje się obok nas samochód osobowy, okazuje się, że to tutejsza para młodych jedzie na swój ślub. Chcieli nas zaczepić i pokazać swoje piękne kolorowo zdobione stroje.

Wracając zatrzymujemy się w drewnianym sklepiku na ginger beer – napój imbirowy. Rozmawiamy z właścicielem, który okazuje się być Pakistańczykiem, który od 5 lat mieszka na Sri Lance. Założył tu rodzinę i uważa, że Sri Lanka w porównaniu z jego krajem jest rajem. Opowiada nam również o tym, że studiował geografii i jest muzułmaninem.

Idziemy z Pawłem przez wioskę, gdzie domki usadowione są przy głównej drodze, ale część z nich jest wyburzana i miejscowa ludność buduje nowsze zabudowania. Jednak budowa odbywa się bez użycia ciężkiego sprzętu, a głównie przy pomocy własnych rąk całej rodziny.

Przez wieś idzie sobie słoń z turystami na grzbiecie. Jednak ma nogi splecione łańcuchami. Smutnie to wygląda, a jakby tego było mało to na jego grzbiecie siedzi 5 turystów.

Wracamy do hoteliku Nilmini na obiad. Właścicielka proponuje nam makaron z warzywami i ryż z soczewicą i sałatkę cebulowo-pomidorową. Wszystko oczywiście nie za ostre, czyli idealne do jedzenia. Szkoda, że nie było tak w Indiach.

Postanawiamy iść spać wcześniej, gdyż jutro chcemy wstać o 6, aby dojść na wzgórze skalne i jeszcze popołudniu dojechać do Kendy. Zасыпianie umilają nam cmokające gekony.

## **16.07.2011 (sobota)**

Wstajemy 5:50. nasza gospodyni już się krząta i stawia talerze do śniadania. O 6:15 zjadamy omlety z grzankami i możemy ruszać na podbój Lwiej Skały. Wejście do kompleksu otwierają o 7 rano, więc będziemy jednymi z pierwszych turystów, więc obędzie się bez weekendowego tłoku. Ponadto unikniemy popołudniowego upału.

Sigirija (w wolnym tłumaczeniu "Lwia Skała") - stanowisko archeologiczne na Sri Lance, znajdują się tam ruiny starożytnego pałacu i twierdzy zbudowanych podczas panowania króla Kassapy (473–491) na szczycie 370-metrowej skały. Sigirija jest jedna z siedmiu miejsc w Sri Lance na Liście światowego dziedzictwa kulturowego i przyrodniczego. Skała to ogromna bryła magmy - pozostałość po dawno wygasłym i zapadniętym wulkanie. Położona na względnie płaskiej wyżynie jest widoczna z odległości wielu kilometrów. Pod względem geologicznym jest to bardzo ciekawy region, których nie brakuje na całej wyspie.

Budowa geologiczna Sri Lanki świadczy o jej dawnym pochodzeniu – stanowi część dawnego kontynentu zwanego Gondwaną, który był jednym z dwóch kontynentów na które rozpadła się początkowo Pangea.

Kraj jest zdecydowanie nizinny, gdzie nisko położone tereny zajmują 80% powierzchni kraju. Obszary nizinne znajdują się przede wszystkim na północy kraju oraz na wybrzeżach. Tereny nizinne budują głównie skały wapienne. Na wschodzie nizinne równiny to krystaliczne gnejsy i kwarcyty. Wnętrze wyspy zajmuje Płaskowyż Centralny, który jest zbudowany ze starych prekambryjskich skał krystalicznych, głównie z gnejsów i kwarcytów, to tutaj znajdują się kopalnie takich kamieni szlachetnych jak szafiry, czy rubiny. Płaskowyż wznosi się przeciętnie na wysokości około 1500 m n.p.m. Obszar ten nie posiada jednolitej budowy, gdyż ruchy skorupy ziemskiej naruszyły strukturę płaskowyżu. W wyniku owych ruchów doszło do powstania głębokich dolin. Obszary górskie zajmują na Cejlonie niewielką powierzchnię i są z punktu widzenia geologii przedłużeniem indyjskich Ghatów. Najwyższe wzniesienia wyspy znajdują się w południowej części kraju. Są to: szczyt Pidurutalagala będący najwyższą górą kraju, wznosi się na wysokość 2524 m n.p.m., drugim szczytem jest Szczyt Adama o wysokości 2243 m n.p.

W zatoce Mannar znajduje się Most Adama. Nazwa dość kontrowersyjna, bo co Adam miał wspólnego ze Sri Lanką? Miejscowi nazywają ten most - Mostem Ramy. Jest to archipelag wysepek, raf i mielizn łączący Półwysep Indyjski z Cejlonem. Most ma długość 48 km i oddziela zatokę Mannar od cieśniny Palk. W żadnym miejscu głębokość mielizn nie przekracza 1 metra, co znacznie utrudnia żeglugę. Próby pogłębienia szlaku żeglownego podejmowano od 1838, ale nigdy nie zakończyły się sukcesem. Dowody geologiczne wskazują, że Most Adama stanowi pozostałość lądowego połączenia istniejącego dawniej pomiędzy Półwyspem Indyjskim a Cejlonem (stąd ludność mogła swobodnie migrować na Sri Lankę). Zgodnie z legendą most jest pozostałością wielkiej grobli usypanej przez Ramę, bohatera hinduistycznego eposu Ramajana, by umożliwić przejście jego armii z Indii na Sri Lankę gdzie znajdowała się jego uprowadzona żona Sita. Zgodnie z muzułmańską legendą Adam przeszedł tędy by dotrzeć do Góry Adama na Cejlonie, na szczycie której stał na jednej nodze przez 1000 lat. Tylko że na szczyt Adama wchodzi buddyści, którzy

pielgrzymują aby zobaczyć odcisk stopy Buddy, hinduiści widzą tam odcisk stopy Siwy, muzułmanie - Adama (???), a chrześcijanie uważają że to odcisk stopy św Tomasza...i bądź tu mądry...

Wracając do Lwiej Skały...

W drugiej połowie V wieku n.e. na Cejlonie panował król Dhatusen. Władca miał dwóch synów - Mogallana i Kassapę. Tron po ojcu miał objąć starszy Mogallan, ale (młodszy i z nieprawego łoża) Kassapa nie zamierzał ustąpić. W roku 473 dokonał przewrotu pałacowego, uwięził, a następnie zamordował ojca (podobno stary król został żywcem zakopany w ziemi, gdyż nie chciał wyjawić miejsca ukrycia swych skarbów), ale Mogallan mu się wymknął i na czele garstki zwolenników zbiegł do Indii.

Kassapa został królem, ale nie opuszczał go strach przed zemstą przyrodniego brata. Dlatego postanowił zbudować zamek na szczycie wybitnej skały położonej w centrum wyspy, w pobliżu jeziora Mineria. Ogromnym wysiłkiem wzniesiono na szczycie pałac i system fortyfikacji. Wykuto zbiorniki na wodę i spichlerze na żywność, by można było przetrzymać nawet kilkumiesięczne oblężenie. Jediną drogę na szczyt stanowiły wąskie schodki wykute w skale.

Mogallan długo zbierał siły, ale wreszcie, w roku 491, a więc po osiemnastu latach panowania Kassapy, na czele wielkiej armii wylądował na wyspie i zaatakował. Kassapa przegrał walną bitwę i podobno popełnił samobójstwo podcinając sobie gardło własnym sztyletem w obliczu przeważających sił wroga.

Do dnia dzisiejszego zachowały się jedynie fundamenty pałacu i umocnień, a na ścianach skalnych dobrze zachowane malowidła przedstawiające - jak się można domyślać - damy dworu lub nałożnice królewskie. Zrekonstruowano początkową partię schodów, które wychodzą pomiędzy dwóch kamiennych lwich łap. Dla wygody turystów zbudowano też wygodne schody na stalowej konstrukcji.

No ale po kolei. Nasza droga początkowo prowadzi pośród dawnych zabudowań pod skałą. Mijamy najpierw Ogród Wodny, obok którego znajdują się cztery baseny wodne w kształcie litery L, otaczają centralną wysepkę, którą kiedyś niemal w całości zajmował duży pawilon. Możliwe, że były to baseny kąpielowe o polerowanych ścinach, ze schodami i tarasami, przypominającymi współczesne pływalnie. Ponieważ dla twórcy Sigiriji liczyła się symetria, koło Lwiej Skały, po obu stronach przejścia ulokowano cztery, otoczone fosami wyspy. Na dwóch zewnętrznych wyspach wzniesiono chłodne nadwodne pałace. Dookoła wysp tryskały zbudowane z wapienia fontanny, zasilane wodą ze sztucznego jeziora. Przepływ był wymuszany siłą grawitacji, dzięki temu rozwiązaniu w deszczowe dni fontanny działają do dzisiaj. Ogród Wodny przechodzi w Ogród Skalny, który kontrastuje z geometryczną symetrią tego pierwszego. Teren urozmaicają zaokrąglone głazy rozmaitej wielkości. Wśród nich wiją się ścieżki, przerzucone są skalne łuki i wapienne schodki. Niemal na każdym odłamku skalnym stała niegdyś jakaś budowla. W odpadłym fragmencie, znanym jako Skała Sali Audiencyjnej, wykuto 5-metrowej długości tron, górujący nad wyrównanym placem. W stojącej części głazu wyżłobiono zbiornik na wodę i stąd nazwa Skała - Cysterna. Na zainteresowanie zasługuje również malownicza Jaskinia Tarcza Kobry, której nazwa wywodzi się od charakterystycznego kształtu. Imponująco prezentuje się Skała- Kazalnica, która prawdopodobnie służyła kaznodziejom. Na terenie Ogrodu Skalnego znajduje się buddyjski klasztor z drzewem Bo. Wkraczając do świątyni myło się stopy w misie, która nadal znajduje się przy jej wejściu.

Ogród Skalny przechodzi w Ogród Tarasowy. Jest podobny do wiszących ogrodów Semiramidy w Babilonie. Mury podtrzymujące ziemię tarasów powoli się już rozsypują. Z poziomu na poziom, aż na sam szczyt skały Sigiriji, prowadzą ceglane skały o stopniach z wapiennych płyt. No i tu powoli zaczyna się moja gehenna. Jeszcze kilka dni ze schodami to wymięknę. Tym razem postanawiam założyć opaskę na moje kolano, aby odciążyć je podczas wchodzenia na górę. Trudno sobie tu wyobrazić labirynt rur ukrytych pod ziemią, pod naszymi stopami. Ich skomplikowana sieć obejmuje cały zespół Sigiriji. Są to zawory kontrolne, włazy kanałowe, syfony wyłapujące muł, kanały i tym podobne wynalazki, przypominające współczesną sieć wodnokanalizacyjną. Do dziś widać liczne kanały wykute w skale i od wieków pełniące funkcje rynien. Deszczówkę

odprowadzano do królewskich zbiorników, a nadmiar był odprowadzany do dolnych obszarów Sigiriji. Dzięki temu ogrody otaczające Lwią Skałę przetrwały do obecnych czasów.

Po wspinaczkę, minięciu kilku wesołych psów, z czego jeden spał sobie smacznie na skalnej półce (pytanie jak tam się dostał?) trafiamy do jaskini z legendarnymi freskami. Zmysłowe przedstawienie kobiecej urody zajmuje w sztuce Sigiriji szczególne miejsce. Słynne freski to śmiałe przedsięwzięcie Kassapy. Ich wykonanie wymagało odwagi, ponieważ lankijska sztuka była powiązana z buddyzmem – religią, która osiągnięcie wiecznej szczęśliwości uzależnia od wyzbycia się ziemskich żądz. Kobiece postacie na freskach, jedne o złocistej cerze, inne ciemnoskóre, namalowane pojedynczo lub parami, wydają się wyłaniać z chmur, dlatego czasami nazywa się je pannami z chmur. Są nieco mniejsze od figur pełnowymiarowych i ukazane są w trzech czwartych profilu. Poszczególne postacie z rysami twarzy zdradzają odmienne nastroje i osobowości. Można dostrzec makijaż i kwiaty we włosach. Kwiaty dodają przedstawionym kobietom uroku.

Początkowo naskalnych malowideł było 500 i tworzyły ogromną galerię o łącznej wielkości równej powierzchni dwóm boiskom do piłki nożnej. Niewykluczone, że to największe malowidło jakie stworzył kiedykolwiek człowiek. Ponieważ malowidło powstało na nieosłoniętej skale, do naszych czasów przetrwało zaledwie około 20 postaci, a te zachowały się dzięki temu, że namalowano je w skalnej kolibie. Wchodzi się to tej jaskini po niezwykle krętych metalowych schodach. W jakim celu namalowano te kobiece postacie? Powodów mogło być wiele. Niektórzy twierdzą, że to damy z dworu Kasappy, biorące udział w pobożnej procesji, inni sugerują, że są to niebiańskie nimfy.

Kolejnym interesującym miejscem w drodze na szczyt skały jest Lustrzana Ściana. Wykonana jest ze szlifowanego marmuru i mimo upływu 1500 lat odbija obrazy jak szkło. Gładka skalna tafa w dawnych czasach pełniła funkcję księgi pamiątkowej – na jej powierzchni wyryto i wyskrobano prawie 1500 napisów prozą i wierszem. W ten sposób goście przybywający tu z całej wyspy pomiędzy VII, a XIII wiekiem wyrażało swój zachwyt dla piękna i wielkości oglądanych dzieł. Większość wierszy napisano po syngalesku. W owych napisach znajdziemy żywy obraz Sigiriji i jej świetności za czasów Kassapy. Idziemy metalowymi rampami, które przytwierdzone są bezpośrednio do skalnej ściany. Pod nami przepaść. Swoją drogą ciekawe jak dawni mieszkańcy tej skały wchodzili na górę.

Skała Sigirija wyrasta z płaskiej równiny i dzięki temu jest widoczna z daleka. Wspinaczka na jej szczyt zajmuje około 2 godzin, a wysiłek wynagradzają rozpościerające się z góry widoki na dżunglę, pola ryżowe i odległe łańcuchy górskie. Na Lwiej platformie znajdują się dwie potężne lwie łapy, to wszystko co pozostało z olbrzymiego zwierza, Swego czasu cała skała była uformowana w kształt ogromnego lwa. Były też schody wiodące pomiędzy łapami prosto do lwiej paszczy. No to ruszamy w górę, aby pokonać ostatni fragment. Pomiędzy łapami lwa prowadzą schody w górę. Ten najwyższy poziom stanowił niegdyś teren zarezerwowany wyłącznie dla władcy i jego rodziny. Unikatowy pałac, którego rozplanowanie widoczne jest do dziś, musiał kiedyś być imponujący. Pałacowy teren liczący 1,2 hektara, był pełen marmurowych schodków i chodników, a z wielu jego punktów rozciągał się imponujący widok na okolicę. Nikt nie mógł podejść niezauważony pod Skałę Lwa. Naturalne walory obronne skały wzmocniono sprytnymi strategiami, Zbudowane szerokie fosy i kamienne mury. Zewnętrzna fosa była tak skonstruowana, że na wypadek ataku wroga można było zatopić cały obszar pomiędzy dwoma fosami. Aby strażnicy nie zasypiali podczas warty, ich posterunki umieszczono w takich punktach, że przy najmniejszej stracie czujności spadali w dół tracąc życie.

Po tej niesamowitej wycieczce w przeszłość wracamy do hoteliku Nilmini. Jest 10:30, czas wziąć szybki prysznic przed dalszą podróżą, sok ze świeżego ananasa i można ruszać w drogę.

Stajemy z plecakami an poboczu drogi i niby autobusy do Dambulli jadą co 30 minut, to mamy jakiegoś pecha, bo pierwszy jadący w oczekiwanym przez nas kierunku autobus, pojawia się dopiero po całej godzinie. 12:05 opuszczamy Sigiriję. Bus rzezi tak, że nie wiem czy dotrzemy do Dambulli. Przemieszcza się w tempie wolniejszym niż żółw. Na szczęście po upływie kwadransa postanawia się trochę rozkręcić, co nie zmienia faktu, iż droga dłuży się niemiłosiernie ze względu ciągłego zatrzymywania się i zabierania kolejnych pasażerów. Po ponad godzinnej jeździe



docieramy do Dambulli. I tu nam szczęście dopisuje, bo wystarczy zamienić autobus i już możemy jechać dalej do Kandy.

Za oknem pojawiają się pierwsze góry. Autobus niczym ekspres śmiga drogą i nawet bardzo rzadko zatrzymuje się po drodze. Jest chyba jakimś dalekobieżnym, bo z napisu wnioskuje, iż jedzie z Dżafny, czyli z północy wyspy. Po prawie 2 godzinach jazdy docieramy do Kandy.

Kandy jest drugim pod względem wielkości miastem na Sri Lance, jednocześnie jest głównym ośrodkiem kulturalnym i religijnym. Początki powstania miasta datowane są na początek XIX wieku, kiedy to miasto było stolicą Sri Lanki. Kandy w przeciwieństwie do większości miast na Sri Lance nie jest typową miejscowością turystyczną. Nie znajdziemy tu ani nadmorskich plaż (Kandy leży w środku kraju) ani też dużych kurortów hotelowych. Jednak to co przyciąga tutaj turystów to zabytkowe budowle, głównie związane z buddyzmem. To tutaj znajduje się słynna lankijska Świątynia Zęba (Dalada Maligawa).

W historii Cejlonu królestwo kandy, choć istniało stosunkowo niedawno, otoczone jest niemal legendą. Usadowione w sercu wyspy, wśród wzgórz, głęboko w nieprzebytej puszczy, oparło się przepuszczanym raz po raz atakom Portugalczyków i Holendrów i uparcie trwało przy swoich wartościach., mimo że inne części wyspy poddawały się kolejnym europejskim najeżdżcom. Położenie geograficzne i ukształtowanie terenu znakomicie broniło ostatniej stolicy. W burzliwej epoce kolonialnej królestwo było dla wyspiarzy ostoją rodzimej kultury i religii. Kandy ostatecznie poddało się Brytyjczykom dopiero w 1815 roku. Kandy dalej jest bastionem syngaleskiej kultury i religii. To tu znajduje się najważniejsza buddyjska świątynia, tutaj też odbywają się najhuczniejsze uroczystości religijne na wyspie. Kandy słynie z tradycji dynamicznego tańca i bębnienia.

Wysiadamy w okolicach dworca, łapiemy dwa tuk-tuki (ale za drugim podejściem, bo pierwsi chcieli nas zawieźć za cenę dwa razy wyższą. Nie ma to ja turystyczne miejsce) i każemy się zawieźć na uliczkę, gdzie znajduje się najwięcej guesthousów. Niestety jest weekend i wszystko pozajmowane. Wolne pokoje mają tylko w jednym hoteliku. Jednak dajemy stamtąd nogę, bo kosztują 2500 rupii i są tak obskórne, że nie dziwię się, że są jeszcze wolne. W końcu goście z tuk-tuków wiozą nas w inne miejsce. Tak trafiamy do IVY Guesthouse, cena ta sama, ale na pierwszy rzut pokoje wyglądają ok. Chcemy iść coś zjeść, ale niestety wtedy pogoda robi nam psikusa i postanawia rzucić nam ulewę. Na szczęście leje jakąś godzinę. O 17 wychodzimy do miasta. Umówiliśmy się z kierowcami tuk-tuków, że nas zawiozą do centrum kulturowego, gdzie organizowane są tańce kandyjskie. Po drodze zawożą nas jeszcze w jedno miejsce hotelowe. Może jutro byśmy coś zamienili. Jednak i tam wszystko jest zajęte no i na dodatek za daleko od centrum. Przez to jeżdżenie nie mamy już czasu na to aby wyskoczyć coś zjeść. Idziemy więc zobaczyć spektakl, a jedzenie zostawiamy na później.

Przedstawienie trwa około godziny. Nie jest jakoś specjalnie imponujące, chociaż sala zapełniona jest zagranicznymi turystami po brzegi. Oglądamy 10 tańców: występ orkiestry grającej na starych instrumentach – pancha thurya – które wykorzystywane są podczas obrzędów w Świątynia Zęba, następnie jest Pooja Dance, potem Panteru wykonywane przy akompaniamencie bębnow, czwarty to taniec Kobry, piąty – taniec masek, gdzie tancerze przebrani i w maskach azjatyckiego ptaka garudy wykonują dzikie płąsy na scenie. Niestety nie wszystkie przedstawienia jestem w stanie tu przytoczyć – jest też wykonanie hymnu lankijskiego, a także wprawianie wielu talerzy w ruch naraz. Show kończy się ognistym tańcem po rozżarzonych węglach. To mnie wcale nie powala, bo widziałam najlepszy taniec na ogniach w Indonezji.

Po godzinie opuszczamy halę widowiskową i idziemy wzdłuż jeziora. Na drzewach siedzą setki, jak nie tysiące ptaków. Wrzask jest ogłuszający, a miejscowa ludność idzie pod drzewami z rozłożonymi parasolami. Jesteśmy tak głodni, że wchodzimy do pierwszej lepszej restauracji – chińskiej. Speluna, ale nie mamy ani sił, ani ochoty szukać coś dalej, bo ostatni posiłek to było śniadanie o 6:15. Zamawiam zupę pomidorową, a Paweł warzywną. Obie zatrzymane mąką tak, że przypominają krochmal. Aśka dostaje herbatę z mlekiem i odmawia jej wypicia. Zapomnieliśmy z tego wszystkiego przy zamówieniu powiedzieć, że ma być czarna. Ostentacyjnie odnosi ją kelnerowi. Drugie danie, czyli kurczak słodko-kwaśny, jest całkiem znośny. Jednak jest go mało, drogi i jeszcze trzeba było dodatkowo zamówić ryż. Spadamy stamtąd zaraz po zjedzeniu, niestety

płacąc jeszcze dodatkowo 10% podatek wliczany do rachunku. Grrr...

Obchodzimy piechotą całe jezioro i docieramy na uliczkę hotelików, gdzie nie udało nam się początkowo znaleźć noclegu. Próbujemy znaleźć coś od jutra. Zaraz na początku trafiamy do Star Light i rozmawiamy z właścicielem. Będzie miał od jutra 2 wolne pokoje. Będziemy mogli się przenieść. Chce początkowo 1500 rupii, ale negocjujemy na 1300. Przenieśmy swoje plecaki z samego rana. Ponadto uzgadniamy z nim, aby sprawdził nam za ile i jak można dostać się do wioski Weddów – ludzi lasu. Ekstra.

W dobrych humorach wracamy w kierunku naszego obecnego miejsca noclegowego idąc cały czas wzdłuż brzegów jeziora. Niedaleko hotelu wstępujemy do przydrożnej restauracji. Ruch tam jak w ukropie, co oznacza, że jedzenie musi być smaczne. W kasie dokonuje się zamówieni i opłaty i z otrzymaną karteczką idzie się do kolejnego stanowiska, gdzie wydawane są posiłki. Jednak najpierw można zobaczyć jak jedzonko przygotowuje się w kuchni, która jest za szybami. Uwijają się tam kucharze, którzy na metalowych stołach, będących jednocześnie płytami grzewczymi – tną warzywa tasakami z takim łomotem i w takim tempie, że mogliby stanąć w szranki konkursowe, a szatkowane jedzenie w 10 sekund zamienia się w cieczkę; potem to łąduje np. w czymś podobnym do naleśnika, który zresztą również robi się w 3 sekundy. Potrawka z ryżu, mięsa i warzyw to około 2 minut przygotowywania. Uwaga tylko na kości, bo mięso szatkowane jest na małe kawałeczki wraz z kośćmi. Postanawiamy spróbować egg-rotti, czyli naleśników z jajkiem. Nie najedliśmy się u Chińczyka, więc teraz owe placki smakują fantastycznie.

Wracamy do hoteliku. Po chwili słyszymy wrzask Iwony i Aśki. Co tam też się stało? Pędzę sprawdzić. W łazience mają wielkiego karalucha. Iwona właśnie miotłą odrąbała mu głowę. Po kolejnych paru minutach znowu słychać wrzask. Tym razem kolejny karaluch zaatakował Aśkę, skacząc na nią w toalecie. Po czym dał dyla do pokoju i siedzi gdzieś pod łóżkiem. Obsługa hotelu zostaje poinformowana o tym i dają dziewczynom drugi pokój. Szczelnie obkładają łóżka moskitierą, aby w nocy czasem żaden karaluch się do nich nie dostał. Podobno jest taki studencki (?) pomysł na karaluchy... Trzeba mieć cztery puszki z wodą i wstawić w nie wszystkie nogi łóżka. To podobno gwarancja, że żaden karaluch nie wlezie do łóżka... pierwsze słyszę.

Tak na marginesie to dziwny to hotel... nie ma w nim nikogo oprócz nas... Na szczęście jutro opuścimy to niegościnne miejsce.

## **17.07.2011 (niedziela)**

Pobudka 7:30, a o 8 spotykamy się w holu hotelowym, kończąc wizytę kłótnią z menadżerem. Nie mamy ochoty płacić, a za miejsce z karaluchami, obleśnymi kocami 2500 rupii. Niestety spór nic nie daje i musimy ostatecznie wyłożyć owe 2500 rupii za pokój. Okropne miejsce, gdzie byliśmy jedynymi klientami, mimo sporych gabarytów budynku.

Przenosimy się do guesthousa Star Light, który wczoraj zamówiliśmy. Z rana wolny jest tylko jeden pokój, drugi będzie popołudniu. Zostawiamy bagaże i idziemy na śniadanie. Znajdujemy cukiernio-piekarnię z maślanymi bułeczkami i ciastkami francuskimi – obsypanymi cukrem, ze słodkim nadzieniem i ostrym, ale też z mięsem, kiełbasą, warzywami lub nawet... rybą. Śniadanie pyszne, za 2-3 złote. Można napić się soku, albo nawet malej nescafe. Fantastyczne miejsce, aż dziw skąd na Sri Lance mają takie miejsca na śniadanie. Do tej pory w żadnym kraju Azji nie spotkaliśmy się z takim miejscem. Czasem byliśmy w innych krajach skazani na zupełną... a tu taka niespodzianka. Lankijczycy owe kawiarenki szturmują od samego rana.

Po śniadaniu idziemy na dworzec autobusowy, bo chcemy pojechać do Pinawelli. Jednak zahaczamy jeszcze o tutejszy bazar. I jak to w Azji, mieni się całą paletą kolorów. Wchodzimy najpierw do części owocowej. Owoce na bazarze wyeksponowane są na sznurkach. Wiszą pod wiatami, tworząc odwrócone piramidki. Pięknie to wygląda i jeszcze nigdzie tego wcześniej nie widziałam. Na każdym stoisku zawieszono są metalowe wagi, a krzyki nawołujących mieszają się ze sobą. Każdy sprzedający chce sprzedać jak najwięcej świeżego towaru. Idziemy dalej, kolejne miejsce to targ warzywny – warzywa ułożone w duże jednokolorowe kupki prezentują się

imponująco. Nagle wyczuwam ohydny zapach liści curry. Wyczuwam je wszędzie. Dlaczego ich tak nie lubię, że aż smak ich wywołuje u mnie odruch wymiotny... Można znaleźć je na stoiskach z zieleniną. Niesamowite, że w Azji jest tyle zieleniny, a w Polsce w zasadzie mamy szczypiorek, pietruszkę i koperek. W innej części targu znajdują się stoiska z przyprawami, czy mięsem i rybami. W sklepikach wyeksponowane na hakach wiszą fragmenty świeżego mięsa. Sklepiarze tasakami parcelują mięso na mniejsze kawałki. Gdzieś tam leżą odcięte głowy kóz. Każdy fragment bazaru ma swoisty zapach, najgorszy chyba tam gdzie znajdują się suszone ryby.

Czas kończyć buszowanie po bazarze i udać się w końcu na dworzec. Idziemy. Ku naszemu zdziwieniu musimy się przedzierać w kierunku dworca. Chodnik jest wąski, z jednej strony ulica, z drugiej stragany, stąd ludzi mnóstwo. Każdy ciągnie albo w kierunku dworca, albo z niego wraca. Jak się okazuje obok dworca autobusowego jest też kolejowy, toteż harmider panuje tu niezmierny. Przechodzimy przez tory kolejowe, które w czasie braku pociągów stanowią alternatywną drogę dla ruchu pieszego. Sam wjazd na dworzec dla pociągów jest... zamknięty bramą z falistej blachy. Chyba nie ma tu za dużo pociągów dziennie.

Po chwili wśród niezliczonej ilości autobusów, odnajdujemy jadącego do Kegali, gdzie będziemy musieli się przesiąść na rozstaju dróg. Autobus ma małą moc i pod górę ciągnie niczym żółw. Okoliczne góry zasnuwane mgłą. Tuż za Kandy mijamy ogromny ogród botaniczny Peradeniya. Niby tylko 30 km, ale jedziemy około godziny i 20 minut, ale w końcu docieramy do krzyżowania, gdzie kierowca autobusu nas wysadza. Tutaj od razu rzucają się na nas kierowcy tuk-tuków, którzy chcą nas zawieźć za 500 rupii do sierocińca. Postanawiamy ci zignorować i stanąć na drodze w kierunku Pinawelli. Nie zdążamy jeszcze dobrze się ustawić, a już jedzie autobus, który wiezie nas za... 13 rupii. Ależ ci tuk-tuciarze mają zysk, jak złapią naiwnych turystów. Jedziemy jeszcze 6 km i jesteśmy u braku sierocińca. Bilet kosztuje 2000 rupii wrrr. No nie ma to jak turystyczne miejsce. W jego cenie jest wejście na teren sierocińca, oglądanie słoń, czy karmienia, a potem obserwowanie jak idą przez miasteczko nad rzekę się kąpać. Ciekawe, bo aby nikt bez biletu nie wszedł na miejską promenadę, tam również trzeba pokazać bilet, a wejścia na uliczkę strzegą bileterzy i... szlaban.

Wchodzimy najpierw na teren sierocińca, gdzie na wielkiej polanie znajduje się kilkadziesiąt słoń w różnym wieku. Miejsce wygląda trochę na taką cepelię pod turystów. Właściwie tylko jeden słoń jest kontuzjowany, bo brakuje mu części jednej nogi. Prawdopodobnie w zamyśle miał to być sierociniec, ale kiedy zaczął przynosić zyski... wypromowano go jako turystyczne miejsce. Wszyscy turyści fotografują się na tle słoń, w tle góry otoczone granatowymi chmurami. Niesamowita aura. Na dodatek jest tu jakoś tak gorąco i parno, że czuję się cała mokra i oblepiona potem. Słonie podchodzą bardzo blisko, a pilnują je opiekunowie. Jest tu duża liczba malutkich słońków. Prawdę mówiąc tak małych słońców jeszcze nie widziałam. Biegają wokół dużych słoń, chowają się pod ich nogami. Słonice cały czas bacznie obserwują, czy małym nic nie grozi, jak tylko coś im się nie spodoba tworzą krąg i chowają słońcówka w jego wnętrzu. Najmłodsze słońcówka, mają wielkie oczy, jakieś nieproporcjonalne do wielkości głowy. Na dodatek owa głowa jest jakaś niekształtna, a poza tym cała ich skóra pokryta jest sierścią. Przypominają bardziej mrówkojady niż słoń. O 13:15 jest karmienie małych słoń z butelki. Jak ktoś ma na to ochotę musi zapłacić 250 rupii, a samo karmienie trwa 3 sekundy, bo w takim tempie słoń wypija mleko z litrowej butelki.

A teraz trochę o samym ośrodku...

Gdyby nie ten ośrodek, większość osieroconych maluchów umarłaby lub została zamordowana. Dziś Pinawela daje schronienie kilkudziesięciu słońcom, które straciły rodziców. Owa słońca z oderwaną częścią jednej nogi o imieniu Sama, pochodzi z targanej konfliktem zbrojnym północnej Sri Lanki. Kiedy miała trzy lata, nadepnęła na minę i straciła nogę. Najprawdopodobniej wtedy porzucili ją rodzice, dla których kaleka stała się tylko zbędnym ciężarem. Jej los odwrócił się 13 lat temu, kiedy trafiła do położonej 80 km od Kolombo małej miejscowości. Miała szczęście. Tak samo jak kilkadziesiąt innych słoń.

Pierwszy słoń zamieszkał tam w 1975 roku, Sama – 20 lat później. Sierociniec w miejscowości Pinawela to prawie 11 hektarów w samym środku palmowego lasu. Znalezione w dżungli samotne i bezbronne słońcówka przywożone są tam z całego kraju, prosto pod skrzydła zastępczej ludzkiej rodziny. Ich mamy to w większości ofiary polowań. Zdarza się również, że

maluchy wpadają w sidła. Podczas gdy duże słonie szukają wody i pożywienia, młode może wpaść w pułapkę. Jeśli jest ranne, zostaje przez stado porzucone. Wiele sierot, które znalazły tam schronienie, ma już dziś własne potomstwo.

Od wieków w kulturze Sri Lanki słonie indyjskie (*Elephas maximus*) wykorzystywane są w rolnictwie, transporcie, a także w obrzędach religijnych. Trochę mniejsze od swoich afrykańskich kuzynów, powszechnie uważane są za bardziej inteligentne. Ich życie nie jest jednak łatwe. 150 lat temu lasy na Sri Lance zajmowały 84 proc. powierzchni całego kraju. Dziś stanowią jedynie około 20 procent. Walka o przestrzeń między zwierzętami a człowiekiem doprowadziła do poważnych konfliktów. Wypędzony ze swojego naturalnego siedliska słoń szuka pożywienia w wioskach i miastach – atakuje ludzi, niszczy ich plony. Zdarza się, że taki intruz ginie od wystrzelonej z karabinu kuli i jedyne, co po nim pozostaje, to drogocenne kły i bezbronne potomstwo.

Każdy szanujący się, żyjący na wolności słoń zjada od 150 do 300 kilogramów paszy dziennie, popijając to mniej więcej 200 litrami wody. Dlatego wyżywienie kilkudziesięciu słoni to dla pracowników Pinnaweli nie lada wyzwanie. Podejmują je już o godz. 8 rano, serwując śniadanie najmłodszym – bagatela, na głowę siedem wielkich butli mleka podgrzanego do temperatury ciała. Taką porcję słońątka poniżej 3. roku życia pochłaniają pięć razy dziennie.

Liście palmy kokosowej, gałęzie drzewa chlebowego, pnie palm, kokosy i trawa – to podstawa diety dorosłych słoni. W sumie każdy z nich zjada codziennie około 75 kg zieleniny. Dodatkowo każdy otrzymuje dwukilogramową porcję zdrowotnej mikstury, składającej się z kukurydzy, otrębów ryżowych, zmielonych ziaren i minerałów.

Mimo że jadłospis jest jednakowy dla wszystkich, pracownicy sierocińca przykładają dużą wagę do odmiennych potrzeb i kaprysów swoich wychowanków. Dlatego też każdy słoń ma własną teczkę, w której zebrane są wszelkie informacje dotyczące jego charakteru, zdrowia i upodobań. Wśród tych danych nie brakuje nawet horoskopu. Niektóre słonie wymagają stosowania specjalnych środków. Dla ważącej niemal dwie tony Samy utrzymywanie równowagi na trzech nogach grozi deformacją stawów i kręgosłupa. Dlatego dyrekcja Pinnaweli we współpracy ze specjalistami z Austrii, Niemiec i Szwecji próbuje zebrać pieniądze na niezbędną dla niej protezę.

Przed 14 idziemy na drogę, która za chwilę będą szły słonie nad rzekę. Wzdłuż drogi znajduje się mnóstwo sklepów z pamiątkami, jednak ceny są tu z kosmosu. Tak wysokich cen to ja jeszcze w Azji nie spotkałam. Zostaje nam na razie tylko oglądać. Jeden z pierwszych sklepików, to wytwórnia papieru z... odchodów słonia. Przy wytwórni znajduje się sklepik, gdzie można kupić, kartki, notesy, zeszyty i wiele innych rzeczy zrobionych z odchodów słoni. Szkoda, że nie robią obrazków, bo bym kupiła i oprawiła na swoją ścianę. Szkoda, bo to byłaby niezła pamiątka...

Punktualnie o 14 słychać wycie syreny, to znak, że słonie za chwilę się pojawią. Turyści znikają z drogi i wszyscy czekają. Niektórzy zaopatrzeni w banany. Najpierw idą te największe i chyba najgroźniejsze, bo mają nogi spętane łańcuchami. Część z nich ma kły. Za nimi pędzi cały tłum dorosłych słoni z małymi słońćkami, które śmiesznie biegną za swoimi matkami. Niektóre słonie szukają u turystów bananów, bo wyciągają swoje długie trąby w poszukiwaniu smakołyków. Potem wążą do wody. Ta biedna słonica bez nogi, zajmuje miejsce w pobliżu skał i opiera się trąbą o nie. Strasznie żalony widok. Inne słonie miziąją się po głowie, czy to takie zaloty? Najbardziej w rzece szaleją najmniejsze słonie. Maluchy wręcz nurkują w wodzie i całymi gromadkami próbują jeden drugiego podtopić. Tylko trąby wystają ponad taflę wody. Starsze słonie stoją majestatycznie w wodzie.

Kiedy wychowankowie Pinnaweli wybierają się nad leżącą poza terenem sierocińca rzekę Maya Oya, najbezpieczniej jest zejść im z drogi. Na widok wody wszystkie z radości machają trąbami. Najmłodsze polewają się nawzajem lub bawią się ze swoimi opiekunami. Najstarsze po prostu leżą w wodzie i od czasu do czasu wachlując się uszami, rozkoszują się przyjemnym chłodem. Dyrekcja sierocińca dokłada wszelkich starań, żeby panujące w nim warunki przypominały te, w których jego wychowankowie przyszli na świat. Dlatego słonie mogą do woli wędrować po terenie, a także swobodnie formować stada. Nic jednak nie przebijie dwugodzinnych szaleństw w wodzie.

Kąpiel w rzece to radość nie tylko dla samych słoni, ale także dla przybywających tu z

całego świata gapiów. Pinnawela jest siódmą na liście najlepiej zarabiających na turystach instytucji na Sri Lance. W ciągu 30 lat z małego lokalnego przedsięwzięcia Pinnawela zamieniła się w organizację charytatywną z prawdziwego zdarzenia – coraz więcej krajowych firm rozważa sponsorowanie osieroconych słońtek i coraz więcej tych ostatnich przenoszonych jest do ogrodów zoologicznych na całym świecie: do Chin, USA, Japonii, Pakistanu i Anglii. Niestety, międzynarodowe podróże nie zawsze wychodzą słońcom na dobre. Zdarza się, że decyzję o transferze słońcia podejmuje się w imię nawiązania lub ocieplenia stosunków między poszczególnymi państwami, jednocześnie spychając kwestię zdrowia i szczęścia zwierząt na drugi plan.

Liczba żyjących na wolności słońi maleje w zatrważającym tempie – 150 lat temu na Sri Lance żyło ich około 36 tysięcy, dziś pozostało mniej niż 3 tysiące. Ich największym wrogiem pozostają wciąż bezkarni kłusownicy. Co więcej, naturalne środowisko słońi kurczy się z dnia na dzień, dlatego jedynym dla nich schronieniem pozostają parki narodowe i takie miejsca jak Pinnawela. Nic więc dziwnego, że każdego roku w sierocińcu niedaleko Kolombo pojawia się pięć nowych słońi. Niestety, w Pinnaweli też zaczyna się już robić ciasno. O tym, że przyczyną niedoli słońi jest ludzki, wiecznie niezaspokojony apetyt na więcej, przekonał się Raja – najstarszy wychowanek Pinnaweli. Ten prawie 70-letni dziś słoń w wyniku postrzału z rąk kłusownika na zawsze stracił wzrok. Wie o tym również Sama, której imię oznacza „wieczny pokój”. Nazwano ją tak na przekór, bo jest przecież ofiarą wojny. Ludzkiej wojny.

Po półtorej godzinie obserwowania zabawy w rzece, postanawiamy powoli zbierać się do powrotu do Kandy. Znowu mamy szczęście i po 5 minutach mamy autobus jadący do krzyżowania z główną drogą, gdzie od razu podjeżdża transport do Kandy. Jedyny mankament to taki, że jest pełny do granic możliwości. Wsiadamy na docisk. Po paru kilometrach trochę się rozluźnia i mogę się odsunąć od otwartych drzwi. Znowu prawie półtorej godziny jazdy. Teraz przynajmniej kiedy nie ma mgły można oglądać okoliczne górskie krajobrazy.

Po 17 jesteśmy z powrotem w Kandy. Akurat z dworca wyjeżdża pociąg, więc otworzono ową bramę z blachy falistej. Pociąg załadowany jest na maksa i część podróżnych stoi w otwartych drzwiach. Kiedy przejeżdża, to tory kolejowe znowu stają się „chodnikiem” dla tłumu pieszych ciągnących głównie z dworca autobusowego.

Zaczynamy być głodni, więc swoje kroki kierujemy do muzułmańskiej restauracji o nazwie Muslim. Jemy tutejsze biriani z ryżu i wołowiny wraz z chlebkiem – parottą. Do tego zamawiamy wodę i herbatę. A wszystko to za 8 zł za dwie osoby.

Po obiedzie czas odwiedzić najważniejszy zabytek Kandy, czyli Świątynię Zęba. Oczywiście znowu trzeba zapłacić za wstęp – 1000 rupii. Jak w wielu miastach na Sri Lance, w Kandy stoi świątynia buddyjska. Ta jednak jest wyjątkowa. To właśnie tutaj przechowuje się najświętszą relikwię, jaka znajduje się na Cejlonie – ząb samego Buddy. Dalada Maligawa, bo tak nazywa się ta świątynia położona malowniczo nad jeziorem Kandy w kompleksie pałacu królewskiego, przyciąga buddyjskich pielgrzymów z wielu zakątków Azji.

Legenda mówi, że ząb został wykradzony ze stosu pogrzebowego Buddy. Jest jeszcze druga wersja, według której w trakcie palenia ciała jeden ząb uniósł się ponad stos sygnalizując chęć pozostania na ziemi. Na Sri Lankę ząb dostał się w 313 r. przeschmuglowany we włosach księżniczki Hemamali, która uciekła tu przed hinduską armią atakującą królestwo jej ojca. Księżniczka wraz z mężem po wylądowaniu na Sri Lance wręczyli relikwię królowi Kirthi Sri Meghavarna. Król osobiście zaopiekował się zębem, budując mu świątynię w Anuradhapurze.

Ochrona relikwii stała się obowiązkiem króla. W ten sposób przez lata stała się ona symbolem władzy. Wierzy się, że ten, kto posiada ząb Buddy, może rządzić wyspą. Dlatego też królowie, którzy sprawowali władzę, budowali kolejne świątynie w pobliżu swoich siedzib. Aż w końcu ząb trafił do Kandy. Ząb przechowywany jest w specjalnej kaplicy na piętrze zwanej Vedahitina Maligawa w bogato zdobionym relikwiarzu składającym się z ośmiu pojemników umieszczonych jeden w drugim. Relikwiarz można obejrzeć jedynie trzy razy dziennie podczas celebracji zwanej puja – o świcie, w południe i wieczorem. I to też nie da się zobaczyć go z bliska. My trafiamy tu na wieczorna puja o 19:00. W ogłuszającym huku bębnow oczekujemy an otwarcie

drzwiczek. Ząb stoi w zamkniętym pomieszczeniu, którego drzwiczki zostają otwarte w trakcie puja, a pielgrzymi i turyści przechodzą przed okienkiem, przez które można zajrzeć do środka, popędzani przez strażników. Nie można się nawet zatrzymać. My też niewiele widzimy, bo przecież zęba nie da się zobaczyć, bo jest w skrzyneczce. Miejscowa ludność przychodzi tu z kwiatami lotosu i składa je przed kapliczką.

Jeszcze przed otwarciem drzwiczek na małym, wydzielonym kawałku kaplicy gromadzą się pielgrzymi, którzy przynieśli dary dla mnichów. Bo buddyjski mnich nie może sobie sam nic kupić – nosi szaty i używa przedmiotów, które dostanie. Dlatego ci, którzy przyniosą podarunki, mają prawo wejść do pomieszczenia z relikwiarzem. Muszą jednak cierpliwie poczekać, aż wszyscy inni obejrzą relikwię przez okienko.

W trakcie puja w świątyni rozlega się tradycyjne bębnienie, a nastrój jest naprawdę podniosły. Szczególnie można to odczuć wieczorem, kiedy na zewnątrz jest już ciemno, a w środku panuje półmrok. Po drugiej stronie dziedzińca świątyni znajdują się nowe pomieszczenia, w których złożono dary z całego świata. Na terenie świątynnym znajduje się pałac królewski, muzeum archeologiczne, łaźnie królewskie, sala Audiencyjna, czy muzeum słonia Radży – gdzie umieszczono wypchanego słonia, który przez około 30 lat był największą atrakcją święta Esala Perahera, a zdechł w 1988 roku.

Festiwal Esala Perahera to coroczne święto organizowane na Sri Lance w lipcu lub sierpniu, związane z przechowywaną w Kandy (dawnej stolicy wyspy) buddyjską relikwią Zęba Buddy. Przez dziesięć dni poprzedzających letnią pełnię księżyca do Świątyni Zęba Buddy podążają barwne procesje (perahera - procesja), a w nich, obok świątecznie wystrojonych tancerzy, bębniarzy, wszelakiej maści fakirów i połykaczy ognia głównymi aktorami są słonie ubrane w oszałamiające tkane narzuty, godne celebrantów samego Buddy. Kulminacja widowiskowych obchodów następuje w noc, gdy księżyc objawia się w pełni, potęgując swoim światłem niesamowitą atmosferę i wywołując u roztańczonego tłumu radosną euforię. Tego wieczoru, w złotej szkatule ulicami podąża najcenniejsza relikwia wyspy – ząb Buddy.

Co najważniejsze - procesja jednoczy nie tylko buddystów, ale wyznawców wszystkich lokalnych bóstw i bogów - Nathy, hinduskiego Visznu - stróża i opiekuna Sri Lanki, Buddy, Skandy - bóstwa wojny i pokoju i Pattiniego - bóstwa czystości i cnoty.

Tysiące uczestników orszaku śpiewa, wielu tańczy, ogromną rolę pełnią grający na bębnach, o których mawia się, że mają moc odganiania złych duchów. Święto w Kandy jest niezwykle barwne, a przemarsz ok. 60 udekorowanych słoni z jednym najważniejszym, niosącym pod baldachimem kopię relikwii. Przed tym słoniem rozrzuca się białe płótna, lny, by stąpał po najczystszej drodze. Spektakl z Kandy jest jednym z najpopularniejszych nie tylko w regionie wpływów kultury indyjskiej, ale w całej Azji. Został opisany już w XVII w. przez brytyjskiego kulturoznawcę jako ważne spektakularne wydarzenie na wyspie.

Ząb Buddy uważany za symbol wiary, ale również suwerennej władzy cejlońskich monarchów w ciągu wieków stanowił wyzwanie dla najeźdźców, którzy usiłowali wraz z nim pogrzebać niepodległość wyspy. W XVI wieku Portugalczycy wierząc, że zdołali wejść w jego posiadanie wywieźli relikwiarz na wybrzeże indyjskie i spalili. Relikwia, chroniona niczym największy skarb pozostała jednak ukryta na Sri Lance, gdzie wkrótce potem wzniesiono dla jej ochrony świątynię.

Co roku zarządcy Świątyni Zęba Buddy wyznaczają termin festiwalu i kończącej go procesji. W tym roku zaczyna się za niespełna dwa tygodnie, więc te ceny w hotelikach, to już chyba są z nastawieniem na gości przyjeżdżających na to święto.

Obecnie Perahera stanowi mieszankę tradycji buddyjskich i hinduistycznych, a w skład głównego pochodu wchodzi cztery inne, podążające ze czterech głównych sanktuariów (devala), w których czci się bóstwa opiekuńcze miasta. Festiwal rozpoczyna się ścinając drzewo Esala (w języku polskim jego nazwa oznacza „złocisty deszcz”), którego gałęzie sadzone są w obrębie czterech sanktuariów. W ciągu pierwszych pięciu dni festiwalu na terenie świątyni odbywają się mniejsze procesje, którym przewodniczą świeccy zarządcy sanktuariów, niosąc złoty miecz należący do czczonego w nich bóstwa. Uczestnicy proszą o deszcz, który przyniesie rolnikom

obfite plony. Szóstego dnia uczestnicy wychodzą na ulice miasta, łącząc się w główną procesję trwającą przez kolejnych 10 nocy. Z dnia na dzień udział w nich bierze większa liczba słoni, celebrantów, stroje stają się coraz barwniejsze. Przez pięć dni odbywają się Kumbal Perahera – pochody wokół umieszczonego w glinianej bazie drzewa Sala, następne pięć to Randoli Perahera - procesje Baldachimów, w których niegdyś noszono królewską rodzinę. Festiwal kończy największa z procesji, podczas której relikwiarz obnoszony jest po głównych ulicach miasta, po czym wraca do świątyni. W tym roku dzień kulminacyjnej procesji wyznaczono na 24 sierpnia.

W 1998 roku przed świątynią zdetonowano tamilską bombę, która znaczną część fasady świątyni obróciła w gruz. Zniszczenia usunięto bardzo pieczołowicie i wprowadzono kontrolę wchodzących na teren świątynny. Oczywiście po całym kompleksie trzeba chodzić na bosy.

Już dawno zapadł zmrok i czas wracać do hoteliku. Obchodzimy dookoła jezioro Kandy, które dookoła jest ogrodzone białym murowanym płotem. Jezioro powstało w 1807 roku. Wyspa na jeziorze służyła jako Królewski Domek Letni, który później Brytyjczycy przekształcili w skład amunicji. Aha w jeziorze żyją jakieś jaszczury, które sobie w najlepsze pływają, o czym mogliśmy przekonać się na własne oczy. Na konarach zanurzonych w wodach jeziora siedzą żółwie.

Po dłuższym spacerze wokół jeziora docieramy do hoteliku. Paweł wchodzi do naszego pokoju, zaświeca lampę, a tu szur szur po podłodze pomknęły karaluchy. Właściciel specjalnym sprajem spryskuje nam pokój, śmierdzi nieziemsko, więc musimy trochę posiedzieć na zewnątrz aby to wywietrzało. Dodatkowo szparę pod drzwiami między łazienką, a pokojem zastawiam wycieraczką. Tak na wszelki wypadek.

Przy okazji załatwiamy jutrzejszy wyjazd do wioski Weddów. Znajomy właściciela hoteliku, wie gdzie to jest i chętnie nas tam zawiezie. Super. Już nie mogę się doczekać.

### **18.07.2011 (poniedziałek)**

Wstajemy o 7:30, a pół godziny później siedzimy już w minivanie, który zawiezie nas do wioski Weddów. Dambana znajduje się około 90 km od Kandy. Śniadanie kupujemy w miejscowej kawiarence i zabieramy an wynos. Zjemy podczas jazdy.

Jedziemy raz w górę raz w dół po ostrych serpentynach górskich. Część drogi jest w dobrym stanie, ale część dopiero jest w budowie. Toteż kierowca nieźle musi się namęczyć jadąc po bitej drodze z koleinami. Co chwilę mijamy ekipy remontowe. Widoki z góry są bajeczne. Pogoda dopisuje i widać szczyty daleko na horyzoncie. Natomiast w dole doliny z polami ryżu. Przy drodze szaleją całe stada makak.

Z Mahijangany mamy już tylko 20 kilometrów, ale droga jeszcze bardziej się pogarsza. Najlepiej jakby już wcale na niej nie było asfaltu, bo dziury w nim są tak wielkie, że van wpada z hukiem w te zagłębienia. Kierowca się złości i wcale mu się nie dziwię. Kombinuje jak może jadąc slalomem, aby ominąć te pułapki, jednak dziur jest tyle, że to się nie udaje. Jedziemy czasem maksymalnie poboczem, aby uniknąć dziur. Na dodatek tempo przejazdu jest ślimacze, więc czas potrzebny na pokonanie 20 km wynosi całą godzinę. Na skrzyżowaniu dosiada się do nas pewien osobnik. Z opisów przeczytanych przed wyjazdem, na pierwszy rzut oka, widać, że to jeden z przedstawicieli Weddów. Z włosami zaczesanymi w kitkę i przepasany fragmentem materiału. Otrzymujemy woreczek z betelem, który mamy wręczyć wodzowi, abyśmy mogli odwiedzić wioskę.

Jedziemy jeszcze kawałek i wjeżdżamy wąską drogą do lasu. Tutaj zostawiamy samochód i już piechotą idziemy ścieżynką do domu wodza. Naszym oczom ukazuje się duża lepianka z dachem z trzciny ryżowej. Kobiety szybko się chowają w pomieszczeniach chaty. Natomiast do nas wychodzi wódz wioski. Nie mówi po angielsku, więc za tłumacza służy nam nasz kierowca. Wręczamy betel, a potem polskie kabanosy w ramach prezentu. Kabanosy znikają w czeluściach chaty.

Teraz możemy na spokojnie dowiedzieć się jak ludzie tu żyją i czym się zajmują. Są fajnie ubrani, tylko w szmatki, mają długie włosy i część z nich ma brody. Na ganku chaty wodza znajdują

się na ścianie zdjęcia np. z prezydentem, który odwiedził wieś Weddów.. Pod wiatą w wielkim garze gotują się dwa wielkie owoce, ale nie mam zielonego pojęcia co to jest.

Weddowie to lud zamieszkujący obszary górskie południowo-wschodniej Sri Lanki. Pierwsi Weddowie zawitali na Cejlonie około 16 tysięcy lat temu, kiedy istniał lądowy pomost między wyspą, a Półwyspem Indyjskim. Mówią językiem syngaleskim, należącym do indoaryjskiej grupy językowej. Buddyjskie kroniki opisują Weddów jako duchy, tak ulotna była ich obecność na wyspie, niewielki wpływ wywarli na środowisko i pozostawiali po sobie mało śladów w dżungli. Sami Weddowie pochodzą od księcia Widżai, uważanego również za przodka Syngalezów. Podobno poślubił on kobietę z plemienia Yaksa i miał z nią syna i córkę, z nich dwojga prawdopodobnie wywodzi się rasa Weddów. Nie wiadomo ile prawdy jest w tej historii, jednak pewne jest to, iż Weddowie i Syngalezi żyli blisko siebie przez setki lat. Na początku XX w. byli uważani za jeden z najbardziej pierwotnych ludów na Ziemi, asymilowanych przez Syngalezów. Ludność utrzymuje się ze zbieractwa, łowiectwa oraz uprawy ziemi. Pod względem antropologicznym są podobni do Aborygenów, ale ich przynależność do rasy białej lub czarnej do dzisiaj nie jest rozstrzygnięta - są niscy, głowy mają wydłużone, z czołem pochylonym, o silnych łukach nadoczodołowych, nos szeroki, włosy lekko faliste.

Mentalnie przenosimy się do innej cywilizacji, by wreszcie w sercu dziczy odnaleźć prymitywną wioskę Weddów – jedyne plemienia, spokrewnionego z aborygenami, które żyje poza Australią.

Pierwsze wrażenie po dotarciu na miejsce – cisza. Ponoć ta grupa etniczna nie zna wcale muzyki, stąd ta wszechobecna cisza, typowa dla myśliwych, zaczajonych na zdobycz. Trudno to zrozumieć Europejczykom żyjącym w kakofonii różnych dźwięków z dostępem do najbardziej skomplikowanych urządzeń elektronicznych ułatwiających życie.

Wódz wioski, czyniąc swoją powinność, okazuje jednak zainteresowanie przybyłymi. Jak każdy Syngalez nasz kierowca nie ma najlepszego zdania o leniwych Weddach, jak są odbierani wśród okolicznej społeczności. Postrzegani jako dzicy, niecywilizowani i niechętni do pracy bywają wręcz szykanowani na wyspie. Ponadto sam przyznaje się, że nie wszystko rozumie co mówią.

Zyjący ze zbieractwa Weddowie, zwani Wanniyala-aetto czyli Ludźmi Lasu (People of the Forest), są jedynymi rdzennymi mieszkańcami Sri Lanki, jednymi z najbardziej pierwotnych szczepów, żyjących dziś na ziemi, plemieniem nieznacznym liczebnie, nie obejmowanym w wielu statystykach. Spis ludności z 2001 r. wykazuje, że rozproszeni w dorzeczu Maduru stanowią zaledwie 700-osobową społeczność w 20-milionowym kraju (choć inne źródła podają od 400 do 1000 osób).

Przez znikomą ilość par między członkami plemienia sama ludność skazuje się na wymarcie, a że żyją w swoim zamkniętym kulturowo świecie, wyznając od wieków tę samą religię (mnisi buddyjscy pisali o nich już 500 lat p.n.e.), nie korzystają z wielu podstawowych zdobyczy cywilizacji. Co ciekawe – zachwali również swój rdzenny język wedda i używają słów, wywodzących się z dialektu używanego na Cejlonie przed przybyciem Indoaryjczyków.

Zadziwia silna homogeniczność plemienia, o którym przez lata zapomniano nawet na wyspie, dopóki pod koniec lat 90. nie zaczęli się dopominać o swoje prawa. Do 1998 r. na czele Weddów stał wódz Tissahamy, po śmierci którego władzę plemienną przejął syn, którego mieliśmy przyjemność odwiedzić. Kiedy jechaliśmy do wioski mijaliśmy dzieci z plemienia, umorusane, z potarganymi włosami, niczym czarownice.

Trudno oszacować wizualnie wiek któregośkolwiek z członków wedyjskiego plemienia. Wszyscy są szczupli, wręcz zgrabni, niscy, z burzą kędzierzawych hebanowych długich włosów, przypominających niesforne czupryny aborygenów. Mają wydłużone głowy i pochylone czoła, o silnych łukach nadoczodołowych oraz szerokie nosy – przez ową wyjątkowość fizjonomii do dziś nie są przypisani do żadnej rasy. Już po chwili znoszą na werandę domu wodza różne hebanowe figurki, ozdoby i koszyki zrobione nasion, czy też leśny miód. No i zaczyna się prezentacja tego, abyśmy kupili. Jak mówi nasz kierowca, nie pracują nigdzie, do szkoły też nie chodzą, więc jak raz na jakiś czas zjawi się turysta jest to szansa dla nich aby zdobyć pieniądze. Hmm kupujemy z Pawłem kupujemy hebanową figurkę, a Iwona miód. Chyba w ten sposób przyczyniamy się do ich



dalszego nieróbstwa i wyczekiwania na potencjalnego turystę. Jednak wioska jest w takim miejscu, że będzie musiało upłynąć dużo czasu, aż region będą masowo odwiedzać turyści.

Następnie wszyscy mężczyźni chcą nam pokazać zestaw tańców przed walką, usypiania dziecka, sprawności myśliwskich – posługiwanie się oszczepem i potężnym łukiem własnego wyrobu. Plemię słynie z produkcji potężnej broni myśliwskiej – łuki dochodziły niejednokrotnie do 3 m wysokości, co – zważywszy na wyjątkowo niską, pigmejską posturę noszących je mężczyzn – jest nie lada sprawnością. Jednak jak podają nam cenę, że trzeba zapłacić każdemu z nich to nam się odechciewa, bo suma jest zdecydowanie za wysoka, a owych Weddów jest ośmiu. Wszyscy rozsiedli się dookoła i przyglądają się nam. Im też jakoś specjalnie się nie śpieszy. Mają ze sobą łuki, albo siekiery przewieszane przez ramię.

Pokazują nam za to jak strzela się z łuku. Nie jest to takie łatwe jak się wydaje, o czym mógł się przekonać Paweł. Jego strzała wystrzelona z łuku nie poleciała daleko. Był zapewniamy mężczyźni, wykazujący aktywność niemal głównie nocami, gdy polują z oszczepami, procami i łukami w dżungli czy z małpią zręcznością wbiegają na najwyższe pnie. W ciągu dnia najwyżej pomagają kobietom w doglądaniu wychudzonego bydła, ale głównie siedzą zebrani wokół ogniska, przeżuając betel.

W ciągu stuleci na wyspie przybywało Syngalezów i tamilów, Weddowie zaś stopniowo mieli coraz mniej ziemi i z konieczności kryli się w lasach. W XX wieku zmuszeni byli cisnąć się nas szczuplejących terenach łowieckich, stale malejących z powodu zakrojonego na szeroka skalę nawadniania i rozwoju rolnictwa.

Dzięki lokalnemu tłumaczowi, który wykazywał ślady upośledzenia dowiedzieliśmy się, że dusze ojców przechodzą do ciał synów i czynią z nich męźniejszych myśliwych, więc spędzają czas na ich grobach przed każdym większym polowaniem. Wódz jest jednocześnie szamanem, ale to nie reguła – zaklina więc duchy zmarłych przy pomocy akrobatycznych tańców i to nie tylko bezpośrednio po pogrzebach.

Życiem wioskowym kierują wyłącznie mężczyźni - odprawiają rytuały taneczne, obradują zaciekle w swoim gronie, rozwiązując problemy wioski, gdzie najważniejszym atrybutem decydenta i zabierającego głos jest... siekiera, trzymana na ramieniu na ostrzu, tuż przy szyi. Wędruje z ramienia na ramię, w zależności kto zabiera głos. Na ogół na koniec trafia na długo do plemiennego wodza, głównego decydenta i rozstrzygającego sporne kwestie. Kobiety w tej społeczności są równe mężczyznom. Podczas ceremonii ślubnej panna młoda zawiązuje wokół bioder pana młodego powróż z łyka, który sama uprzednio skręciła. Jeśli w domostwie zdarzyła się śmierć, tradycja nakazywała, by ciało zmarłego przykryć liśćmi, a cała wspólnota miała przenieść się w inne miejsce. Wdowa mogła poślubić brata swojego zmarłego męża.

Postanawiamy rozejrzeć się po okolicy. Trzech Weddów prowadzi nas swoimi ścieżkami. Wchodzimy na leśną polanę, która jest terenem polowania. Na polanie stoją dwie chaty na palach, umieszczone wysoko nad ziemią, jakieś 15 metrów. Aby tam się dostać, trzeba wejść po drabinie. Wszystko wykonane jest bez gwoździ, bo ich oczywiście Weddowie nie posiadają. Nawet szczeble drabiny są przymocowane powrozem.

Nasz kierowca mówi, że ci trzej Weddowie mogą nam pokazać tańce, jak zapłacimy 2000 rupii. Ależ są łasi na pieniądzu. Nie udało się za pierwszym podejściem próbują drugi raz, tym bardziej, że ich pobratymcy zostali w wiosce. Dajemy się skusić, bo chcemy zobaczyć, co też robią. Jeden z nich nawet zmienia swoją spódniczkę, na mały kawałek materiału. Teraz wygląda naprawdę niczym człowiek lasu.

Możemy zobaczyć, jak zabijają zwierzę, jak na nie polują w lesie, w jaki sposób tropią swoją zdobycz. Najlepsze jest nianczenie dziecka. Śpiew jest masakra, dziecko na pewno nie zaśnie przy tym wyciu. W drodze powrotnej Iwona daje im cukierki, a jeden z Weddów pakuje do buzi wraz z papierkiem. Nie wiem czy to naprawdę, czy też robi sobie z nas jaja.

Wioska znajduje się w ostoi na obrzeżach parku anrodowego. Park Maduru Oya utworzony dla ochrony dzikich gatunków zwierząt w 1983 r. zakładał przede wszystkim zaprzestanie polowań na lokalnej zwierzynie i zakazie karczowania poletek pod uprawy. Na jego obrzeżach znajduje się jednak pięć weddyjskich wiosek. Poza rodziną Tissahamy wszystkie przeniesiono poza teren parku,

tym samym zostając odciętymi od terenów do tej pory łowieckich. Dopiero od 1998 r. rząd wydał zgodę na wygospodarowanie większej połaci parku na rzecz Weddów – do dziś pogardliwie zwanych „ludźmi z lasu” i uchodzących za ucieleśnienie demonicznych sił. Nie stali się jednak ani lokalną atrakcją (na własną rękę nie sposób ich odnaleźć w rozległych lasach), nie traktowani są serio jako mieszkańcy wyspy, mogący uchodzić za jej egzotyczną wizytówkę. Władze kraju za późno zauważyły „cennieść” kultury Weddów i przyczyniły się do jej wymierania. Większość Weddów po utracie terenów łowieckich, porzuciła swój tryb życia i zawarło mieszane małżeństwa z Syngalezami, odchodząc od dawnych wierzeń i kultury. Tylko ostatnie nieliczne wioski na wschodzie kraju zachowały dawane tradycje. Jednak zdeprecjonowani do granic wegetują w swoim skostniałym świecie, bez pomysłu na jutro. Od lat zaliczani do wymierających grup etnicznych w ciszy lasu żyją tak jak ich przodkowie 2500 lat temu. Póki jeszcze są – warto ich odnaleźć.

Po dwóch godzinach pobytu w wiosce zbieramy się w drogę powrotną. Na koniec przed samochodem uściski rąk i podziękowania oraz wręczenie owemu niepełnosprawnemu lekko Weddzie napiwku za to, że był z nami i tłumaczył kierowcy, a ten nam. No i z powrotem w drogę do Kandy.. o 17:00 dojeżdżamy na miejsce. Szybka kąpiel i szorujemy do miasta. Najpierw kupujemy pocztówki, a potem trafiamy do Muslim Restaurant, gdzie wielkimi tasakami szatkują dania. Łomot jest taki, że nie słyhać, co kto mówi. Jemy więc owo szatkowane danie – Beef Kottu, czyli wołowina z poszatkowanym plackiem parotty. Smaczne tylko trochę ciut za ostre. Obsługuje nas ten sam kelner co wczoraj i ponownie zapomniał o zamówionej przez nas herbacie, ale gdy mu przypominamy po chwili przynosi.

Najedzeni idziemy jeszcze do kawiarenki internetowej, gdzie jest szybkie łącze i możemy zamieścić na naszej stronie kilka fotorelacji z ostatnich dni. No i wracamy do hoteliku. Podczas okrążania jeziora na prostym chodniku, nagle odczuwam ból w kolanie, ale po chwili przechodzi. Hmm nie wróże nic dobrego. Po powrocie siedzimy na tarasie hotelowym do północy i przy piwie wypisujemy całą stertę pocztówek.

## **19.07.2011 (wtorek)**

Pobudka o 8:00, a pół godziny później opuszczamy Star Light. Kolano szwankuje, opaska założona, jakoś dam radę. Najpierw idziemy do naszej już sprawdzonej kawiarenki na kawę, sok i nadziewane bułeczki. Stamtąd w drodze na dworzec autobusowy zahaczamy o pocztę, aby wysłać kartki pocztowe do Polski. Wypisaliśmy ich całą masę, bo znaczek kosztuje 20 rupii, czyli jakieś 60 groszy.... więc można słać ile wlezie. Hehe po raz kolejny Aśka zostaje wzięta za naszą matkę...

Docieramy na gwarny dworzec autobusowy i łapiemy minibusa do Nuwary Eliyi położonej już w górach. Takim klimatyzowanym busem pojedzie się znacznie wygodniej niż czerwonym gratem. Moje kolano lepiej przetrzyma jazdę busikiem. Nasz bus wspina się serpentynami coraz wyżej, można dostać zawrotu głowy, co widać po dwojgu pasażerach, którzy właśnie mają chorobę lokomocyjną. Im jesteśmy coraz wyżej, tym coraz więcej pojawia się pól herbacianych. Tutaj wręcz się prosi o to, by podróż trwała jak najdłużej. Wszystko to dzięki niesamowitym widokom roztaczającym się dookoła. Gdzie nie spojrzeć zieleni, morze zieleni, bezmiar niesamowicie soczystej zieleni. Zarastająca, obłapiająca, wrastająca się w każdą wolną przestrzeń. Cudownie wyglądają owe zielone góry, zielone lasy porastające wzgórza. Pojawiają się też pierwsze kobiety, ręcznie zbierające liście z krzewów herbacianych. Mijamy kolejne pagórki, w dolinach między nimi zalega często gęsta mgła. Po 2,5 godzinach jazdy docieramy do Nuwara Eliya. Jest tu znacząco chłodniej, a miejscowa ludność poubierana w puchowe kurtki, czapki, nauszники i... klapki. Zawsze mnie śmieszy to w Azji. Gdziekolwiek nie pojawiam się w obszarze górskim strefy tropikalnej ludziom na wysokości jest zimno. My w krótkich rękawkach, oni w puchowych kurtkach, a dzieci mają na głowach wełniane kominy, które szczelnie chronią głowę i szyję, tylko twarz im widać... Ja na ich miejscu bym się ugotowała.

Górzysta kraina rozpościerająca się w sercu wyspy to zupełnie inny świat niż pozostałe obszary kraju. Podczas gdy niziny prażą się w niemiłosiernym upale pod tropikalnym słońcem, na

wyżynach panuje wieczna europejska wiosna. W wyższych partiach zaś rześkie powietrze niezmiennie przypomina pogodę europejską jesień. Cały obszar zajmują zielone góry i pagórki.

Rozglądając się po otoczeniu miasta Nuwara Eliya, można łatwo zrozumieć, dlaczego upodobali ja sobie brytyjscy osadnicy. W porównaniu z upałem i pyłem unoszącym się w Kolombo, tutejszy zdrowy klimat i cudowne pejzaże, działają niczym kojący balsam. Odkrył to w 1828 roku gubernator Edward Barnes i raz po raz powracał w te tereny dla ochłody. Nieco później nieustraszony odkrywca Samuel Baker wprowadził w tym rejonie rolnictwo na modłę angielską i dlatego nawet teraz sadi się tu buraki, kapustę, pory, ziemniaki i truskawki.

Mimo imponującego kolonialnego dziedzictwa ostatnie dziesięciolecie nie były dla Nuwary Eliyi łaskawe. Sporą przestrzeń w centrum zajęły szeregi brzydkich betonowych budynków, poza tym miastu daje się we znaki uciążliwy ruch uliczny. Gdzieś tam otrzymują się wspomnienia starej Anglii: w zacisznym zielonym parku Wiktorii i na polu golfowym, a także w staroświeckich szachulcowych hotelach i pensjonatach rozsianych po obrzeżach miasteczka.

Charakterystyczną brytyjską aurę miasteczko w znacznej części zawdzięcza brytyjskiemu odkrywcy Samuelowi Bakerowi, który wsławił się tym, że dotarł do źródeł Nilu. Baker spędził tu jakiś czas w latach 40 XIX wieku zamierzając przekształcić okolice w angielską osadę. Bez wahania sprowadził więc z Anglii krowy rasy Hereford, a na cejlońskiej ziemi kazał posadzić truskawkę, marchewkę i pory – wszystko, co oczywiście świetnie udawało się w klimacie wiecznej wiosny. Snuł również plany budowy browaru i posłał nawet do ojczyzny po wyposażenie. Sprowadził także kilku farmerów, rzemieślników, kowala z kuźnia, maszyny rolnicze, powóz konny i cały arsenał sportowej broni.

Swoje kroki z centrum miasteczka kierujemy do pobliskiego hoteliku Victoria Inn, zamykamy okna, bo zdecydowanie w pokojach chłodno i wilgotno, a ponadto jakoś na dworze zaczęło wiać. Zabieram się za postawienie mojej nogi do stanu używalności... czyli stosuję miksturę z różnych trzech maści, okładam całe kolano, zawijam i o 13:00 ląduję w łóżku. Tyle z dzisiejszego dnia... Reszta idzie oglądać miasteczko, a ja z laptopem oglądam filmy... W międzyczasie Paweł przynosi mi w pudełku obiad – dość ostre biriani kurczakowe. Potem zasypiam i śpię do 20:00. w tym czasie reszta ekipy zwiedza tutejszy park, a na lokalnym bazarze kupują owoce – nasze ulubione marakuje, zwane przez nas smarkami, bo taką mają konsystencję i kolor. Pychota. Jednak Asia z Iwoną nie widzą w nich nic niezwykłego...

Dobra znowu czas spać. Mam nadzieję, że te maści i odpoczynek postawią kolano na właściwe tory, bo muszę pobiec na plantacje herbaciane i popatrzeć na pracę Tamilek zbierających liście herbaty.

Mark Twain, który odwiedził wyspę Cejlon w 1896 roku, odnotował: „Uprawa herbaty to dziś na Cejlonie świetny interes – podobno przynosi nawet 40% zysku!” Źródła podają, że pierwszą plantację herbaty założyli na Cejlonie Holendrzy w XVII w., podczas okupacji wyspy. Jednakże dopiero z 1824 roku, a więc z okresu brytyjskiej kolonizacji pochodzą pierwsze dokumenty dotyczące uprawy herbaty na tych terenach.

Początkowo „uprawiano” zaledwie kilka krzewów przywiezionych z Chin, które rosły w nowozałożonym Królewskim Ogrodzie Botanicznym w Peradeniya, niedaleko Kandy. Sytuacja zmieniła się w roku 1839, kiedy rozpoczęto poważne badania nad wzrostem herbaty. Wiązało się to m.in. z dostawą sadzonek herbaty Assam, pochodzącej z ogrodu botanicznego w Kalkucie. W ciągu kolejnych kilku lat na wyspę przyplłynęły setki sadzonek, z których część trafiła do herbacianej szkółki w Peradeniya, a resztę wysłano na wyżynę Nuwara Eliya, aby sprawdzić, jak rośliny zachowają się na dużych wysokościach. Pierwsza niewielka fabryka herbaty, będąca prywatnym przedsięwzięciem na małą skalę, rozpoczęła działalność w roku 1841. Sadzonki z Chin przywieźli wówczas pochodzący z Niemiec bracia Worms, którzy założyli plantację Rothschild. Pomimo tego, iż wysłane przez nich do Anglii próbki herbaty okazały się znakomitej jakości, to jednak z powodu braku wykwalifikowanych pracowników ich przedsięwzięcie upadło. Po nieudanym doświadczeniu z herbatą, bracia Worms skoncentrowali swoje wysiłki na uprawie kawy, gdyż był to okres boomu kawowego na Cejlonie.

Początki cejlońskiego przemysłu plantatorskiego datuje się na lata 30. XIX wieku, kiedy to

miało miejsce zjawisko wzmożonej ekspansji plantatorów w głąb lądu, w kierunku wyżynnych terenów wyspy. Zapał i dynamika tych ruchów porównywana była często do słynnej kalifornijskiej gorączki złota. Ta szaleńcza aktywność związana była również z upadkiem brytyjskich plantacji kawy w zachodnich Indiach, w których w tym czasie zniesiono niewolnictwo.

Brytyjscy i inni spekulanci w nadziei na powtórzenie sukcesu z Indii, kupili na Cejlonie porośniętą dżunglą ziemię, którą następnie, przy wydatnej pomocy okolicznych mieszkańców, wykarczowali i założyli na niej plantacje kawy. Na początku nowi plantatorzy żyli w trudnych warunkach, mieszkając w prowizorycznych szałasach. Kiedy już jednak powstały pierwsze plantacje, wybudowali na nich wygodne, małe parterowe domki. Zaczęli też zatrudniać pracowników – emigrantów z Południowych Indii – którzy mieli zbierać owoce kawy. W ten właśnie sposób Brytyjczycy stworzyli „system uprawy”, w którym dominującą rolę odgrywali Tamilowie. Pomimo spadków cen i bankructw 1847 roku, przemysł wyspy rósł w siłę, osiągając swój największy wzrost w połowie lat 60. XIX w.

W tym okresie rozpoczęła się powolna ewolucja w przemyśle herbacianym Cejlonu. George Thwaites, nowy dyrektor Ogrodu Botanicznego w Peradeniya, przekonał cejloński rząd, że uprawa herbaty może stać się bardzo opłacalna i otrzymał nasiona herbaty Assam. Nasiona te przekazał następnie Jamesowi Taylorowi, uznanemu szkockiemu plantatorowi kawy, aby ten oszacował ich wartość rynkową. Taylor uwielbiał eksperymenty – był np. pionierem uprawy drzewa cinchona, z którego pozyskiwano chininę, czyli lek na malarię. Był on wówczas zarządcą plantacji Loolecondera, na której w 1867 roku na powierzchni 20 akrów zasadził подарowaną mu herbatę. Chętnie korzystał z bezcennych rad, których udzielali mu dawni plantatorzy herbaty Assam, pracujący wówczas na Cejlonie. Taylor nie tylko jednak uczył się, jak hodować tę nową dla niego roślinę, ale nawet udoskonalił technikę zbioru, zalecając zrywanie „dwóch listków i pączka”.

Tym, co odróżniało Taylora od jego poprzedników, było jego zaangażowanie nie tylko w uprawianie herbaty na skalę handlową, ale również w proces jej mistrzowskiego przygotowania. Herbaciane liście przetwarzał na werandzie swojej chaty – na drewnianym stole były one odpowiednio, ręcznie skręcane, a następnie suszone w glinianym piecu. Efektem był wyśmienity napar sprzedawany w okręgu Kandy w cenie 1 rupii i piętnastu centów za porcję.

Taylor prowadził swoje eksperymenty w odpowiednim czasie, ponieważ w 1869 roku stwierdzono, że liście kawy zaatakowała zaraza. Przenikliwy George Thwaites już wówczas ostrzegał przed nadciągającą klęską, ale nikt nie traktował takich przepowiedni poważnie, aż do momentu, w którym zaraza zaczęła rozprzestrzeniać się z jednej plantacji na drugą, niszcząc uprawy i zmuszając plantatorów do porzucenia ogromnych połaci ziemi. Wielu z nich popadło niebawem w ruinę.

Wkrótce plantatorzy doszli do wniosku, że to herbata może okazać się jedynym dla nich ratunkiem. Natychmiast też rozpoczął się proces przekierowania przemysłu. Jedni usuwali z pól martwe lub obumierające krzaki kawy i dopiero na tak oczyszczonym gruncie sadzili herbatę, inni zaś sadzili ją obok dotkniętej chorobą kawy, aby nie zmarnować resztek zbiorów.

Przejsie od uprawy kawy do herbaty było stosunkowo łatwe, ponieważ na wyspie była odpowiednia ilość plantatorów oraz sprawnie działający system upraw. Dodatkowo wyspa dysponowała dobrze zorganizowaną infrastrukturą dróg i kolei, co zapewniało szybki transport surowca do portów załadunkowych.

W przeciwieństwie do kawy, rośliny sezonowej, herbata jest byliną i jej wyhodowanie jest bardziej skomplikowane, a samo prowadzenie plantacji wymaga większych nakładów pracy. Kiedy zatem przemysł herbaciany zaczął się rozwijać, pochodzący z południowych Indii nadzorca wracali z Cejlonu do swoich rodzinnych wiosek w poszukiwaniu pracowników. Rodziny, które zdecydowały się na podróż, nie zdawały sobie sprawy, jak ciężka i niebezpieczna może się dla nich okazać. Wielu z nich umarło na statku w skutek chorób lub braku jedzenia, a tym, którzy przeżyli, przyszło żyć w przerażających często warunkach.

W tym przejściowym okresie wiele dawnych magazynów kawy zostało przerobionych na zakłady produkcji herbaty, a na nowszych plantacjach pojawiły się małe, budowane na zamówienie fabryki. W latach 80., wraz z rozprzestrzenianiem się obszaru objętego uprawą herbaty, niezbędne

okazały się wielkie fabryki, zdolne objąć produkcją ogromne ilości herbacianych liści. Większość specjalistycznego sprzętu była produkowana w Anglii i transportowana na plantacje. Duże nakłady finansowe niezbędne do budowy fabryk i zakupu maszyn, doprowadziły do załamania się rynkowej wartości plantacji.

Sytuację tę wykorzystał Thomas Lipton – bogaty właściciel sieci sklepów spożywczych w Anglii. Przyjechał na Cejlon w 1890 roku, kupił kilka plantacji i w ciągu trzech tygodni stał się posiadaczem największych upraw na wyspie. Celem Liptona było wyeliminowanie pośredników i obniżenie tym samym cen herbaty w jego sklepach.

Odkąd rozpoczął swoją przygodę z herbatą, Lipton spędzał połowę roku na Cejlonie, czym zyskał sobie przydomek „Tea Tom” – herbacianego Toma. Zreorganizował on swoje plantacje, wprowadził liczne innowacje, takie jak np. system wagoników transportujących zebrane liście do fabryki. Lipton odegrał również bardzo istotną rolę w tworzeniu wizerunku Cejlonu jako herbacianej wyspy. To właśnie on stworzył pierwsze etykiety i spopularyzował równanie: CEYLON = HERBATA. W tym okresie sprzedaż i konsumpcja herbaty w Anglii zanotowały bardzo wysoki wzrost.

Inną wypromowaną na cejlońskiej herbacie marką była Mazawattee Ceylon Tea Company, której produkt był reklamowany na stacjach kolejowych w całej Anglii.

Oczywiście handel herbatą w Anglii rozwijał się już wcześniej. Szybkie statki żaglowe zwane kliperami już od lat 40. XIX wieku zaopatrywały angielskie porty w chińską herbatę. Pierwszy transport paczek cejlońskiej herbaty został wysłany do Anglii na pokładzie Księcia Argyll w sierpniu 1875 roku. Przez kolejnych kilka lat coraz większe dostawy docierały do domu aukcyjnego Mincing Lane. W roku 1891 herbata cejlońska zdobyła rozgłos i osiągnęła bardzo wysokie ceny dzięki tak zwanym „Golden Tips”, czyli „Złotym Pączkom”.

Jednocześnie w latach 80. handel herbatą w Colombo rozwijał się niezwykle dynamicznie. Zapewniające obsługę plantatorom agencje handlowe, które istniały na wyspie od czasów boomu kawowego, teraz zajęły się herbatą i finansując zubożałych plantatorów stały się nieodłącznym elementem „herbacianego przewrotu”. Zarządzały one również zbiorami i opiekowały się plantacjami pod nieobecność ich właścicieli.

Szybko stało się jasne, że Colombo będzie musiało pójść w ślady Mincing Lane i rozpocząć sprzedaż na publicznych aukcjach. Pierwsza taka aukcja miała miejsce w 1883 roku. W ciągu następnych miesięcy odbywały się one coraz częściej, a w końcu zyskały taką rangę, że w 1884 roku powołano w Colombo pozostające pod auspicjami Cejlońskiej Izby Handlowej Towarzystwo Handlu Herbatą, którego celem było prowadzenie systematycznej sprzedaży.

W pierwszych 25 latach handlu herbatą przemysł Cejlonu osiągnął fenomenalny wzrost. W tym czasie człowiek, który był ojcem gospodarczego sukcesu herbaty, James Taylor, wciąż zarządzał plantacją Loolecondera, do którego to miejsca był bardzo przywiązany. Po kłótni z jej właścicielami, w kwietniu 1892 roku polecono mu wziąć urlop zdrowotny. Kiedy będący w jak najlepszym zdrowiu Taylor odmówił, zwolniono go. Nie opuścił jednak plantacji – zachorował na czerwonkę i w ciągu kilku dni zmarł. Jego grób znajduje się w Kandy.

Plantatorzy cejlońscy mieli swoją własną organizację, utworzoną jeszcze w „epoce kawy”. Było to Towarzystwo Plantatorów, które dbało o promocję herbaty podczas wczesnych lat herbacianego przemysłu. Od 1880 roku cejlońska herbata zaczęła pojawiać się na głównych międzynarodowych wystawach i już w 1893 roku zanotowała ogromny sukces – na międzynarodowych targach w Chicago sprzedano ponad milion paczek!

Na przełomie XIX i XX wieku rynek herbaty w Anglii nie był już powiązany z Chinami, ale z Cejlonem, którego herbaciany przemysł wzbudzał ogromne zainteresowanie. Powstał nawet archetyp cejlońskiego plantatora, którego najlepszą ilustracją jest powieść i film pt.: „Elephant Walk” (Spacer słonia). Był on niezmiennie przedstawiany jako nieustępliwy, ciężko pracujący „twardziel”.

Wielki światowy kryzys ekonomiczny wczesnych lat 30. XX wieku przekonał plantatorów o potrzebie promocji cejlońskiej herbaty na dużą skalę. W 1932 roku powstało Cejlońskie Ministerstwo Propagandy, które prowadzić miało międzynarodową kampanię promocyjną. Jej

częścią był zrealizowany na zamówienie Ministerstwa, a nakręcony przez najlepszy w Anglii zespół filmowy dokument prezentujący Rajską Wyspę – „Song of Ceylon” (Pieśń Cejlonu). Pomimo, iż film ten stworzył piękny portret wyspy i jej mieszkańców, to jednak o przemyśle herbacianym mówił bardzo niewiele. To okazało się mniej istotne, ponieważ film ten, do dziś uważany za jeden z najlepszych dokumentów wszechczasów, był regularnie wyświetlany, dając światu wyobrażenie o dalekim kraju.

Po odzyskaniu przez Cejlon niepodległości w 1948 roku, a szczególnie po wyborach w 1956 roku, liczba brytyjskich plantatorów gwałtownie zmalała, co dało samym Cejlończykom możliwość zaangażowania się w herbaciany interes i jednocześnie obciążało ich odpowiedzialnością za jego dalszy rozwój.

Po odzyskaniu niepodległości polityka promocji cejlońskiej herbaty była kontynuowana. Między innymi w licznych stolicach świata utworzono herbaciane restauracje zwane Centrami Herbaty, z których najważniejsza była placówka londyńska, sprzedająca w swoim najlepszym okresie pół miliona filiżanek herbaty rocznie. Dodatkowy rozgłos zyskała ona, kiedy w 1962 roku odwiedziła ją królowa Elżbieta.

Charakterystyczny symbol lwa – znak jakości cejlońskiej herbaty – był kolejnym spektakularnym marketingowym sukcesem. Niestety sukces ten w rzeczywistości nie sprzyjał interesom cejlońskiej herbaty, zapewniając zyski obcym markom. To była epoka, w której niezliczona liczba marek pojawiających się na rynku, wykorzystywała symbol lwa, zapewniający im przychyłność konsumentów i komercyjny sukces. Te właśnie firmy jako pierwsze porzuciły Cejlon w poszukiwaniu tańszej herbaty...

Lata 60. do dziś określane są mianem złotej ery cejlońskiego przemysłu herbacianego. W 1961 roku produkcja osiągnęła po raz pierwszy pułap 200 milionów kilogramów herbaty, aby do 1965 roku wzrosnąć o kolejnych 28 milionów. Cejlon pobił wówczas potrójny rekord – najwyższej w historii produkcji, największego eksportu, a jednocześnie pierwszej pozycji wśród światowych eksporterów. Te znakomite wiadomości nadeszły niemalże równo sto lat po tym, jak James Taylor zasadził tu swoje pierwsze sadzonki. Takie statystyki były doskonałym podsumowaniem, pierwszego, pełnego chwały i sławy stulecia cejlońskiej herbaty.

Koneserzy są zgodni: na Cejlonie produkuje się najlepsze herbaty świata. Ale czy sama deklaracja, że herbata pochodzi z Cejlonu, daje nam gwarancję, że jest to rzeczywiście dobra herbata? Dzięki wielkiemu zróżnicowaniu wysokości upraw – od poziomu morza, poprzez wyżyny, aż po góry, sięgające 2000 m n.p.m. – Cejlon produkuje herbaty... bardzo różne. Wiele z nich to rzeczywiście herbaty najwyższej jakości, poszukiwane przez koneserów i osiągające na aukcjach najwyższe ceny.

Jakość ta wynika przede wszystkim z nadzwyczajnych warunków klimatycznych, czyniących z Rajskiej Wyspy prawdziwy raj dla herbaty. Łaskawość natury jest mądrze wykorzystywana przez cejlońskich plantatorów: w odróżnieniu od wielu innych krajów, w których coraz powszechniejszy staje się zbiór mechaniczny, uniemożliwiający odpowiednią selekcję listków, na Cejlonie herbatę wciąż zbiera się ręcznie, najczęściej stosując tzw. zbiór dokładny (zrywa się tylko dwa młode listki i pączek liściowy). Dalszy proces produkcji też przeważnie przebiega w sposób tradycyjny, stosowany od setek lat i nazwany ortodoksyjnym (ang. Orthodox). Według danych z 2003 roku, około 94% wyprodukowanej w Sri Lance herbaty to właśnie „herbata ortodoksyjna”, a zaledwie ok. 6% produkcji powstaje przy użyciu metody CTC, znacznie młodszej, dającej mniej ciekawe i mniej zróżnicowane gatunki (w Polsce herbaty produkowane tą metodą nazywane są granulatem). Dla porównania, w Kenii, która jest drugim po Sri Lance największym eksporterem czarnej herbaty, granulata stanowi aż 98% całej produkcji, a w Indiach (trzeci największy eksporter herbaty czarnej) – 90%.

Wszystko to znajduje odzwierciedlenie na aukcjach herbaty: średnia roczna cena kilograma herbaty cejlońskiej jest aż o 31% wyższa od średniej rocznej ceny kilograma herbat kenijskich i o 10% od ceny herbat indyjskich. Nie oznacza to jednak, że każda herbata cejlońska jest lepsza od dowolnej herbaty z Kenii lub Indii. Co tydzień plantacje Sri Lanki opuszcza około 8000 partii herbaty, różniących się między sobą nie tylko barwą liści oraz barwą, smakiem, aromatem, mocą i

innymi walorami naparu, ale także jakością. Ze średnich cen osiągniętych przez cejlońskich producentów na aukcjach wynika tylko to, że dobrych herbat produkuje się na Cejlonie znacznie więcej niż w innych krajach.

W czasach kolonialnych Cejlon, podobnie jak inne kolonie, traktowany był wyłącznie jako dostawca surowca. Odzyskanie przez wyspę niepodległości w 1948 roku nie zmieniło tej sytuacji. Światowy handel herbatą kontrolowany był całkowicie przez firmy europejskie, które wołały (i nadal woła) kupować herbatę luzem, aby pakować ją w Europie, opatrywać swoją marką i sprzedawać z kilkusetprocentową marżą. Początek zmian nastąpił dopiero w latach 80. XX wieku.

Zmiany te zapoczątkował Merrill J. Fernando, znany kiper i plantator, który jako pierwszy lankijski przedsiębiorca sprowadził na Cejlon maszyny paczkujące. Wkrótce rozpoczął paczkowanie czystej herbaty cejlońskiej na miejscu upraw i ze stworzoną przez siebie marką Dilmah ruszył na podbój świata. Dziś, Dilmah zaliczana jest do ścisłej światowej czołówki herbacianych marek.

Sukces ten otworzył oczy innym cejlońskim przedsiębiorcom. Coraz częściej na sklepowych półkach pojawiają się przeróżne marki ze Sri Lanki, oferujące czystą herbatę cejlońską pakowaną na Cejlonie. Niestety analogia z przedsięwzięciem Merrilla J. Fernando kończy się często właśnie na napisie „Pure Ceylon Tea”.

Stworzona przez Merrilla J. Fernando grupa przedsiębiorstw MJF Group to wyjątkowy, w pełni zintegrowany system produkcji herbaty. Składają się nań między innymi:

- plantacje, stanowiące około 10% całego areалу upraw na Cejlonie i uznawane za jedne z najlepszych na wyspie;
- jedna z najnowocześniejszych na świecie fabryk paczkujących, wyposażona w unikalny system czyszczenia herbaty;
- własne laboratoria kontrolujące jakość produktów (firma uzyskała i terminowo weryfikuje certyfikaty ISO i HACCP);
- grupa doskonale wyszkolonych kiperów herbaty;
- jedna z najstarszych na Cejlonie firm brokerskich;
- wyspecjalizowana drukarnia opakowań;
- fabryka opakowań drewnianych.

To olbrzymi potencjał, umożliwiający działanie na dużą skalę. Pomimo tego MJF Group nadal funkcjonuje w sposób charakterystyczny dla firm rodzinnych. Motorem działania pozostaje przede wszystkim pasja rodziny Fernando (wraz z Merrillem firmę prowadzą jego dwaj synowie, Dilhan i Malik) – uwielbienie herbaty i chęć dostarczania jej miłośnikom tego, co najlepsze. Pasja ta wsparta jest rzetelną wiedzą: Merrill J. Fernando to jeden z najbardziej poważanych kiperów i plantatorów herbaty, z 55-letnim doświadczeniem w branży. Najwyższa jakość produktów, przestrzeganie zasad etyki handlowej, wierność tradycji oraz szacunek dla konsumenta – oto filary, na których Merrill J. Fernando zbudował renomę swojej marki. Bez wahania udziela produktom Dilmah swej osobistej gwarancji – na każdym opakowaniu znajduje się jego zdjęcie i podpis, a często herbacie towarzyszy jego list do konsumentów, w którym opowiada on o swej drodze życiowej i pasji. O poczuciu odpowiedzialności za lokalną społeczność świadczy z kolei zaangażowanie Fundacji Charytatywnej Merrilla J. Fernando w pomoc najbardziej potrzebującym – w ostatnich czasach przede wszystkim ofiarom Tsunami.

Nie wszystkie firmy cejlońskie dostrzegły związek między sukcesem Merrilla J. Fernando a wyżej wymienionymi aspektami jego działalności. Niektórzy (na szczęście bardzo nieliczni) przedsiębiorcy sądzą, że tajemnica tego sukcesu tkwi wyłącznie w marketingu. Są to najczęściej handlarze, którzy do tej pory nie mieli wiele wspólnego z produkcją herbaty. Kupują jedną lub dwie zużyte maszyny paczkujące oraz tanią herbatę na aukcji i paczkują ją w trudnych do zaakceptowania warunkach sanitarnych. Myśląc wyłącznie o szybkim wzbogaceniu się, zapominają o czyszczeniu herbaty, laboratoriach, profesjonalnych kiperach. Pamiętają natomiast o skopiowaniu niemal słowo w słowo listu Merrilla do konsumentów i nie wahają się oznajmiać, że są „dużym producentem, posiadającym własne plantacje herbaty”. Liczą oni zapewne na to, że zamorscy kupcy i konsumenci nigdy nie będą mogli zweryfikować prawdziwości tych stwierdzeń.

Równocześnie powstaje w Sri Lance coraz więcej mniejszych lub większych firm, które dzięki ciężkiej i uczciwej pracy osiągają na rynkach świata mniejsze lub większe sukcesy. Firmy te często są małe, co jednak nie ma znaczenia dla jakości ich wyrobów – przecież firma Merrilla J. Fernando też kiedyś była mała w relacji do ówczesnych światowych gigantów. Herbata będzie z pewnością znakomita, jeśli produkująca ją firma ma odpowiedni system kontroli jakości i posiada na to odpowiednie certyfikaty oraz, przede wszystkim, jeśli jej właściciele i pracownicy szanują konsumentów i... kochają herbatę.

## 20.07.2011 (środa)

Dzisiaj pobudka dopiero o 9. Wyspani na maksa. Moje kolano ma się po stokroć lepiej. Chyba służy mu indyjska maść rumałaja. Oczywiście dalej boli, ale jak jeszcze założę opaskę, to da się chodzić. Bez szaleństw, ale się da.

Nocą było słyhać wiatr i deszcz. Jednak teraz pogoda jest zdecydowanie lepsza, choć wszystko tonie we mgle, a powietrze jest bardzo rześkie. Idziemy poszukać tradycyjnie małej kawiarenki, gdzie można kupić na śniadanie nadziewane bułeczki i kawę. Przy okazji mogę popatrzeć na tutejszą ludność. W regionie jest sporo muzułmanów i hindusów – Tamilów z Indii, co ma swoje odzwierciedlenie w ich codziennym stroju.

Po śniadaniu idziemy na dworzec autobusowy, aby wsiąść w transport, który zawiezie nas do fabryki herbaty koncernu Mackwoods w Labookelle w pobliżu Nuwary. Mackwoods posiada na Cejlonie prawie 11 tys. hektarów pól herbacianych, a każdy hektar to około 1250 krzewów. Łatwo policzyć jaki jest roczny rozmiar produkcji herbaty przez sam tylko jeden koncern. Czekamy prawie godzinę na busa, bo jeden akurat był pełny, a w drugim musiała uzbierać się odpowiednia ilość osób aby ruszył.

Przyjeżdżamy do fabryki, mijając zamglone wzgórza. Nie jestem z tego powodu zachwycona, bo gdzie moje Tamilki zbierające liście? W tej mgle niczego nie widać na odległość nosa. Liczę jednak że w miarę czasu mgła zejdzie.

Fabryka okazuje się być niezłym biznesem turystycznym. Można obejrzeć w fabryce proces produkcji herbaty, a potem zejść do drugiego budynku w którym mieści się kawiarnia serwująca darmową herbatę i sklep, gdzie owe herbaty można zakupić. Mamy szczęście gdyż akurat są zbiory i możemy zobaczyć jak wygląda proces tworzenia herbaty.

Zaczynamy od zwiedzenia fabryki. Zabiera nas pracownik owej fabryki, który pokazuje nam próbki różnych herbat. Dookoła unosi się fantastyczny zapach herbaty, który ma coś w sobie z zapachu siana. Podczas wizyty dowiadujemy się jak wygląda proces obróbki jak i przechodzą zielone liście, zanim staną się suchą czarną herbatą jaką znamy ze sklepów. 5kg liści można uzyskać 1kg herbaty. Każdy krzew rośnie około 40-50 lat a rocznie daje 15-18kg zielonych liści. Tutejsza plantacja zatrudnia 680 zbieraczek herbaty.

Na wyspie znajduje się dziś ok. 200 estates, czyli posiadłości należących do różnych właścicieli. Uprawy zajmują ponad 220 tys. hektarów, rosną one od poziomu morza do ok. 2 000 m. Najlepsze herbaty pochodzą z wysokości ponad 1 200 m (tzw. High Grown). Sri Lanka specjalizuje się w herbatach czarnych (ok. 300 tys. ton rocznie), ale jedna z najdroższych na świecie białych herbat, tzw. Silver Tips, także jest produktem cejlońskim. Ręczny zbiór sprawia, że herbata ta jest bardzo ceniona. Trudnią się tym kobiety, głównie Tamilki. Musi to być tzw. zbiór dokładny – zrywane są dwa najmłodsze listki z pączkiem.

Wszystkie gatunki prawdziwej herbaty (trzeba pamiętać, że zioła takie jak mięta czy rumianek nie są herbatą, mimo że tak są nazywane) pochodzą z krzewu *Camellia sinensis*. Smak i kolor zależą, podobnie jak w przypadku winorośli, od warunków, w jakich rosną krzewy (wysokość n.p.m., pogoda), sposobu zbioru i dalszych procesów, jakim są poddawane liście. W przypadku czarnej herbaty klasyczna obróbka składa się z następujących etapów:

Najpierw liście herbaty przyjeżdżają w workach, następnie są rozsypywane na sitach, ciągnących się przez całą halę. Suszą się zwykłym nawiewem powietrza przez 10-12 godzin i z 1800 kg robi się



połowa. Potem herbata trafia do specjalnego urządzenia, które roluje liście oraz cięte w przypadku herbat typu Broken. Kolejnym etapem jest proces fermentacji który trwa około 2 godzin.

Utlenianie, zwane również fermentacją, której herbata zawdzięcza aromat, smak i kolor – czas trwania zależy od różnych czynników, m.in. pogody oraz wysokości nad poziomem morza, na której znajdują się plantacje (w okolicach Nuwara Eliya trwa ono ok. 2 godz. 50 min). Proces utleniania obejmuje: rolowanie zwiędłych liści w specjalnych maszynach (ok. 20 min), dzięki czemu „uruchamia” się w nich proces fermentacji, następnie rozdrabnianie (11 min) i leżakowanie na tzw. stołach fermentacyjnych do końca ustalonego czasu utleniania.

Zarówno czarna, jak i zielona herbata powstają z tych samych liści. Różnice w dalszym przetwarzaniu pojawiają się dopiero po zakończeniu procesu wędnięcia. Czarną herbatę poddaje się fermentacji: liście zwijane są w ciasną rolkę, co rozłamuje ich powierzchnie umożliwiając dostęp tlenu do wnętrza. Proces oksydacji trwa od dwu do trzech godzin: w jego efekcie listki zabarwiają się brązowo, zaś na poziomie mikrochemicznym dochodzi do wielkiej zmiany smaku - w porównaniu do herbaty zielonej. Chemicznie przemieniają się wszystkie składniki herbaty. Fermentacja powoduje, że garbniki zamieniają się w związki aromatyczne, w związku z czym udział garbników znacznie się zmniejsza - równoległe do tego zmniejsza się również udział witaminy C i niektórych związków mineralnych, na przykład wapnia. Z kolei przy zielonej herbacie należy zapobiegać fermentacji. Najczęstszym sposobem jest krótkotrwałe podgrzanie listków. W zależności od gatunku liście duszone są na parze, przesmażane na wielkich patelniach bądź też prażone.

Ostatnim etapem jest suszenie gorącym powietrzem (110 stopni Celsjusza) przez 21 minut. Suszenie utrwala efekty wszelkich dotychczasowych zabiegów dokonywanych na surowcu. Szczególnie dotyczy to związków aromatycznych, które utrwalone zostają w swym praktycznie niepowtarzalnym składzie. Teraz wystarczy tylko posortować herbatę zależnie od rozmiaru i można już pakować ją do pudełek. Wysuszone herbata jest pozbawiana włókien i przesiewana na sitach o różnej wielkości oczek. Każda z otrzymanych frakcji ma swoją nazwę. Na Sri Lance największy liść (niełamany) to tzw. OP, czyli Orange Pekoe, drobniejszy to BOPF (Broken Orange Pekoe Fannings) – najczęściej stosowany w torebkach ekspresowych, a jeszcze drobniejszy to DUST (czyli dosłownie pył). Niektórzy złośliwie (i niesłusznie) twierdzą, że to kurz zmieciony z podłogi w magazynie herbaty.

Wielkość frakcji ma wpływ na moc herbaty – pył ma duży kontakt z wrzątkiem i zaparza się bardzo szybko, natomiast duże liście wolniej „wypuszczają” zawarte w nich barwniki i aromaty. Niemożliwa jest więc do uzyskania kombinacja: mocna herbata – duże liście.

Po odwiedzeniu fabryki idziemy do kawiarni, gdzie otrzymujemy dzbanki z różnymi herbatami. Pierwszy raz w życiu mam okazję dowiedzieć się tyle różnych rzeczy o herbacie i na dodatek przetestować kilka rodzajów. Ale po kolei...

Zwykle nie zastanawiamy się zbyt długo nad tym, jak zaparzyć herbatę. W pośpiechu zalewamy torebkę ekspresową wrzątkiem, czekamy chwilę aż napar przestygnie i stojąc wypijamy go kilkoma głębszymi łykami, po czym wybiegamy z domu. Kiedy jednak zmęczy nas nieustanne życie w biegu, szukamy okazji, aby się zatrzymać i odpocząć – np. przy filiżance herbaty.

Oto opisy czterech rodzajów herbat i przepisy ich parzenia. Każda herbata jest wyjątkowa – dobrze jest jednak wiedzieć nie tylko, na czym ta wyjątkowość polega, ale również jak ją z suszonych listków wydobyć.

#### a) Herbaty czarne

W Polsce najpopularniejsza jest od lat czarna herbata, która powstaje w wyniku pełnej fermentacji (oksydacji) liści. Najznakomitsze czarne herbaty pochodzą z Cejlonu – najlepsze z najlepszych uprawiane są w urodzajnym, górskim regionie tej wyspy, czyli Nuwara Eliya. Wysokiej jakości herbata pochodzi również z Indii. Za jedną z najbardziej wyjątkowych czarnych herbat koneserzy uważają Darjeeling, uprawianą w północno-wschodniej części kraju, niedaleko miasta o tej samej nazwie. Inne znane regiony upraw to Assam w Indiach oraz Yunan w Chinach. Do czystego, podgrzanego czajniczka wkładamy po jednej torebce herbaty na osobę lub, jeśli parzymy

herbaciane liście, wsypujemy po jednej łyżeczce herbaty na osobę oraz dodatkową łyżeczkę „dla czajniczka”. Następnie zalewamy saszetki lub listki odpowiednią ilością świeżo zagotowanej, najlepiej źródlanej wody (ok. 220 ml na osobę). Strumień wrzątku kierujemy zawsze bezpośrednio na herbatę. Po minucie napar mieszamy i odstawiamy na kolejne 3 lub 4 minuty, w zależności od pożądanej mocy. Pamiętajmy jednocześnie, że parząc herbatę ekspresową, nie powinniśmy wyciskać torebki, gdyż do naparu wydostanie się nadmierna ilość kofeiny, która zepsuje smak, a która nie uwolniłaby się w naturalny sposób. Liście herbat czarnych parzymy tylko jeden raz. Niezależnie od tego, czy przygotowujemy herbatę liściastą czy ekspresową, po zaparzeniu powinniśmy usunąć liście lub torebkę z naparu. Herbaty czarne polecamy bez dodatków, ewentualnie z odrobiną świeżego mleka lub pszczelego miodu. I tutaj mamy kilka podtypów, o których pisałam wyżej, w zależności od wielkości liści. Ma też w związku z tym różną barwę.

#### b) Herbaty zielone

Coraz popularniejsza w Polsce herbata zielona nie jest poddawana procesowi fermentacji. Jej napar ma znacznie jaśniejszą od herbaty czarnej barwę – od żółtawej po jasnozieloną. Najbardziej znane dziś herbaty zielone pochodzą z Japonii (Sencha, Gyokuro, Bancha) i Chin (Gunpowder o liściach zwiniętych w maleńkie kulki). Zieloną herbatę parzymy w wodzie o niższej temperaturze. W zależności od rodzaju potrzebna jest woda o temperaturze od 50°C do 80°C. Po zagotowaniu odpowiedniej ilości świeżej, najlepiej źródlanej wody odstawiamy ją na jakiś czas, aby ostygła i dopiero wtedy zalewamy nią listki lub torebki. Po minucie napar mieszamy i odstawiamy na kolejną minutę. Te same listki można parzyć nawet trzykrotnie, za każdym razem wydłużając czas parzenia o pół minuty. Herbaty zielone tradycyjnie podaje się bez mleka i cukru.

#### c) Herbaty ulung

Pomiędzy fermentowanymi herbatami czarnymi, a niefermentowanymi herbatami zielonymi, znalazły swoje miejsce półfermentowane herbaty ulung. W procesie ich produkcji zachodzi co prawda proces oksydacji, ale trwa on znacznie krócej niż w przypadku herbat czarnych. Z produkcji ulung słyną Chiny i Tajwan. W zależności od rodzaju herbaty ulung do parzenia stosuje się wrzątek lub wodę przestudzoną. Zalecamy kierować się wskazówkami producenta.

#### d) Herbaty białe

Cenione są za subtelny charakter i walory zdrowotne. Uzyskuje się je z ręcznego zbioru samych pączków herbacianych. Pączki te nie są poddawane przetwarzaniu - suszy się je w naturalny sposób. Sri Lanka tradycyjnie produkuje jedne z najbardziej wyszukanych białych herbat - Silver Tips i Golden Tips. Z produkcji białej herbaty słyną też Chiny. Jest to najdroższa herbata. Herbaty białe parzymy tak jak herbaty zielone.

Siedzimy w kawiarni i delektujemy się różnymi herbatami, patrząc na okoliczne wzgórza, bo na nich zaczynają pojawiać się drobne punkciki, czyli Tamilki zbierające liście. Postanawiamy udać się do nich, a potem jeszcze wrócić do fabryki i podegustować jeszcze inne rodzaje czarnej herbaty.

Na Cejlonie jeszcze 80 lat temu herbaciane krzewy rozsiewano głównie z nasion. Obecnie wyrastają one z sadzonek pobieranych z „krzewów-matek” (mother plant), czyli starannie wybranych, dorodnych, silnych roślin, które nie podlegają regularnym zbiorom liści – ich gałązki pozostawia się naturalnemu wzrostowi i odcina z nich tylko wybrane fragmenty. Proces ten nosi nazwę „cutting” – mały krzew, pochodzący z odpowiednio ściętego liścia, rośnie na krótkiej gałązce, umieszczonej w specjalnym rękawie wypełnionym żyzną ziemią i kompostem, chronionej przed nadmiernym nasłonecznieniem i odpowiednio nawadnianej. Do zacieniania młodych upraw i ochrony przed szkodliwym dla nich wiatrem często wykorzystywane są liście paproci, natomiast do zapewnienia glebie odpowiedniego poziomu wilgotności służą kanały irygacyjne.

Po około roku (od 9 do 15 miesięcy) sadzonki są gotowe do przesadzenia na właściwą plantację. Dużo uwagi poświęca się przede wszystkim przygotowaniu gleby, która powinna być żyzna i zdrowa, aby rośliny nie zostały zainfekowane niebezpiecznymi chorobami. Herbata

zazwyczaj rośnie na specjalnie przygotowanych tarasach, które usprawniają nawadnianie i chronią ziemię przed erozją. Na krawędziach tychże tarasów i ich zboczach plantatorzy sadzą niską, sztywną trawę, bluszcz albo po prostu niskopienne skalne rośliny skutecznie zapobiegające osuwaniu się rozmięklej w porze deszczowej ziemi. W wyjątkowo narażonych na niszczenie fragmentach plantacji, buduje się nawet kamienne tarasy.

Innymi charakterystycznymi elementami krajobrazu herbacianych pól są przecinające je wąskie kanały i strumienie w sposób naturalny nawadniające uprawy, oraz fragmenty lasu – drzewa nie tylko uniemożliwiają zbyt intensywne parowanie wody, ale też wspomagają cyrkulację wilgotnego powietrza. Herbata nie wymaga co prawda specjalnego, najwyższej jakości typu gleby, ale mimo wszystko jest ona stale „wzbogacana”. Użyźniają ją przede wszystkim liście, spadające z ocieniających uprawy drzew, a także dzikie słoneczniki. Sadzi się je na terenach wyjąłwionych, na których krzewy herbaty nie mają szans urosnąć – zwykle są to niewielkie obszary położone wewnątrz plantacji, o powierzchni kilku lub kilkunastu metrów kwadratowych. Kiedy szybko wzrastające słoneczniki osiągają wysokość krzewów, przycina się ich łodygi, które gnijąc, użyźniają glebę, przywracają ją uprawom i chronią przed ekspansją chwastów. Pomimo naturalnej działalności roślinnej, gleba musi być dodatkowo regularnie nawożona nawozami mineralnymi i organicznymi (np. kompostowane przez 2-3 miesiące odrzuty pochodzące z produkcji herbaty, albo pocięte podczas zbiorów gałązki i liście krzewów), a od czasu do czasu również sztucznymi, aby zapobiec chorobom krzewów i utrzymać je w „dobrej formie”.

Herbaciane krzewy sadzone są w odległości 1–1,5 metra jeden od drugiego, aby w przyszłości ich liście miały odpowiedni dostęp światła słonecznego i powietrza. Mogą one rodić odpowiedniej jakości listki nawet przez 70 lat – po 50 latach jednak ich wydajność obniża się, w związku z czym zastępuje się je stopniowo nowymi sadzonkami wprost ze szkółki. Co roku w maju lub czerwcu karczowane są fragmenty pól obsadzone najstarszymi krzewami. Na rok, dwa obsiewa się te przestrzenie roślinami (np. wspomnianymi dzikimi słonecznikami), które przywracają ziemi żyzność i właściwe PH. Po tym okresie, w sezonie suchym sadzi się nowe krzewy herbaty. Aby wzrastały prawidłowo, muszą być regularnie „strzyżone” (pruning). Stymuluje to ich wzrost, zapewnia odpowiednią wysokość, zdrową budowę i prawidłowy kształt. „Strzyżenie” odbywa się w regularnych cyklach (co roku podcina się ok. 30% danego pola) i w ustalonych porach roku, ściśle uzależnionych od opadów deszczu i poziomu wilgotności gleby, a więc w okresach deszczowych. Krzak wykazuje najwyższą produktywność w rok po podcięciu. Pruning danego fragmentu plantacji powinien trwać nie dłużej niż 10 dni, w przeciwnym razie faza odrostu gałązek i liści będzie znacząco różna, co utrudni zbiory.

Ok. 75–80 dni po podcięciu, gałązki zaczynają się „leczyć” i wypuszczają pierwsze pędy, które plantatorzy natychmiast spryskują preparatem przeciwgrzybicznym, by mogły zdrowo rosnąć. Krzewy są podcinane, aby umożliwić wzrost nowym liściom, lub kiedy gałązki przestają wypuszczać pączki. Tego typu „strzyżenie” odbywa się średnio raz na 2 lata na mniejszych wysokościach i raz na 3 do 5 lat na wyżej położonych plantacjach. Również wysokość roślin musi być stale modyfikowana, aby herbata rosła nisko (maksymalnie 90 cm), równo i rozłożysto, co ułatwia pracę zbieraczkom. Istnieje wiele sposobów podcinania krzewów herbaty, ściśle zależnych od rodzaju i miejsca uprawy. Po zakończonych „postrzyżynach” ważne jest dokładne opielenie terenu ze wszystkich rosnących na nim chwastów – świeżo „ostrzyżone” uprawy, podobnie jak nowozasadzone krzewy, są niezwykle wrażliwe na działanie chwastów. (Na dojrzałych, rozrośniętych częściach plantacji problem ten nie występuje – pomiędzy drzewkami jest zbyt wiele cienia, aby miały szansę pojawić się tam jakiegokolwiek inne rośliny). Usuwanie chwastów jest nie tylko bardzo pracochłonne, ale również niezwykle kosztowne, jako że najdroższa na plantacji jest ludzka praca. Do ręcznego, „ekologicznego” opielenia jednego hektara plantacji potrzeba aż 20-30 pracowników, podczas gdy do chemicznego opryskania porównywalnej powierzchni wystarczą zaledwie 2-3 osoby.

Mogłoby się wydawać, że w porównaniu ze skomplikowanym procesem uprawy, zbieranie herbacianych listków jest najprostszym etapem produkcji herbaty. W rzeczywistości jednak zbieranie to coś więcej niż tylko zrywanie zielonych liści do koszy. Zbieraczki (tea pluckers) są

osobami wyszkolonymi i bardzo dobrze przygotowanymi do wykonywanej pracy, ponieważ to od nich zależy jakość gotowego produktu. W Sri Lance zbieraczkami są najczęściej kobiety tamilskie, które z imponującą delikatnością i szybkością zrywają wybrane listki, wrzucając je następnie do koszy na plecach. Na Cejlonie zbiorów nie dokonuje się mechanicznie przy użyciu maszyn, ponieważ tylko człowiek potrafi odróżnić listki dobrej i złej jakości. A zatem ręce ludzkie są na plantacji nie tylko najdroższe, ale też najcenniejsze ze względu na jakość. Wielu producentów herbaty na świecie wydaje się nie rozumieć, że wykorzystując maszyny, stawiając na ilość zebranej herbaty, a nie jej jakość, nie tylko krzywdzą konsumentów, ale również - paradoksalnie - obniżają swoje dochody! Lepsza herbata osiąga na aukcjach znacznie wyższą cenę.

Praca zbieraczki, poza zręcznością, wymaga też wytrwałości i determinacji, pozwalającej drobnym na ogół kobietom nie poddać się trudom pracy – wielogodzinnej, wykonywanej na akord w wysokich temperaturach nasłonecznionych stoków. „Podręcznik zbieraczki”, z którym pracownica powinna się zapoznać, pełni nie tylko rolę kompendium wiedzy i wskazówek dla młodej adeptki – ma on również za zadanie motywować ją do pracy, głównie poprzez wykazanie, jak ważny i odpowiedzialny zawód wykonuje.

Herbata zbierana jest regularnie, zwykle co 5 do 12 dni na tym samym polu – zrywany jest tylko rosnący u szczytu krzewu „pączek i dwa listki” – jednocześnie należy usuwać martwą część krzewu, aby ułatwić swobodny wzrost nowym pędom. Norma dzienna wynosi 20 kilogramów. Nie jest to być może waga zbyt imponująca, ale warto uświadomić sobie, że na jeden kilogram surowej herbaty przypada aż 2000 do 3000 listków, co daje wyobrażenie o wysiłku, jaki musisz włożyć w swoją pracę.

Dlaczego praca zbieraczki jest tak ważna? Powód pierwszy: zbieranie herbaty jest jedyną operacją przynoszącą plantacji dochody. Powód drugi: zbieranie jest najdroższym etapem produkcji herbaty: na każde 100 rupii wydanych na plantacji, 40 przeznaczonych jest na proces zbierania; Powód trzeci: zbieranie jest najbardziej pracochłonnym zajęciem, absorbującym największą ilość pracowników plantacji – 3/4 spośród nich to zbieracze. Powód czwarty: zbieranie ma bezpośredni wpływ na jakość końcowego produktu – dobrze zebrane listki podnoszą cenę herbaty a tym samym twoje zarobki.

Na czym polega dobre zbieranie? Jak powszechnie wiadomo, zrywać należy pączek i pierwsze dwa lub trzy listki, a także banjis. Banjis to dwa listki i „nieaktywny” pączek, z którego nie wyrośnie gałązka i nie rozwiną się nowe liście. Zawsze zrywa się banjis i, jeśli jest wystarczająco młody, wrzucaj się go do koszyka – powstanie z niego doskonała herbata. Pozostawiony na krzewie banjis to mniejsze zbiory: dojrzałe listki zestarzeją się i nie zostaną wykorzystane do produkcji herbaty, a martwy pączek zablokuje wzrost kolejnych.

A oto kolejne dobre rady dla dobrej zbieraczki:

1. Zrywaj wszystkie pędy gotowe do produkcji herbaty ze wszystkich herbacianych krzewów;
2. Pilnuj, aby pączek i dwa listki, które zrywasz, miały jak najwyższą wagę – to pomoże wyprodukować herbatę wyższej jakości;
3. Zrywaj również te pędy, w których trzeci listek nie jest jeszcze w pełni dojrzały;
4. Pamiętaj! Nie zrywaj przerośniętych listków!
  - Obniży to jakość i cenę herbaty;
  - Zwiększy ilość odrzuconego surowca;
  - Zmniejszy wydajność twojej pracy;
  - Wydłuży czas sortowania surowca;
  - Doprowadzi do obniżenia jakości pozostałych liści.
5. Pamiętaj! Nie zrywaj niedojrzałych listków oraz arimbus, czyli niedojrzałych pączków!
  - Zmniejszy to zbiory (niska waga zebranych pędów);
  - Zmniejszy twoje zarobki;
  - Zmniejszy zbiory i obniży twoje zarobki również w przyszłości – wzrost krzewu i efektywność twojej pracy zależne są od dalszego rozwoju arimbus.
6. Usuwać mudichis (dzikie, młode gałązki wyrastające w nieodpowiednich miejscach krzewu) przy każdej nadarzającej się okazji. Gałązka rodząca pędy musi być silna – potrzebuje dużo miejsca i

odpowiedniego dostępu do słońca. Zbyt rozrośnięte i rozkrzewione gałęzki w koronie krzewów rozpoczną „walkę” o przestrzeń, dostęp do światła i substancje odżywcze – ich listki staną się mniejsze i słabsze.

Jak zbierać? Istnieją dwie podstawowe techniki zbierania:

#### 1. Miękkie zbieranie (Light plucking)

Zastosowanie: suche miesiące.

Korzyści:

- szybszy wzrost pączków;
- wyższa waga pędów;
- większa wydajność liści.

Wady:

- utrata części zbiorów;
- nadmierna wysokość krzewów;
- niskie dochody zbieraczek;
- zacienienie liści.

#### 2. Twarde zbieranie (Hard plucking)

Zastosowanie: wilgotna pogoda lub wysokie pędy.

Korzyści:

- większe zbiory;
- wyższe dochody zbieraczek;
- niższa wysokość krzewów.

Wady:

- obniżenie wydajności liści;
- więcej małych, chorych pędów;
- zatrzymanie rozwoju niektórych pędów;
- duża ilość banjis i mudichis.

Techniki zbierania należy różnicować. Ciągłe stosowanie którejkolwiek z nich niekorzystnie wpływa na krzewy, a tym samym na jakość zbiorów.

Na czym nie polega praca dobrej zbieraczki?

1. Nie odkładaj terminu zbiorów – doprowadzi to do rozrostu banjis, obniżenia jakości pędów, a w konsekwencji do zmniejszenia twoich zarobków;
2. Nie spóźniaj się na plantację i nie trać czasu w pracy;
3. Nie trzymaj zbyt wielu pędów w ręku – wrzuć je do koszyka, zanim ulegną zgnieceniu i zniszczeniu;
4. Nie ugniataj listków w koszu – wrażliwe pędy potrzebują obiegu powietrza, aby zachować świeżość.

No i ruszamy na plantacje. Wychodząc z fabryki mijamy wracające Tamilki z pól, które mają chwilową przerwę na posiłek. Pomykają na stromych zboczach niczym gazele. Były i tyle ich widziano. Na drodze zaczepia nas starszy człowiek, który prosi o zrobienie zdjęć jemu i jego rodzinie, a potem przesłanie ich na jego adres, który skrzętnie zapisuje mi na kartce. Potem przechodzimy rzekę, bo akurat liczna grupa Tamilek pojawiła się na zboczu wzgórza naprzeciw fabryki. Wspinamy się między krzaki. Marzyłam o tej chwili od dziecka! W końcu mam okazję z bliska zobaczyć, jak tamilskie kobiety zrywają liście. Robią to bardzo szybko i sprawnie. Mają ze sobą kijek który wyznacza im wysokość młodych liści, które powinny zbierać. Żeby było szybciej zrywają obiema rękoma. Na plantacji, każda grupa kobiet ma gościa, który pilnuje tego, jak zbierają listki. Tacy nadzorcy. Nam przyglądają się z daleka, bo przecież w jakiś sposób przeszkadzamy Tamilkom w zbiorze. Kobiety na plecach mają zawieszony worki, do których wrzucają liście. Same są owinięte plastikowymi workami, bo jednak krzewy są mokre od opadającej mgły, to chroni je przed przemoczeniem. Ze zmęczonych i starganych ciężkim życiem twarzy trudno oszacować wiek tych kobiet. Płacimy im drobne pieniądze, za możliwość zrobienia zdjęć. Na pewno im się to przyda. Zbierają tu herbatę pracując w pocie czoła na wielkorządców herbacianych. Niesamowicie wyglądają ich strudzone, ale przy tym zagadkowe twarze. Widać w nich trud pracy, ciężką dolę,

biedę, ale jednocześnie chęć walki, radość życia, nadzieję. Przykro aż robi się na samą myśl, że rząd w Colombo w taki sposób je traktuje i przyzwala na takie ich traktowanie, problemy ucisku ludności tamilskiej najczęściej przemilczając. Wielkorządcy zarabiają przysłowiowe fortuny na interesie herbacianym, płacąc Tamilkom jeszcze bardziej przysłowiowe grosze. Kobiety syngaleskie nawet nie chwycą się takiej pracy, uważając że uwłacza ich godności. Tymczasem Tamilkom podejmującym się jej płaci się wręcz poniżej standardów.

Zadowoleni wracamy do fabryki, na kolejną degustację darmowej herbaty oraz ciasteczko, bo trochę głodni się robimy. Potem czas odwiedzić sklep, gdzie szalejemy z zakupami. Tylko jakoś trzeba będzie to w plecakach dowieźć do domu. Jednak mistrzami są tu Japończycy, którzy kupują całe kartony tutejszej herbaty. My z Pawłem zakupujemy w sumie 15 pudełek różnych rodzajów czarnej herbaty, za co płacimy około 100zł.

Po pięciu godzinach spędzonych w tym miejscu postanawiamy wracać do Nuwary. Tym bardziej, że chwilowe przejaśnienie znowu znikło i ponownie schodzi mgła. Kiedy docieramy do miasta, mgła jest niesamowicie gęsta. Trafiamy na obiad, gdzie kosztujemy pyszny makaron z kurczakiem. Najedzeni jeszcze zahaczamy o cukiernię, aby zakupić piernikowe ciastka na jutro rano, bo nie będzie czasu na zjedzenie śniadania.

Wracamy do hoteliku. Kolano ma się nieźle mimo moich pąsów po stromych zboczach herbacianych plantacji. Teraz czas na odpoczynek. Aśka z Iwoną zatrząskują klucz w pokoju, do którego teraz nie mogą się dostać. Właściciel wchodzi więc do pokoju oknem, z którego musiał wyjąć szybę. Ciekawe, że nie posiada zapasowego klucza.

Powoli zapada zmrok, a wraz z nim do naszych uszu dochodzi nawoływanie muezinów na wieczorną modlitwę. Siadamy na korytarzu, bo jesteśmy jedynymi gośćmi i zabieramy się za jedzenie fantastycznej papai z limonką. Po czym po 21 idziemy spać, bo robi się znowu chłodno, a ponadto czeka nas pobudka o 5:30. Mamy zamówiony jeep z kierowcą, który zawiezie nas do parku narodowego Hortons Plain. Oby tylko pogoda dopisała, bo w takiej mgle niczego nie da się zobaczyć.

## **21.07.2011 (środa)**

Pobudka o 5:30 i od razy za oknem pojawiają się światła jeepa, który ma nas zabrać do parku narodowego. Kurczę, co tak wcześnie, miał być o 6. Będzie musiał na nas poczekać. Wyłazimy z łóżek, za oknem ciemno, pakujemy rzeczy i pakujemy się do jeepa. No i ruszamy. Aura dookoła paskudna – ciemno, chłodno, wietrznie, wilgotno i mgła spowija wszystko szczelnie. I jak tu dzisiaj podziwiać mamy widoki parku narodowego? Nasz kierowca mówi, aby się nie martwić, jak dojedziemy wszystko będzie w porządku. Ale optymista!

Kierowca jest jednocześnie naszym przewodnikiem i co chwile pokazuje we mgle, a to jakąś świątynię, albo z kolei gigantyczne trawiaste pola, na których pasą się krowy największej kompanii mleczarskiej na wyspie. Podobno hoduje się tu 1340 krów. Dalej po drodze mijamy najwyżej położoną linię kolejową Sri Lanki, położona na wysokości 1840 m n.p.m.

po przejechaniu 32 kilometrów i 1,5 godziny jazdy jesteśmy u wrót parku. Mgła gęsta niczym kisiel. Kierowca nawet próbuje nam pokazać ptactwo, podobne do kur, które jest tu charakterystyczne. W tej chwili umyka, chowając się we mgle. Podobno takie warunki panują tutaj non stop. Kierowca dalej niezłomnie zapewnia, że mamy się tę mgłą nie przejmować, widoki są gwarantowane. Akurat! Paweł idzie kupić bilety, które niestety do najtańszych nie należą, ale co tam. Podjeżdżamy od kasy jeszcze trochę mijając skąpane we mgle trawiaste łąki, po których przebiegają tutejsze sarny i dzikie koguty.

Samochód parkuje na parkingu. Zabieramy to co najpotrzebniejsze i ubrani dość ciepło ruszamy w trasę. Przed nami 9 kilometrowa pętla po Hortons Plain. Służba parku sprawdza nasze bilety i obdziera plastikowe butelki z wodą pozbawiając je nalepek. To ma uchronić tutejsze dzikie zwierzęta od jedzenia niewłaściwych i szkodliwych wytworów ludzkiej działalności. Pierwszy raz z czymś takim się spotykam.

Równiny Hortona to płaskowyż rozciągający się na wysokości ponad 2000 metrów z

punktem widokowym nazwanym Końcem Świata. Jest niegościnnie, smagany wiatrem i okryty mgłą. To jedyny park narodowy Sri Lanki, w którym sceneria jest większą atrakcją niż świat zwierząt i roślin – chłodna, spowita mgłą kraina, często nawiedzana przez chmury i deszcze, z rzadka urozmaicona stanowiskami lasu, od zachodu i północy ograniczona łańcuchami gór Totapola. Koniec Świata to miejsce na krawędzi płaskowyżu, gdzie strome urwisko opada prawie pionowo o ponad 1000 m w dół ku sąsiedniej nizinie. Park Narodowy Horton Plains wpisany został na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Ścieżka, którą idziemy prowadzi przez las pokryty mchami i porostami, w jego wnętrzu jest zdecydowanie cieplej niż na otwartej przestrzeni. Po półtorej godzinie marszu docieramy do tzw. Małego Końca Świata i ku naszemu zdziwieniu w tym miejscu mgły nie ma. Jednak kierowca mówi prawdę. Idziemy jeszcze kilometr dalej i naszym oczom ukazuje się niesamowite urwisko. Prawdziwy Koniec Świata. Nie ma tu żadnych zabezpieczeń, a urwisko opada w dół na kilometr. Niesamowita rozpadlina. Można sobie usiąść i wręcz podryndać nogami nad przepaścią oczywiście z duszą na ramieniu. W miejscu tym kilkunastu turystów delectuje się widokiem. Mgły tu nie, za to świeci piękne słońce. Niesamowite to.

Kontynuując wycieczkę przechodzimy obok malowniczych wodospadów Bakera. Po ponad 4 godzinach zmordowani jesteśmy z powrotem na parkingu, gdzie czeka na nas kierowca z jeepem. Wsiadamy i jedziemy jeszcze 40 kilometrów do Haputale. Droga dziurawa bardziej niż szwajcarski ser. Na kolejnych dziurach podskakujemy tak, że tracimy przyczepność z siedzeniem. Mijamy kolejne herbaciane plantacje, a jedna jest szczególna. To plantacja, gdzie właśnie wszystkie krzewy herbaty są wymieniane. Obraz jak po wybuchu bomby. Ciekawe, że krzewy te mają taki wielki system korzeniowy. W końcu do Haputale docieramy przed 14. I zmierzając do tego miasteczka wpadliśmy na pomysł, a by w nim nie nocować, a spróbować pociągiem pojechać dalej do Elli. Nasz przewodnik pisze, że taki pociąg odchodzi chwilę po 14. Jeepem podjeżdżamy pod budynek dworca kolejowego i okazuje się, iż rzeczywiście pociąg jest za jakieś 25 minut. Żegnamy się z kierowcą i kupujemy kartonowe bilety do Elli.

Stacja jest jak z dawnej epoki. W głównym pokoju dyspozytora znajdują się maszyny, których zadaniem jest prowadzenie ruchu kolejowego. Czekać na pociąg na peronie nie omieszkaliśmy wtargnąć do biura zawiadowcy stacji gdzie do dziś pracuje stara brytyjska aparatura sygnalizacyjna. Jest ona tu szczególnie ważna, gdyż linia ta posiada tylko jeden tor. Otóż maszynista pociągu na każdy odcinek trasy (pomiędzy sąsiadującymi stacjami) otrzymuje od zawiadowcy stacji stalowy żeton. Po odjeździe pociągu ze stacji zawiadowca za pomocą telegrafu informuje kolejną stację o zbliżającym się pociągu. Nie ma tu mowy o jakiejś większej wymianie zdań, po prostu w stacji docelowej słychać kilkakrotny dźwięk dzwonka. Zawiadowca stacji docelowej wydaje wtedy z maszyny kolejny żeton, który wkłada to skórzanej oprawy. Po przyjeździe pociągu zawiadowca odbiera od maszynisty żeton, który maszynista otrzymał na stacji poprzedniej i wydaje mu nowy, uprzednio przygotowany. Odebrany żeton zawiadowca wkłada z powrotem do maszyny, a następnie informuje kolejną stację, że pociąg już jest w drodze. I tak maszynista, jako że nie ma prawa wyjechać dalej bez żetonu co stację oddaje poprzedni i pobiera nowy.

Bilety dziurkowane są na peronie przez pana biletera metalowym ni to dziurkaczem, ni to przecinakiem. Pamiętam takie z dzieciństwa. Cała stacja tonie w kwiatkach. Doniczek jest tu niewiarygodnie dużo, a pośród nich stoi brytyjska, czerwona budka telefoniczna.

Pociąg przyjeżdża punktualnie. Wsiadamy do wagonu drugiej klasy, gdzie już siedzą inni turyści. Widać, że trasa dość popularna. Niektórych poznajemy, bo byli w parku narodowym i widocznie wsiedli gdzieś wcześniej do tego pociągu.

Do Elli jest tylko 20 kilometrów, ale czas przejazdu takiego odcinka to w warunkach lankijskich około godziny. Podziwiamy więc widoki gór, dolin i niewielkich osad ciągnących się w pobliżu linii kolejowej. Pociąg cały czas jedzie zygzakiem. Po dotarciu do Elli, tłumek turystów wysiada i od razu na niego rzuca się tłumek tuk-tuciarzy. Chcą ich zawieźć do tutejszych pensjonatów. My oczywiście idziemy piechotą, bo to niewielka miejscowość i zaraz będziemy w samym centrum.

Pierwsze poszukiwania noclegu spełniają na niczym. Wszędzie albo za drogo, albo zajęte. Po godzinie w końcu znajdujemy miejsce na tani i fajny nocleg w Soorya.

Teraz czas na obiad. Wybieramy małą restauracyjkę pod chmurką przy głównej drodze, gdzie zamawiamy kurczakowe kottu. Smaczne tylko trzeba uważać na rozdrobnione kości. No i tradycyjnie jest ciut za ostre. Potem czas odwiedzić kawiarenkę internetowa oraz udać się na spacer po Elli. Jest tu sporo turystów. W sumie dziwne miejsce. Nie ma tu za bardzo atrakcji, zaplecze wioski, jest raczej skromne, a plecakowiczów cały tłum. Jest tu kilkanaście małych knajpek i sklepików z owocami i warzywami. Ale nie przypomina mi to żadnego z miejsc tak ochoczo wybieranych przez turystów z plecakami. Centrum to uliczka o długości jakichś 300 metrów. Ot i wszystko. Jest tu też stoisko ze świeżymi kurczakami (notabene droższe niż u nas) jak informuje napis. Leżą za szklaną ladą, ale nie jest to lodówka i tak cały dzień.

Zapada zmierzch, a my padamy. Za długo dzisiaj na nogach. Właściciel Soorya dzwoni do Tissy, która jest naszym kolejnym celem, aby zarezerwować nam pokoje, aby nie było takie szukania jak tym razem. Paweł rozmawia przez telefon z właścicielem i uzgadnia cenę. Właściciel mówi, że odbierze nas ze skrzyżowania, tylko musi wiedzieć, że wyjechaliśmy.

Spać....

## **22.07.2011 (piątek)**

Wstaje o 9, choć nie śpię od 7:30. Zasnęłam wczoraj gdzieś około 21:00 więc nie ma co się dziwić, że szybko się obudziłam, bo po prosu się wyspałam. Śniadanie wyjątkowo zjadamy w naszym hoteliku. Paweł naleśniki z bananami, a my omlety z tostami. Potem Iwona postanawia pójść pod wodospad Rawana (wcześniej milion razy zmieniała zdanie), a my jedziemy do Helpewetta Tea Factory. Kilka kilometrów od Elli znajduje się kolejna fabryka herbaty. Podjeżdżamy lokalnym autobusem i wysiadamy na rozstaju dróg. Przed nami około 2 kilometrów w górę, bo gdzieś tam zlokalizowana jest owa fabryka. Po drodze wchodzimy do małej szkółki, bo nie wiemy, w którą stronę iść dalej. W owej szkole szaleje około trzydziestu 5-latków, które na nasz widok podniosły jeszcze większy rwetes. Świetnie wygadają w swoich czerwonych mundurkach. Znają dwa angielskie słowa Hello i Bye. Hehe i co chwilę do nas tak wołają.

W końcu docieramy do fabryki, znajdującej się na górskim pagórku w otoczeniu plantacji herbacianych krzewów. Ta fabryka jest całkiem inna niż Labookele. Tu nie ma prawie żadnych turystów. Z zwiedzanie jest opłata 200 rupii, ale za to można z bliska obejrzeć cały proces produkcji herbaty. Zanim wchodzimy do głównego budynku otrzymujemy białe kitle. Pierwsza część hali, tam gdzie powinno odbywać się suszenie liści herbacianych zwykłym powietrzem nie działa, bo zaczął się w regionie suchy sezon i herbata wolniej rośnie. Fabryka działa więc na pół gwizdka. Nie ma więc liści do przerobu. Dowiadujemy się, że podobno lepsza herbata jest z sezonu suchego niż wilgotnego, bo zawiera mniej wody. Fabryka ma małą powierzchnie plantacji, więc skupuje liście herbaciane od lokalnych farmerów. W tej fabryce produkuje się tu 95% czarnej herbaty, a 5% stanowi zielona i biała. Również maszyny rolujące, tnące i sita nie działały. Stały puste stoły przeznaczone do fermentacji. Przy okazji powiedziano nam, że fermentacja liści w sezonie mokrym 3 godziny, a w suchym – godzinę. Co ciekawe, pracownicy Mamy w planie „na oko” oceniają kolor i zapach fermentujących liści. Jak stwierdzą, że wystarczy, to herbatę przenoszą do maszyny, która suszy ją w temperaturze 57 stopni – co fabryka to trochę inny sposób procesu przerobu liści herbaty. Potem trwa sortowanie według wielkości i pakowane do worków. Trwa właśnie pako sortowanie i pakowanie, toteż w skrzyniach piętrzą się różnej grubości herbaty od liści po pył. Na końcu idziemy jeszcze degustować herbatę.

Z fabryki wracamy do głównej drogi aby złapać powrotnego busa do Elli. Po drodze na asfalcie posypanym piachem wywijam orła. Kończy się głównie na zdartych do krwi dłoniach, kolano uratowane.

A teraz jeszcze parę słów o gospodarce Sri Lanki. Kraj rozwijający się, o rosnącej roli usług (handel, turystyka, telekomunikacja, bankowość) i przemysłu przetwórczego, a malejącym znaczeniu tradycyjnego rolnictwa plantacyjnego (pozostałość kolonialna) w tworzeniu dochodu



narodowego. Tempo wzrostu gospodarczego w początku lat 80. XX w. stosunkowo wysokie — ponad 5% rocznie, w końcu lat 80. znacznie niższe (ok. 2,6% rocznie) w związku z nasilającą się wojną domową między Syngalezami i Tamilami; w latach 90. ożywienie gospodarcze związane z kredytami z Azjatyckiego Banku Rozwoju i Banku Światowego oraz rozwojem przemysłu przetwórczego w wolnocłowych strefach ekonomicznych, utworzonych w końcu lat 70. na zachodnim wybrzeżu kraju; od lat 80. utrzymywał się wysoki przyrost PKB (1997–2000 średnio 5,3% rocznie); w 2001 po raz pierwszy od wielu lat wystąpiła recesja, związana z sytuacją w gospodarce światowej, trudnościami energetycznymi i strajkami pracowników budżetowych; w grudniu 2004 duże straty (szacowane na 1,5 mld dolarów USA) spowodowane katastrofalnym tsunami. PKB na 1 mieszkańca wg parytetu siły nabywczej wynosi 4,1 tys. dolarów USA (2007). Struktura wytwarzania PKB: usługi 56,5%, przemysł 26,9%, rolnictwo 16,5%. Około 1 mld dolarów USA rocznie wpływa od obywateli Sri Lanki pracujących za granicą.

Przemysł. Sri Lanka posiada znaczne zasoby surowców mineralnych w górach eksploatacja grafitu, kamieni szlachetnych (szafiry — 774 tys. karatów, rubiny, topazy) i półszlachetnych, rud żelaza oraz materiałów budowlanych (granity, gnejsy, wapienie); na wybrzeżu wydobyte piasków, zawierających m.in. cyrkon, tytan, tor i rad; pozyskanie soli kamiennej z wody morskiej. Przemysł przetwórczy skupiony prawie w całości w aglomeracji Kolombo i przyległych dwóch strefach ekonomicznych, rozwinięty głównie przemysł tekstylny, odzieżowy i skórzanym, ponadto spożywczy. (ok. 25% — przetwórcze herbaty, cukrownie, zakłady tytoniowe) oraz chemiczny (16% — gł. gumowy, rafinerijny, tworzywo sztucznych).

Rolnictwo. Grunty orne i plantacje zajmują 29% pow. kraju, łąki i pastwiska 7%, lasy 32%, pozostała część to nieużytki; zróżnicowana struktura gospodarstw rolnych: plantacyjne o powierzchni do kilkuset ha i małe, drobnotowarowe poniżej 1 ha; 2/5 pow. upraw zajmują plantacje herbaty (najlepsze gatunki w górach, na wys. ok. 1200 m), kaczukowca (pogórze i południowo-zachodnie wybrzeże) i palmy kokosowej (wybrzeże południowe i zachodnie). Sri Lanka jest czołowym świat. producentem herbaty i cynamonu, jest liczącym się producentem kaczuku naturalnego (najbardziej wilgotne wybrzeża południowo-zachodnie i rejon Ratnapury, oraz produkcja kopry. Uprawia się także pieprz, kardamon, goździki, ananasy, trzcinę cukrową, tytoń. Z roślin żywieniowych uprawa ryżu w dolinach rzek (2–3 zbiory rocznie, 3,1 mln t), prosa w suchych regionach, manioku, batatów. Produkcja zbóż nie zaspokaja potrzeb wewnętrznych. Maleje hodowla bydła, bawołów (siła pociągowa) i kóz. Duże znaczenie ma leśnictwo (pozyskanie drewna na eksport i opał) a także rybołówstwo morskie i śródlądowe.

Turystyka. Od lat 80. XX w. intensywnie rozwija się turystyka W 2005 wyspę odwiedziło 566 tys. osób, głównie z Indii, Wielkiej Brytanii i Niemiec. Wpływy z turystyki wyniosły 808 mln dolarów USA; głównymi ośrodkami turystycznymi są: zabytki architektury buddyjskiej w Kandy i Anuradhapura oraz parki narodowe.

Transport i łączność. Stosunkowo dobrze rozwinięta sieć transportowa; 97,3 tys. km dróg, (w tym 81% o nawierzchni utwardzonej), magistralne: Kolombo–Dżafna z odgałęzieniem do Trikunamalaja; 1449 km linii kol. (szerokotorowe) łączy Kolombo z ośrodkami regionalnymi; żegluga przybrzeżna; połączenie promowe z Indiami, wzdłuż Mostu Adama; główne porty morskie: Kolombo, Trikunamalaja i Galla. Ich łączne przeładunki przekraczają 33,8 mln t. międzynarodowy. port lotniczy znajduje się w Kolombo.

Handel zagraniczny. Eksport tekstyliów, odzieży i akcesoriów odzieżowych, produktów rolnych (ich udział w strukturze eksportu wyraźnie maleje, z ponad 90% w latach 70. do poniżej 20% w pierwszych latach XXI w.), gł. herbaty, kaczuku, kopry i przypraw korzennych, kamieni szlachetnych oraz grafitu; import tkanin, przędzy, maszyn, środków transportu, ropy naft. i produktów naft., żywności; główni partnerzy handlowi.: USA, Indie, Wielka Brytania, Chiny.

Kiedy jedziemy do Elli, mijając plantacje krzewów herbacianych, znowu obserwuję kobiety zbierające liście. Podchodzimy jeszcze na mały spacer drogą za hotelem, gdzie rozpościera się Ella Gap, czyli malowniczy próg skalny, a dalej jest nizina. W hoteliku bierzemy prysznic, bo dzisiaj jakoś nadzwyczaj jest gorąco i prano. Po czym nie czekając długo idziemy na dworzec kolejowy. Jeszcze dzisiaj mamy w planie pojechać koleją do Badulli. Trasa podobno jest bardzo malownicza.

Nasz pociąg ma się spóźnić 20 minut, więc mamy czas na buszowanie po stacji, a głównie oglądamy dokładnie pomieszczenie zawiadowcy stacji i całą maszynię odpowiedzialną za to, że na jedynym torze trwa ruch pociągów. Jest jeden tor więc to tak ważne aby w tym samym czasie nie było tam dwóch pociągów. Ponadto oglądamy sobie kasę biletową, z tysiącem kartonowych bilecików, a każdy rodzaj na inną trasę. Jest też tablica rozkładu jazdy pociągów, których jest tu pięć na krzyż dziennie.

O 15:30 ruszamy. Rzeczywiście trasa jest malownicza. Pociąg wiję się serpentynami niczym wąż pomiędzy kolejnymi pagórkami. Jeden pagórek to wręcz objeżdża dookoła. Mijamy małe wioski pod drogami i równie małe dworce kolejowe. Nasz pociąg jedzie po wysokich mostach rozpostartych między dwoma wzniesieniami, to z kolei niknie w wykutym w pagórku tunelu. Mijamy pola ryżowe lub pola herbaciane. Po 40 minutach jazdy jesteśmy w Badulli, gdzie mamy półtorej godziny czasu do pociągu powrotnego. Po ludziach widać, iż Badulla to miasto z mozaiką religii. Choć na pierwszy rzut oka najwięcej tu muzułmanów, a pierwsza świątynia którą mijamy to meczet. Idziemy odwiedzić tutejszą katedrę, gdzie podlega jej 3 tysiące tutejszych katolików. Niedaleko od katedry wchodzimy do kolorowej świątyni hinduistycznej. Po drugiej stronie ulicy jest świątynia buddyjska i meczet. Wszystko na kupie. Samo miasto nie ma w sobie nic ciekawego. Na ulicach mnóstwo samochodów, ciężarówek i płaczących się pomiędzy nimi ludzi. Na dodatek brak chodników, więc trzeba uważać, aby pod coś przypadkiem nie wpaść. Idziemy zaopatrzyć się w pieniądze do bankomatu, ale bankomat się buntuje i nic nam nie chce dać, na dodatek się wszystko zablokowało. I nikt wchodzący po nas nie może wziąć pieniędzy. Ciekawe czy nam czegoś nie pobrało z konta. Trzeba będzie sprawdzić przez internet.

O 18 mamy pociąg powrotny do Elli, a że trasę pociąg musi pokonać pod górę to i jedzie godzinę i 10 minut. Poza tym jest zdecydowanie dłuższy, gdyż docelowo jedzie aż do Kolombo. Ciągnie go lokomotywa, a druga pcha go na końcu. Ma w sumie kilkanaście wagonów, po drodze w kilku miejscowościach widać palące się fragmenty górskiego lasu. To chyba efekt panującej suszy. Po zmroku za oknem pojawia się mnóstwo latających dużych nietoperzy. W pewnym momencie na Aśkę spada karaluch, a jakby tego było mało to w pewnym momencie zrywa się z wrzaskiem z siedzenia i trzepie głową. Okazuje się, że przez okno wpadł ptaszek i zderzył się z Aśką. Potem niestety biedaczek lata jak oszalały po całym wagonie. Na jednej ze stacji mamy mijankę z innym pociągiem. Możemy ruszyć dopiero, kiedy tamten jadący z przeciwka zwolni tor i na dodatek odda magiczny dysk, który zostanie następnie przekazany naszemu maszyniście. Czekamy więc na pracownika kolei, który przyniesie do naszej lokomotywy w skórzanej sakwie dysk.

Do Elli ostatecznie docieramy o 19:15. a pół godziny później idziemy na obiad. Wybieramy najbardziej ekskluzywną restaurację z najwyższymi cenami, gdzie siedzi najwięcej zagranicznych turystów. Chcemy zjeść pizzę, ale okazuje się, że niestety wydano już dzisiaj ostatnie i więcej nie będzie, a to pech a tak pięknie owe pizze wyglądały na sąsiednich stołach. Decyduje się ostatecznie na sałatkę, a Paweł na hamburgera, który miał być rybny, ale był warzywny... i za co na rachunku 10% napiwku? Mija nam tam dwie godziny, bo i przyszykowanie posiłków dla tylu zgłodniałych turystów niestety trwa. Jakoś w kuchni nikomu specjalnie się nie śpieszy.

No a potem to już tylko spać, bo jutro opuszczamy Ellę.

## **23.07.2011 (sobota)**

Wstajemy, szybkie pakowanie, a potem jeszcze zakup śniadania, czyli bułek nadziewanych i wody. Kiedy stajemy przy drodze, gdzie ma zatrzymać się jadący autobus, mamy szczęście, bo jedzie od razu. Jedziemy do Wellawaya. Jest dopiero 8:10, a my już jedziemy. Najpierw serpentynami przez Ella Gap, mijając pod drogami wodospad Rawana. Autobus zjeżdża powoli z obszaru górskiego, kierując się na tereny położone coraz niżej i pod względem wysokości nieurozmaicone. Po godzinie jazdy jesteśmy w Wellawaya. Tu mamy od razu autobus dalej na południe, ale jest niestety zapchany. Perspektywa jazdy na stojąco nie jest zachęcająca. Miejscowi każą nam wsiąść do autobusu jadącego do Tanewelle i tam raz jeszcze się przesiąść. Ten autobus jest prawie opusty więc zajmujemy miejsca. Jednak jest to najdziwniejszy autobus jakim tu na Sri Lance

do tej pory jechaliśmy. Podłoga jest z desek!!! Kierowca pruje drogą, dwoma pasami i slalomem, toteż po 40 minutach jesteśmy w Tanawelle.

Gdy wysiadamy w Tanawelle 30 km przed Tissą, podchodzi do nas Lankijczyk i pyta czy jesteśmy czwórką Polaków, która ma spać w hotelu Pała. Zdumieni, że ktoś tu nas odbiera ochoczo korzystamy z okazji podwózki pod same drzwi hoteliku. Miał nas odebrać ze skrzyżowania przed Tissą, ale odwozili na autobus innych turystów, więc stwierdzili, że nas też tu mogą złapać. No tak grunt to nie przeoczyć klienta. W sumie fajnie. Tak więc przesiadamy się do jeepa i jedziemy do Tissy. Po drodze musimy się zatrzymać, bo spod maski jeepa bucha para. To woda zagotowała się w chłodnicy. Kierowca pędzi dolać wody wiaderkami. Najlepsze, że kawałek dalej zatrzymuje się autobus jadący z przeciwka. Obok nas leży zgubiona przez niego... rura wydechowa. Jacyś chłopcy z autobusu biegną po nią, ale chyba nici z niej, bo już ciężarówka zdążyła po tej rurze wydechowej przejechać i sprasować. Jedziemy przez park narodowy, przez który prowadzi asfaltowa droga. Mijamy kilka zbiorników wodnych.

Krótko przed wybiciem południa jesteśmy w hotelu Pała na obrzeżach Tissy. Paweł rozpoczyna pertraktacje cenowe w sprawie wyjazdu do parków narodowych Bundala i Yala. Masakra. Hotel chce od nas 480 dolarów. Targi trwają bardzo długo. Próbujemy wynegocjować najlepszą możliwą dla nas cenę. Ostatecznie cenę zbijamy o ponad 100 dolarów. To już jest do przyjęcia. Skoro jesteśmy wcześniej w Tissie, bo tak udał nam się dzisiaj transport, to postanawiamy jeszcze dzisiaj pojechać do parku Bundala. Umawiamy się na 14:30, a teraz mamy chwilę oddechu, aby zjeść obiad. Szukamy czegoś w okolicy, ale wybór mały, bo to raczej zadupia Tissy, a do centrum daleko. W końcu trafiamy na jadalnię. Płaci się jedną cenę, i korzysta z bufetu. Potrawy znajdują się w glinianych zamkniętych dzbanach. Wszystko to za 200 rupii, czyli 5zł. Jemy więc pyszną fasolkę, soczewicę, jest też kapustka, jakieś bliżej nieokreślone warzywa bardzo ostre, no i ryż oraz chrupki papadam. Postanawiamy jutro też tu przyjść, bo jest smaczne. Iwona jako jedyna nie chce tu jeść, postanawia zjeść w hotelu. W drodze powrotnej kupujemy papaję, arbuza i limonki. To będzie nasza wieczorna kolacja. Teraz czas na szybka kąpiel, bo jakoś tu nadzwyczaj parno i jesteśmy cali mokrzy. W międzyczasie do hoteliku dociera grupka Francuzów, która już spotkaliśmy zarówno w parku Hortona, jak iw pociągu do Elli.

Ochrona przyrody na Sri Lance ma bardzo długą historię sięgającą aż starożytności. Już w III w. p.n.e. król Devanampiyatissa, ten sam, który wprowadził buddyzm, powołał pierwszy w kraju rezerwat. Jego następcy w pełni respektowali święte buddyjskie prawo zabraniające zabijania zwierząt. Wiele dowodów na to znaleźć można w tzw. Mahavamsa, kronice narodu syngaleskiego, czy też innych przekazach. Obecnie prawie dziesiątą część wyspy zajmują parki narodowe i rezerваты. Budzić to musi szczególne uznanie dla kraju, w którym w ciągu ostatnich trzydziestu lat liczba mieszkańców uległa podwojeniu. Piękno i różnorodność tropikalnej flory i fauny podziwiać można w 22 parkach narodowych i licznych rezerwach przyrody. Najstarszymi, bo utworzonymi w 1938 roku są Yala i Wilpattu. Natomiast największym jest Wilpattu zajmujący aż 1100km<sup>2</sup> powierzchni (a Yala prawie 1000km<sup>2</sup>). Dla porównania nasz największy park - Biebrzański ma 592km<sup>2</sup>...

Na Sri Lance ochronie poddane jest około 13% powierzchni kraju!!! Dla porównania Parki narodowe w Polsce stanowią... 1%. Ostatnie parki Sri Lanka utworzyła w roku 2010, co w Polsce jest niewykonalne, bo od 10 lat nie powstał już ani jeden nowy.

Parki narodowe Sri Lanki to mozaika stref roślinnych i zwierzęcych. Są tu parki typowo górskie, jak i obejmujące trawiaste sawanny, czy też obszary torfowisk i bagien z licznymi ptakami. Jest też interesujący park Hikkaduwa obejmujący rafę koralową. Ten park został dość zniszczony podczas tragicznego tsunami w 2004 roku.

Świat zwierząt jest bardzo bogaty i należy do Regionu Cejlońskiego Krainy Orientalnej. Największym ssakiem jest słoń indyjski (najwięcej ok. 500 sztuk w parku Uda Walawe), który w stanie dzikim zamieszkuje tereny do wysokości 2000 m n.p.m. Lasy zamieszkują jelenie, niedźwiedzie wargacze, dzikie bawoły, kanczyle indyjskie i liczne gatunki kotowatych. Do niebezpiecznych drapieżników należy lampart i kobra indyjska. W lasach i na sawannach żyją licznie gatunki małp w tym endemiczny makak manga, hulman i langur białobrody. Na wyspie żyje

także największy gatunek nietoperza owadożernego – rudawka wielka (tzw. latający lis). Bogaty jest także świat ptaków z których najciekawszym przykładem jest sowa bosonoga. Liczne są także gady, poza kobra w rzekach żyją krokodyle, m.in. najbardziej znane gatunki takie jak krokodyl różańcowy i krokodyl błotny. Do węży oprócz kobry indyjskiej zalicza się również żmiję łańcuszkową oraz pytona tygrysięgo.

I jeszcze świat roślinny... Pierwotnie świat roślin był bardzo bogaty ze względu na sprzyjający temu klimat. Jednak obecnie tylko trzecia powierzchnia kraju zawiera naturalną strefę roślinną jaką są lasy. Na Cejlonie rośnie kilka typów lasów. Na północy rośnie suchy las monsunowy, który traci liście w porze suchej. Na północy i na wschodzie głównym elementem krajobrazu są wysoko trawiaste sawanny, zwane patama, a na nizinach talawa. Południe kraju jest zdominowane przez fragmenty wilgotnych lasów równikowych. Do charakterystycznych gatunków drzew jakie tam rosną należą sandałowce i drzewa chlebowe. Poza nimi także hebanowce i drzewiaste paprocie. Ujścia rzek i wybrzeża pokrywają lasy namorzynowe i inne formy roślinności namorzynowej. Na południowym zachodzie Sri Lanki na wybrzeżu rosną palmy kokosowe.

O 14:30 przyjeżdża po nas jeep, jedziemy do parku około godziny, mijając wiele pawi. Park jest podobno zaliczany do najpiękniejszych w kraju. Położony jest on blisko brzegu morskiego i składa się z licznych przybrzeżnych jezior i mokradeł. Porasta go dość gęsty busz krzaczasty, który w obecnie panującej tu porze suchej pozbawiony jest liści. Stąd też park ten jest ptasią ostoją. Ptactwo ma tu idealne warunki do życia. Oprócz niezliczonej ilości ptaków (orły, marabuty, pelikany, pawie i dużo innych), mogliśmy zobaczyć również krokodyle wylegające się na brzegach zbiorników wodnych, czy nawet dwa słonie ukryte w zaroślach, którym ani się śniło z nich wyleżeć...No i oczywiście cała masa małp langurów, które biegały po drodze, czy potrafiły obsiąść całe czubki konarów drzew, aż cud że gałęzie się pod nimi nie łamały.

Ciekawy ten park. Wszędzie dookoła otaczają nas gęste krzaki, zarośla, zbiorniki wodne i bagna dochodzi nas zewsząd śpiew ptaków. W końcu docieramy do morskiego klifu. Fale są wysokie. Do hotelu wracamy po 4 godzinach.

Wracając widzimy trwające żniwa na polach ryżowych. Pierwszy raz w życiu widzę, zbiór ryżu kombajnem! Co ciekawe bardziej na północ kraju ryż dopiero rośnie, a tu na południu trwa już sezon zbiorów.

Chcemy iść wcześniej spać, bo jutro czeka nas pobudka o 4:40 i wyjazd do parku Yala. Jednak trudno nam zasnąć w tej saunie. Na dodatek często się budzę, bo słychać jakby coś łąziło po podłodze w pokoju i biegało po dachu.

## **24.07.2011 (niedziela)**

Masakra, budzik dzwoni o 4:30, a za oknem czarna noc. Koło 5 pojawia się kierowca z jeepem i ruszamy w kierunku parku narodowego Yala. Jeepy ciągną jeden za drugim. Niektóre jadą wręcz na wariata, wyprzedzając, i zostawiając za sobą kłęby kurzu. Tak im spieszo być pierwszym w kolejce po bilety do parku. A droga wcale nie jest taka bezpieczna. Zero świateł dookoła, a nawet w tych ciemnościach mijamy okazałe stado krów rozkładające się z kilkudziesięciu sztuk, poganiane przez kilku Lankijczyków. O 5:40 jesteśmy w kasie biletowej, kolejka już długa, a otwierają o 6. Część osób siedzi w jeepach, jakieś zbłąkane dzikie świny chciały po trapie włączyć się do jednego z samochodów, co skończyło się, dzikim wrzaskiem dzieci, które tam siedziały. Po kilku minutach i za nami sznur turystów i ich kierowców. Szał. Obok kasy tablica z napisanym, kto, gdzie i o której widział leopardy w parku. Ciekawe czy uda nam się je spotkać. Każdy wykupuje bilet i w drogę, trzeba być szybszym i pierwszym, aby zobaczyć najlepsze miejsca ze zwierzętami.

Jedziemy przez krzaczasty park. Szukamy zwierząt. Park narodowy Yala to najbardziej znany park na Sri Lance, a jednocześnie jeden z największych. Najodpowiedniejsza pora na wycieczkę do parku to wczesny ranek zaraz po wschodzie słońca. Tak też wynajęliśmy jeepa z kierowcą, ale przy okazji zafundowaliśmy sobie wycieczkę całodniową.

Teraz w porze suchej kiedy krzaki pozbawione są liści oraz mniej jest zbiorników, bo

wyszły, łatwiej jest wypatrzeć i trafić na zwierzęta. Prawdziwą gratką jest spotkanie leoparda. Nam udało się to dwukrotnie. Zobaczyliśmy koty leżące w koronie drzewa. Każdy już zwidział się, gdzie jest widoczny leopard, więc oczywiście dookoła cała masa jeepów. A na nich siedzących fotografów. Niektórzy z takim sprzętem, że mimo sporej odległości będą mieć rewelacyjne zdjęcia. A koty leżące leniwie na konarach drzew, mają wszystkich w nosie. Nad jeziorami jednocześnie można zobaczyć słonie, chłodzące się bawoły, taplające się w błocie dzikie świnie. To było nawet dość śmieszne, bo widzieliśmy jak jedno stadko się taplało w błotku, po czym kiedy tylko opuszczało błotną kąpiel, z krzaków wyłaniała się kolejna grupka, która zajmowała miejsce i oddawała się taplaniu. Wiele razy spotykamy na swojej trasie pijące wodę stada sarenek i jelonków, a od czasu do czasu sielankę przerywa wynurzający się krokodyl. Są też zbiorniki wodne, w których znajduje się cała masa krokodyli, tylko fragmenty głów lub ogonów wystają z wody. W Yala mieliśmy okazję zobaczyć także warany, całe stada małp (langurów i makaków), a także wielkie puchate wiewiórki, kuny (notabene jedna nam latała po dachu naszego pokoju, niemiłosiernie tupiąc), ptaki: kolibry, zimorodki, pelikany, marabuty, orły i całą masę innych gatunków, których nazw nie znam, a wyglądały przepięknie. Ciekawie wyglądają wielkie pelikany, które siedzą na drzewach, a konary pod nimi niezłe się uginają.

Obszary chronione na Sri Lance stanowią aż 13 % terytorium kraju. Znajduje się tutaj aż 15 Parków Narodowych, zapewniających kompleksową ochronę wielu gatunkom miejscowej flory i fauny. Najśłynniejszym z nich jest Park Narodowy Yala (oficjalnie PN Ruhunu). Park, zajmujący powierzchnię ponad 130 tys. hektarów (drugi największy na wyspie), podzielony jest na pięć bloków, z których de facto tylko jeden jest otwarty do zwiedzania w formie zorganizowanych safari. Sława parku wynika głównie z faktu, że stanowi on najpełniejszy i najbardziej zorganizowany obszar fauny Sri Lanki. Pokłosem wojny, targającej przez lata wyspą, były niestety również znaczne straty dla miejscowej fauny. Park Narodowy Yala, w przeciwieństwie do wielu innych, ucierpiał na szczęście nieznacznie. Jest on reklamowany jako miejsce, w którym występuje najwięcej lampartów na km<sup>2</sup> na świecie. Możliwość zobaczenia tych płochliwych zwierząt w ich naturalnym środowisku jest głównym magnesem kuszącym potencjalnych turystów. Można tu ponadto zobaczyć w naturalnym środowisku słonie, a także niedźwiadki wargacze, bawoły, sambary, krokodyle i wiele innych egzotycznych przedstawicieli miejscowego świata zwierząt.

Park Narodowy Yala leży w południowo-wschodniej części wyspy i oddalony jest o 291 km od stolicy kraju Colombo. Podzielony jest na dwie części, większa zachodnia, zwana także Ruhunu, zajmuje ok. 103 893 ha, mniejsza wschodnia, 18 148 ha. Pod względem wielkości Yala ustępuje jedynie parkowi Wilpattu (131 693 ha), znajdującemu się w północno-zachodniej części Cejlonu. Yala należy do nielicznych parków narodowych udostępnianych zwiedzającym. Powodem ograniczeń jest sytuacja polityczna kraju, a konkretnie trwająca od 1983 roku wojna domowa pomiędzy Syngalezami i Tamilami.

Park leży on w strefie suchej, a jego szata roślinna jest typowa dla regionów półpustynnych. Większe skupiska drzew znaleźć można tylko wzdłuż rzeki. Rosną tam kumbuki, drzewa, których korzenie oczyszczają wodę, czy też palu i vira, których owocami żywią się ptaki i niedźwiedzie. Największa ilość opadów przypada w czasie trwania monsunu, pomiędzy listopadem a styczniem. Jest to także bardzo dobry okres do obserwacji zwierząt, które wtedy stają się bardziej aktywne. Krajobrazowo park stanowią głównie sawanna, porośnięta kolczastymi krzewami, formacje skalne i laguny. Jego naturalną granicą jest wybrzeże oceanu indyjskiego urozmaicone malowniczymi zatokami.

Największą atrakcją parku są stada słoni indyjskich. Żyją one tutaj w dużym rozproszeniu i nie zawsze jest gwarancja spotkania się z nimi. Najczęściej można je zobaczyć krótko przed zachodem słońca, kiedy opuszczają zarośla, poszukując wody do picia i do obowiązkowej kąpieli. Dużo łatwiej spotkać można dzikie bawoły wodne. Wraz ze wzrostem temperatury w ciągu dnia w wodzie szukają one ochłody i ucieczki przed dokuczliwymi insektami. Tam też uzupełniają swój jadłospis, żywiąc się roślinnością wodną i bagienną. Zwierzęta te często krzyżują się z bydlęciem hodowlanym, żyjącym po części na wolności. Czystej rasy dzikie bawoły wodne występują coraz rzadziej.

Wyjątkowo trudno wypatrzeć leopardy, ponieważ ich populacja w parku jest stosunkowo niewielka. Zwierzęta te, poza krótkim okresem godowym, prowadzą samotniczy tryb życia. Polują głównie na dziki, małpy, jelenie (Axis, Sambhur) i młode bawoły. Są niezwykle płochliwe i ostrożne, a większość czasu spędzają w ukryciu, chociaż nie mają tutaj żadnych wrogów naturalnych, a ich jedynym zagrożeniem mógłby być człowiek. Doświadczeni pracownicy parku tzw. rangers potrafią je bezbłędnie wytropić, gdyż podobnie jak koty domowe, mają one swoje ulubione miejsca, w których się wylegają. Do częściej spotykanych ssaków w parku należą oba gatunki jeleni Axis i Sambhur, dziki, małpy i szakale. Rzadkim natomiast jest niedźwiedź wargacz. Nazwa jego pochodzi stąd, iż potrafi składać wargi w rurkowaty ryjek, służący mu do wyciągania termitów, które są jego przysmakiem. Najczęściej spotkać go można po ulewnym deszczu. W sumie w parku zarejestrowanych są 32 gatunki ssaków, w tym 3 znane wyłącznie na Sri Lance.

Spośród gadów żyją tu dwa gatunki krokodyli, jeden występuje w wodach stojących, drugi czatuje na swoją zdobycz w rzekach. Niezwykle ciekawym mieszkańcem parku jest waran bengalski. Dorosły osobnik dochodzi do dwóch metrów długości. Normalnie porusza się on dość ociężale, lecz widząc zdobycz lub uciekając potrafi być bardzo szybki. Poza tym świetnie się wspina i pływa. Jest wszystkożerny i podobnie jak węże połyka swoją zdobycz w całości. Węże, a występuje ich tu kilka gatunków m.in. pytony i kobry, spotyka się w ciągu dnia niesamowicie rzadko, gdyż najbardziej aktywne są nocą.

Yala zamieszkują 124 gatunki ptaków, w tym 5 endemicznych. Oprócz tego między listopadem a kwietniem zimuje tu znaczna liczba ptaków wędrownych z Europy, Azji zachodniej i północnych Indii. Liczne kolonie ptactwa m.in. pelikany, ibisy, kormorany, zobaczyć można niemal przy każdym zbiorniku wodnym. Ptakiem bardzo pospolitym i charakterystycznym jest paw.

Po dwóch godzinach jazdy chwila przerwy na plaży. Idziemy sobie zobaczyć, co to za wioska w parku się znajduje. Jej mieszkańcy zajmują się połowami ryb, używając do tego niewiarygodnie cienkich łódek. Jak oni się w nich mieszczą to nie mam zielonego pojęcia. Jadąc dalej mamy okazję nad jednym ze zbiorników zobaczyć schodzące z zarośli do wody stado czternasty dzikich słoń. Nic sobie nie robi, a z jeepów, które się zatrzymały, aby poobserwować, jak małe słońtka szaleją w wodzie. Zwłaszcza te najmniejsze - zanurzając się w całości i tylko nogi wystawiały, albo jeden drugiego topił. Duże słońce natomiast polewały się błotem.

Przy okazji postoju na lunch (pyszny kurczak z warzywami oraz fantastycznie dojrzała papaja), niesforne makaki z naszego jeepa ukradły reklamówkę z bananami... ale udało nam się je odzyskać. Przebiegłe były, bo kilka odwróciło naszą uwagę, a pozostałe dokonały nalotu na samochód. Rzucamy im łupy od papai, szaleją ze szczęścia i wygryzają resztki mięszu z łup. W ogóle są niesamowite, bo tyle razy widziałam makaki, ale nigdy nie piszczały niczym koty. Tak jakby skomlały o jedzonko. Siedzimy sobie nad rzeką godzinkę. Szkoda, że nie mamy ze sobą strojów kąpielowych...

O 12:30 jedziemy dalej. Teraz jest zdecydowanie trudniej znaleźć zwierzęta, bo jest południe i gorąco. Wszystko, co żywe pochowało się w zaroślach. Od czasu do czasu widzimy bawoły chłodzące się w wodzie i tylko głowa im wystaje. Ale jeszcze czeka nas miła niespodzianka...

Słońce przygotowały dla nas piękny spektakl. Jeep podjeżdża pod jezioro i wyłącza silnik, aby nie straszyć zwierząt. Natknęliśmy się właśnie na stadko 2 słoń z małym słońtkiem z kłami tzw. tuscerem, po czym pojawił się słoń - samiec. Samce chodzą samotnie i ten przez dłuższy czas czekał się aby podejść do tych 2 słoń i słońtka. Słoń bawił się w wodzie, momentami całkowicie się zanurzając, albo nurkując na plecach, tak, że nogi mu wystawały z wody. Słońce znalazły sobie mała wysepkę z drzewem, które służyło im za tarkę. Ocierały się całym ciałem, a szczególnie czyściły swoje zadki. Po czym co chwilę obrzucały się wodą z błotem. Natomiast duży samiec przemieszczał się po jezioro małymi kroczkami, bacznie obserwując słońce ze słońtkiem. Słońce miały go w nosie i sobie poszły, natomiast słoń nawiązał kontakt z dużym słońciem. Był to piękny widok bo witali się uściskami swoich trąb... ciekawe co sobie mówili...

Tak sobie myślę, że lepiej być tu w porze suchej, bo duża część zbiorników wysycha, a zwierzęta skupiają się tam gdzie woda, więc jest nad nimi dość tłoczno. Tym samym łatwiej je

chyba w ten sposób spotkać. Nigdy nie widziałam takiej różnorodności gatunków zwierząt nad jednym jeziorkiem i wszyscy jakoś żyją tu w zgodzie. Nawet krokodyle w tym wszystkim odnajdują swoje miejsce... płynąc niczym kłody przez jeziorko. Na wystających suchych pniach drzew siedzą sobie w najlepsze kormorany z rozpostartymi skrzydłami po prostu je suszą.

Krajobraz ciekawy. W jednym miejscu trafiamy na duży zbiornik, z którego wystają suche drzewa, nadając jakiś nierealny klimat temu miejscu. Co chwilę drogę przecinają nam kolorowe pawie. Szkoda, że nie chcą jeszcze rozwinąć swojego pięknego ogona.

Kolo 16 jesteśmy z powrotem w hotelu. Kąpiel i mały odpoczynek, a potem pędzimy do naszej wypróbowanej wczoraj jadłodajni z bufetem. Niestety bufet się skończył, bo już późno. Możemy ewentualnie namówić jakieś danie. Paweł je więc zupę z kurczaka, a ja ryż z warzywami i kurczakiem. Potem czeka nas wielkie lenistwo i zjadamy całą masę owoców i polskie kabanosy, czas zacząć je otwierać. Smakują jak zwykle w Azji wybornie.

Fantastyczny dzień. Chociaż jesteśmy zmęczeni, bo jednak większość dnia spędziliśmy w trasie, jadąc jeepem, bo bezdrożach parku narodowego. No i trochę nas wytrzęsło. Właściciel hoteliku zadzwonił dzisiaj i zamówił nam tani nocleg Tangalle.

## **25.07.2011 (poniedziałek)**

8 pobudka, jedziemy tuk tukiem na dworzec autobusowy. Szukamy autobusu do Tangalle, a potem szybko kupujemy bułeczki na śniadanie. Znajdujemy nadziewane z ciasta francuskiego z kiełbaską lub ziemniakami.

O 9 wyjeżdżamy do Tangalle. Droga dobra więc odległość 70 kilometrów przejeżdżamy w niespełna dwie godziny. W Hambantocie mijamy wielkie solniska – baseny z wodą oddzielone groblami, skąd pozyskuje się sól. Obok zbiorników piętrzą się kopce soli. Potem idziemy piechotą 15 minut do hotelu Star Fish, mijając całą masę hotelików, z których co chwile ktoś wypada, aby nas ściągnąć do siebie.

Star Fish położony jest prawie na końcu promenady nadmorskiej wzdłuż której ciągną się zabudowania dla turystów. W porównaniu do podobnych kurortów w innych miejscach Azji, to jest dość podupadłe. Ruch turystyczny zerowy, atrakcji brak, tylko piękna długa i szeroka piaszczysta plaża. Ale jak widać to za mało, bo hotele świeca pustkami. Z czego ci ludzie w takim razie żyją? Na dodatek po drodze mijamy mały zarośnięty cmentarz, część napisów na niewielkich, poprzekrzywianych płytach informuje, że są to ofiary tsunami z 2004 roku.

Podwodne trzęsienie ziemi o magnitudzie 9,1 w skali Richtera, którego hipocentrum znajdowało się ok. 30 km pod dnem Oceanu Indyjskiego w pobliżu zachodniego wybrzeża północnej Sumatry, 250 km na południowy wschód od Banda Aceh. Główny wstrząs nastąpił 26 grudnia 2004 o godzinie 01:58:53 czasu warszawskiego. Według sejsmologów było to czwarte pod względem siły trzęsienie ziemi od roku 1900, od kiedy to prowadzi się ciągłe obserwacje sejsmiczne. Trzęsienie ziemi wywołało fale tsunami, które w ciągu trzech godzin uderzyły w wybrzeża kilku państw Azji Południowo-wschodniej, a później także Afryki. Sięgające 15 m fale zniszczyły nadmorskie wsie i miasteczka, a także kąpieliska odwiedzane o tej porze roku przez zagranicznych turystów.

Największe zniszczenia tsunami spowodowało na wybrzeżu Indonezji (prowincja Aceh), Sri Lanki i Indii (stan Tamil Nadu, Andhra Pradesh oraz w archipelagach Andamanów i Nikobarów) oraz Tajlandii (m.in. na wyspie Phuket). Mniejsze zniszczenia odnotowano w Malesji, Birmie, na Malediwach, Szeszelach oraz w Somalii. Według bilansu publikowanego przez AFP (z dnia 6 lutego 2005) liczba zabitych i zaginionych wynosi co najmniej 294 tysiące ludzi i nie jest to ostateczny bilans tragedii. Kilka milionów straciło dach nad głową.

Hipocentrum znajdowało się na zachód od Sumatry 30 km pod poziomem morza. Obszar ten jest częścią tzw. pacyficznego pierścienia ognia, czyli obszaru bardzo aktywnego sejsmicznie. Fale sejsmiczne odczuwalne były w Bangladeszu, Indiach, Malesji, Birmie, Singapurze, Tajlandii i na Malediwach. Niezwykła była rozległość obszaru generującego wstrząsy. Według szacunków

1200 km uskoku tektonicznego osunęło się o 15 metrów do strefy subdukcji, w której Płyta Indyjska zanurza się pod Płytą Birmańską. Dno morskie Płyty Birmańskiej podniosło się około 10 metrów. Ruch ten był źródłem fal uderzeniowych poruszających się z prędkością 800 km/h, które po dotarciu na wybrzeża przekształciły się w zabójcze fale tsunami.

Płyta Indyjska jest częścią większej płyty tektonicznej – Płyty Indoaustralijskiej – która tworzy granice Oceanu Indyjskiego oraz Zatoki Bengalskiej. Całość przemieszcza się w kierunku północno-wschodnim z prędkością 6 cm/rok (ocenia się zatem, że podczas tego wstrząsu przesunęła się o tyle ile zwykle w ciągu 330 lat). Płyta Indyjska styka się z Płytą Birmańską, uznawaną za część większej Płyty Euroazjatyckiej, a która niesie ze sobą archipelagi Nikobarów i Andamanów oraz północną Sumatrę. Razem z nią porusza się na wschód. Płyta Indyjska zanurzająca się pod Birmańską topnieje pod wpływem rosnącej temperatury i ciśnienia. Powstała w ten sposób magma przemieszcza się w górę, tworząc wulkaniczny Łuk Sundajski. Przesuwające się płyty mogą się zatrzymać, nagromadzone wówczas naprężenia rozładowały się podczas tego wstrząsu.

Po głównym wstrząsie zarejestrowano szereg wtórnych. Na Wyspach Andamańskich w ciągu kilku następnym dni pojawiły się wstrząsy o magnitudzie w zakresie 5,7 – 6,3. W innych obszarach zarejestrowano też wstrząsy o magnitudzie 7,1 oraz 6,6. W obszarze hipocentrum pojawiły się natomiast drgania o sile w zakresie od 5,0 do 6,3. Trzy dni przed wstrząsem zarejestrowano inne trzęsienie ziemi o magnitudzie 8,1 na niezamieszkanym wyspach na zachód od Nowej Zelandii (Wyspy Auklandzkie) oraz leżącej na południe od Australii Wyspie Macquariego.

Statystycznie wstrząsy o magnitudzie 8,1 zdarzają się co roku. Istnieje hipoteza, według której ta seria trzęsień ziemi mogła mieć charakter reakcji łańcuchowej. Wcześniejsze wstrząsy mogły zburzyć chwiejną równowagę pomiędzy płytami tektonicznymi po przeciwnej stronie Płyty Indoaustralijskiej. Ciekawa jest zbieżność czasowa z trzęsieniem ziemi, które miało miejsce 26 grudnia na terenie chińskiej prowincji Junnan (1 osoba zabita, 23 ranne). Wielkie trzęsienie na Oceanie Indyjskim pojawiło się dokładnie rok po zniszczeniu miasta Bam w Iranie, ale ta zbieżność jest uznawana za przypadkową. To trzęsienie miało magnitudę 6,6 i zabiło ok. 30 000 ludzi.

Niedługo przed 26 grudnia na terenie Australii zorganizowano testy sejsmiczne polegające na kontrolowanych eksplozjach. Fale dźwiękowe miały posłużyć do poszukiwania złóż surowców. Istnieje podejrzenie, że ich ubocznym skutkiem było wypłynięcie na plaże w Tasmanii, Nowej Zelandii oraz Australii 169 wielorybów i delfinów. Śmierć zwierząt nastąpiła pod koniec listopada roku 2004.

W tym samym rejonie miało potem miejsce pierwsze w serii trzęsienie ziemi z magnitudą powyżej 8. Jednak geolodzy uważają, że wielki wstrząs na Oceanie Indyjskim nie mógł być ubocznym skutkiem eksplozji testowych. Ich energia była zbyt mała. Jednak w przeszłości wydobywanie ropy przez ludzi zainicjowało trzęsienie ziemi.

Wielkie trzęsienie ziemi wywołało tak znaczny ruch, że wpłynęło na obrót Ziemi. Niektóre modele teoretyczne sugerują, że doba na Ziemi została skrócona o całe 3 milionowe części sekundy (3  $\mu$ s). Tymczasem siły pływowo Księżyca, wydłużają okres obrotu Ziemi o całe 15  $\mu$ s w ciągu roku. W ciągu 3 miesięcy doba powróciła do swojej starej długości. Wstrząs wywołał też przesunięcie osi Ziemi o 2,5 cm (na biegunie). Jednakże naturalne ruchy osi obrotu Ziemi mogą być rzędu 15 metrów.

Niektóre wyspy położone na południowy zachód od Sumatry oddaliły się od niej nawet o 20 metrów. Północne krańce samej Sumatry przemieściły się ok. 36 metrów w tym samym kierunku. Jednak są to tylko przewidywania, a ich potwierdzenie zostanie uzyskane dopiero po przeprowadzeniu pomiarów z wykorzystaniem systemu GPS.

Władze Sri Lanki potwierdziły śmierć 29 744 osób. Woda zabiła w większości dzieci i osoby starsze. Największe fale uderzyły w południowe i wschodnie wybrzeża wyspy. Rebelianci należący do armii Tamilskich Tygrysów mieli w tym czasie pod kontrolą większą część północnego oraz wschodniego wybrzeża. Na ich terytorium liczbę osób zaginionych oszacowano na 18 481. Zniszczony wojną kraj miał duże problemy z udzieleniem ofiarom należytej pomocy oraz dokładnym policzeniem ciał tych, którzy zginęli. Po wyspie tułało się ponad 889 175 ludzi pozbawionym przez żywioł domów. Rozkładające się trupy doprowadziły do zagrożenia epidemią,



a rząd miał bardzo ograniczone zasoby środków ratowniczych. Mimo konfliktu dzielącego tamilskich rebeliantów i oddziały rządowe, obie te organizacje połączyły swoje siły w akcji pomocy ofiarom.

1200 ciał zabitych naliczono w Batticaloa na wschodzie. W Trincomalee zabójcze ściany wody wdarły się 2 km w głąb lądu zabijając 800 osób na północnym wschodzie Sri Lanki. Baza marynarki Trincomalee została całkowicie zalana. W Mullaitivu oraz Vadamaradchi East naliczono 1000 osób pozbawionych życia przez żywioł. Ekspres "Królowa Morza" relacji Kolombo – Galle został przez fale porwany razem z torami. Spośród wszystkich 1600 pasażerów cudem uratowało się 300 osób.

Szkolnictwo na Sri Lance poniosło wielkie straty. Aż 170 budynków zostało zniszczonych przez żywioł, a kolejne 180 zamieniono na obozy dla uchodźców. Ludność Sri Lanki przystąpiła do zbierania darów dla osób, które straciły cały dobytek. Ratownicy dostarczają pomoc potrzebującym, ale nawet w najbiedniejszych rejonach kraju zwykli ludzie ofiarują ofiarom pieniądze, wodę, worki z ryżem oraz ubrania jako pomoc.

Oprócz domów mieszkańców wyspy fale zdewastowały również wiele hoteli. Ośrodki turystyczne, położone na południowym wybrzeżu były pełne zagranicznych turystów spędzających na Sri Lance bożonarodzeniowy weekend. Rząd przerzucił w rejon klęski 20 tys. żołnierzy, aby pomóc ofiarom oraz zatrzymać bandytów ograbiających ich zrujnowane domy. Chińskie miny przeciwpiechotne pozostałe po dwudziestu latach wojny domowej na Sri Lance, zostały wypłukane przez fale, które rozrzuciły je wzdłuż wybrzeża stwarzając ogromne zagrożenie dla ludności. Norweska organizacja humanitarna "The Norwegian Peoples' Aid" ogłosiła apel, aby zorganizować misję saperów mających pomóc w oczyszczaniu wybrzeża Sri Lanki z tych niebezpiecznych przedmiotów.

W Parku Narodowym Yala uratowała się większość dzikich zwierząt. Uciekły one w wyżej położone rejony, zupełnie jakby wcześniej wyczuły nadciągające zagrożenie. Pojawiły się spekulacje, że wyczuły infradźwięki wytwarzane przez falę. Najprostszym wyjaśnieniem fenomenu może być fakt, że większość zwierząt biega szybciej od ludzi i dlatego zdążyły uciec przed śmiertelnością ścianą wody.

Tylko kraje leżące na wybrzeżach Pacyfiku stworzyły system wczesnego ostrzegania przed uderzeniami fal tsunami. Zarówno państwa położone wokół Oceanu Indyjskiego jak i Atlantyku przez wiele lat ignorowały zagrożenie. Tylko na terenie Oceanu Spokojnego rozmieszczono system czujników połączonych ze stacjami monitorującymi. Dostęp do danych otrzymały lokalne media, aby w razie zagrożenia ostrzec przebywających na plażach mieszkańców. Początki systemu to rok 1965. Do zapoczątkowania działalności sieci monitoringu przyczyniło się trzęsienie ziemi z roku 1964, które wytworzyło fale uderzeniowe. Do systemu pacyficznego należy również Tajlandia, ale obejmuje on tylko wschodnie wybrzeża tego kraju. Pojedyncza stacja pomiarowa u wybrzeża Australii wykryła fale o wysokości 50 cm.

Amerykańska Służba Geologiczna (ang. US Geological Survey) wydała oświadczenie stwierdzające, że według niej wiele ofiar tsunami dałoby się uratować. Do wybrzeży Sri Lanki oraz Indii ściana wody dotarła dopiero po trzech godzinach. Co więcej, mieszkańcy tych państw byli pozbawieni podstawowej wiedzy na temat tego zagrożenia. Nie potrafili rozpoznać wyraźnych oznak nadciągającej fali aż do końca. Wielu ludzi specjalnie przyszło na brzeg, aby dokładnie przyjrzeć się żywiołowi. Kiedy na plażach pojawiły się tysiące ludzkich ciał, politycy postanowili zbudować system wczesnego ostrzegania przed tsunami.

Star Fish okazuje się być miłym miejscem z widokiem na morze i plażę. Posiada internet wi-fi i to darmowy.. możemy więc do woli korzystać z naszego laptopa.

Po godzinie postawiamy ruszać na wycieczkę. Idziemy z powrotem do centrum, aby pojechać 11 kilometrów za Tangalle, gdzie znajduje się morski gejzer. Kierowca autobusu wysadza nas w odpowiednim miejscu, a potem idziemy pieszo jeszcze około 1,5 kilometra. To tu znajduje się malownicza naturalna morska "sikawka". Gejzer to trochę za dużo powiedziane, bo z punktu widzenia geografów nie mieści się w tej kategorii. Ale mimo wszystko warto to cudo zobaczyć. Przy wysokim poziomie morza, zwłaszcza w sezonie monsunowym, woda pod ciśnieniem pokonuje

naturalny skalny komin o wysokości 23 metrów, po czym wytryskuje w powietrze do 20 metrów. Mieszkańcy wioski twierdzą, że gdy ocean jest naprawdę wzburzony, fontanna trzykrotnie przewyższa palmy kokosowe. Efekt jest naprawdę wart zobaczenia. Średnio co 5 minut pojawiają się duże sikawki mające myślenie koło 10 metrów.

No i pora wracać z powrotem do Tangalle. Odwiedzamy jeszcze mały targ aby kupić owoce. W drodze powrotnej do hoteliku znajdujemy pomnik ofiar tsunami 2004 roku. Wypisanych jest na nim 801 ofiar, głównie ludności miejscowej.

Obiad postanawiamy zjeść w hoteliku, zobaczymy co nam przygotuje kucharz. Serwuje dzisiaj rybę. Choć nie przepadam, to jest całkiem niezła. Potem czas na spacer po plaży, tak czystej, że znaleźć muszelkę to wieki wyczyn. Od szumu fal powoli robię się śpiąca.

Po 22 idziemy z Pawłem na plażę szukać żółwi. Ale niestety ich nie ma. Jest tylko ślad z wczoraj. To był żółw gigant o średnicy metra!. Widać jakie ślady zostawił idąc z oceanu i potem wracając. Są nawet ślady żółwich płetw. No i wielka hałda piasku, ale miał roboty nocą, aby swoje jaja tu zakopać. Heh przy okazji przyczepia się do nas pies, który jak się do niego zagadało od razu uznał nas za przyjaciół z którymi można się pobawić i na nich skakać. Dziwne są te psy w Azji..

No nic czas spać...

## **26.07.2011 (wtorek)**

Z przerażeniem odkrywam, że budzę się o 10 rano! Godzinę sprawdzam na dwóch komórkach, ale niestety jest ta sama. No ale co tam, dzisiaj dzień leniuchowania. Szum fal zrobił swoje, że spaliśmy niczym susły.

O 10:30 jemy śniadaniu – ja omlet, a Paweł swoje nieśmiertelne naleśniki na słodko. Godzinę później idziemy na plażę. W sumie idziemy plażą aż godzinę. Muszelek niestety mało. Fale rąbią, wiatr wieje, a słońce świeci. Na pewno nas opali. Po godzinie dreptania trafiamy w końcu na turystów, którzy ulokowali się w lagunie. Chroni ją od fal bariera skalna, więc nie ma tu takich fal i można się spokojnie kąpać. Korzystamy więc z tego i chlupiemy się do woli, mimo tego iż morską wodą szczypie nas w oczy. Potem czas by wyschnąć i ruszyć w drogę powrotną. Po drodze szukam muszelek, których jest niewiele, albo są rozbite na fragmenty przez morskie fale. Idziemy teraz pod wiatr i jest trudniej, na dodatek stopy zapadają się w suchym piasku. No ale przynajmniej opali nas równomiernie. Znowu przyczepiają się do nas psy, które nam towarzyszą.

Koło trzeciej jesteśmy z powrotem w naszym hoteliku. Okazuje się, że właściciel rezygnuje z 10% napiwku i każe nam o tym wszystkim mówić, aby ludzie do niego chętniej przyjeżdżali. Nawet informację o napiwku zakleja w swojej karcie. No to fajnie.

Przed hotelikiem na desce surfingowej jest wywieszona dzisiejsze menu. Szef kuchni serwuje zupę pomidorową, wielką rybę z zębami, ziemniaki, fasolka i deser – banany w cieście z gałką lodów. Na plaży pustki więc jesteśmy jedynymi, którzy z owej oferty korzystają. Pyszne. Tylko ta ryba z zębami na talerzu jakoś dziwnie wygląda.

Potem właściciel wiezie nas za centrum do sklepu z perłami, niestety sprzedawca ma tylko kamienie szlachetne. Po drodze postanawiamy wysiąść na bazarze i kupić trochę owoców – mango i arbuza. Zaczyna jednak padać. Czekamy na bazarze, ale nie chce przestać. W końcu łapiemy tuk tuka, aby nas zawiózł. No to w końcu jest i monsun, Leje do późnego wieczora. Na d oceanem widać błyski i słychać dudnienie grzmotów. Wszystko to jednak gubi się w huku fal i szumie padającego deszczu. Ogródek przed hotelikiem namókł wodą i porobiły się na trawniku kałuże. Położenie Sri Lanki, pomiędzy 5 a 10 stopniem szerokości geograficznej północnej zapewnia wyspie bardzo ciepły klimat (podrównikowy wilgotny), który urozmaicają wiatry monsunowe wiejące od oceanu i niosące ze sobą dużą wilgotność powietrza.

Opady deszczu w kraju są wysokie. Maksima opadowe przypadają na wiosnę i jesień, w kraju nie ma wyraźnej pory suchej. Jednakże na północy kraju jest nieco inaczej i tam zaznacza się wyraźna pora sucha, która może trwać nawet pół roku. Północna i wschodnia część kraju jest bardziej sucha i roczne opady wynoszą tam średnio 1000 mm. Na południowym zachodzie opady są

najwyższe i utrzymują się w granicach 2000 – 3000 mm rocznie. Maksymalnie może spaść do 3700 mm deszczu rocznie. Największe opady notuje się jednak górach, tam wartości opadowe w ciągu roku mogą dojść nawet do 5000 mm.

Na opad wpływ mają monsunowe wiatry sezonowo wiejące znad Zatoki Bengalskiej oraz Oceanu Indyjskiego. Pierwszy monsun Yala zaczyna się w połowie maja na zachodzie i południowym - zachodzie i trwa do sierpnia, przynosi wilgoć od Oceanu Indyjskiego. Kiedy wiatr dociera do zboczy gór w Pogórzu Centralnym, powoduje w tej części wyspy ulewne deszcze. Wiele zboczy od strony nawietrznej otrzymuje do 2500 mm opadu na miesiąc, gdy w tym czasie zbocza po stronie zawietrznej na wschodzie i północnym - wschodzie otrzymują mały opad.

Monsun Maha trwa od października do stycznia i przynosi deszcz na północ i wschód wyspy. Suchy okres na tym terenie trwa od maja do września. Północ i wschód dostają stosunkowo niewiele opadu w ciągu całego roku – około 1000 mm. Na tym obszarze okres między monsunami trwa od października do listopada.

Temperatury mają przebieg typowy dla klimatu podrównikowego, czyli roczne amplitudy są zauważalne. Na obszarach nisko położonych i na wybrzeżach temperatury wynoszą od 22 °C w okresie zimowym do 33 °C. Na Sri Lance nie notuje się ekstremalnych temperaturach sięgających 40 °C, aczkolwiek na słońcu są one zdecydowanie wyższe. Temperatury są lokalnie zróżnicowane z powodu rzeźby terenu. W górach wartości termiczne spadają nawet do 7 °C. Średnie temperatury górskie wahają się do 15 do 20 °C.

Wieczorem przyjeżdża jeszcze jakiś miejscowy Lankijczyk, który przywozi świecidełka. Ale masakra, bo wszystko to... plastiki. Takie to ja sama potrafię zrobić. Potem ekipa Lankijczyków zostaje u właściciela i palą trawkę, albo co. Jest ich kilku, więc imprezka rozkręca się pełną parą. Wszystko dzieje się na tarasie. Zresztą właściciel ów taras, gdzie znajduje się restauracja i recepcja traktuje niczym mieszkanie. Ma tu sofę i dwa fotele, a kiedy otworzy okno, to ma w nim telewizor. W sumie ma 3 pracowników – kucharza, kelnera i sprzątacza. Z czego im płaci, skoro tu tak pusto???

Z wyjazdu do Rekawy, gdzie znajduje się ośrodek żółwi oraz istnieje możliwość posiedzenia sobie na plaży, na którą nocą wychodzą żółwie i składają jaja – nici, Leje. Sri Lanka jest ważnym miejscem wylęgowym dla żółwi Oceanu Indyjskiego. Gniazdują tutaj wszystkie pięć wielkich gatunków żółwi morskich – żółw zielony, szylkretowy, oliwkowy, skórzasty oraz kareta. Konieczność podjęcia działań mających na celu ochronę żółwi przed wyginięciem, wszystkie wymienione gatunki są wielce zagrożone wymarciem, jest potrzebą niezwykle palącą. Niestety jak to zwykle bywa największym zagrożeniem dla owych żółwi jest sam człowiek. Działalność kłusowników kradnących żółwie jaja negatywnie wpływa na liczebność populacji. Stąd jednym z głównych zadań ośrodków konserwacji żółwia jest odkupywanie jaj od nich, zapewnienie wylęgu młodym, a następnie wypuszczenie ich do morza.

Siedzimy więc i gadamy, skoro nie możemy jechać na obserwacje nocnych harców żółwi, a jutro pojedziemy dalej do Mirissy.

## **27.07.2011 (środa)**

Z samego rana właściciel Star Fisha dzwoni po tuk tuka i jedziemy na miejscowy dworzec, przy którym tętni życiem bazar. Nie było go wczoraj, widać to dzisiaj jest najważniejszy dzień targowy w mieście. Wsiadamy do autobusu jadącego do Mirissy. Szybko kupujemy bułeczki na śniadanie, bo autobus zaraz odjeżdża. Zanim jednak udaje się w drogę do Mirissy, to wjeżdża do warsztatu, gdzie mu sprawdzają podwozie. No i możemy jechać spokojnie, jedząc śniadanie.

Po niespełna 2 godzinach jesteśmy w Mirissie. Kierowca jechał niczym szalencie na trzeciego, poboczem, jak mu wygodniej... i ze straszliwym trąbieniem. W Mirissie tuk tukami podjeżdżamy do polecanego w Lonely Planet Guest Housu, ale okazuje się być trzy razy droższy niż w przewodniku. Kolejny tak samo. Jak widać w miejscach turystycznych noclegi wymienione w LP od razu szybują w górę. Kierowca tuk tuka zaprasza do swojego pensjonaciku za.... 800 rupii.

Postanawiamy zobaczyć jak wyglądają. Okazuje się, że hotelik położony jest 100 metrów od plaży, a pokoje są chyba najładniejsze jakie do tej pory mieliśmy na Sri Lance. Postanawiamy zostać tutaj, u właściciela zamówić obiad, bo też bardzo tanio no i pójść na plażę. Właściciel okazuje się być strasznie miłym i sympatycznym człowiekiem, zresztą jak większość Lankijczyków. Miejsce na nocleg jest naprawdę fantastyczne.

Mirissa była niegdyś rywalką Unawatuny, jeśli chodzi o turystyczny raj dla turystów. Jednak osada po tsunami w 2004 roku nie odbudowała się tak jak Unawatuna. Do tej pory widać rozrzucone statki setki metrów od wybrzeża, które porasta już bujna roślinność. Wiele domów została porzucona i niszczone. Na wielu z nich widać jaki był wysoki poziom wody.

Nie było jeszcze o ludności Azji. Sri Lanka jest 53 państwem pod względem ludności z 20 milionami mieszkańców i 320 osobami na kilometr kwadratowy, średnio rocznie populacja rozrasta się o 0,79%. Na 1000 ludzi rocznie rodzi 15,63 dziecka, a umiera 6,49 osoby. Największa gęstość zaludnienia występuje na zachodzie kraju, głównie w okolicy Kolombo, które jest miastem stołecznym.

Na wyspie żyje niewielka społeczność ludu Wedda, która jest uważana za najbardziej pierwotną na jej terenie, ale o tym już było wcześniej. Obecni mieszkańcy Sri Lanki, Tamilowie i Syngalezi, to członkowie dwóch ludów, które mieszkają na wyspie najdłużej. Problem polega jednak na tym, że nie uznają oni swej wzajemnej obecności na wyspie za pomyślny zbieg okoliczności.

Najliczniejsi są Syngalezi, którzy stanowią 81,9% całkowitej populacji. Tamilowie stanowią drugą, pod względem liczebności, grupę etniczną na Sri Lance, wśród nich wyróżnia się Tamilów autochtonicznych oraz przybyłych na wyspę w okresie kolonialnym. Ta druga grupa w znacznej mierze wyemigrowała do rodzinnych Indii. Według danych z roku 2001 Tamilowie z kontynentu stanowili 5,1% populacji wyspy, a rodzimi 4,3%, jednak należy zwrócić uwagę, że dane te nie obejmują obszaru znajdującego się wówczas pod władzą rebeliantów. Około 8,0% populacji stanowią Maurowie, którzy wywodzą swoje pochodzenie od Arabów i wyznają islam.

Tamilskie Tygrysy (Tygrysy Wyzwolenia Tamilskiego Ilamu, LTTE) – organizacja tamilska żądająca utworzenia w północnej części Sri Lanki niepodległego państwa tamilskiego Ilamu. Powstała w 1976 roku i prowadziła działalność do końca wojny domowej na Sri Lance w 2009 roku. Jej przywódcą był Velupillai Prabhakaran.

Po uzyskaniu niepodległości przez Cejlon w 1948 syngaleska większość, dominująca w rządzie, stopniowo ograniczała prawa i dyskryminowała mniejszość tamilską. Wskutek napięć między oboma grupami etnicznymi dochodziło wielokrotnie do krwawych pogromów Tamilów inspirowanych przez władze. Do największych masakr doszło w 1956, 1958, 1961, 1974, 1977 i w 1983. Ostatnia data to wydarzenia zwane "Czarnym Lipcem" podczas których w stolicy Sri Lanki - Kolombo syngaleskie tłumy kierowane przez urzędników, polityków, żołnierzy, policjantów i mnichów buddyjskich zamordowały 1-3 tys. Tamilów.

Organizacja Tamilskich Tygrysów podjęła próbę realizacji postulatów niepodległościowych w drodze przemocy i mimo znacznej przewagi wojsk rządowych przejęła kontrolę nad częścią terytorium objętego roszczeniami. W 1992 i 1993 walki między partyzantami tamilskimi a armią rządową nasiliły się. W konflikcie zginęło już ok. 64 tys. osób. W maju 1993 w wyniku zamachu zginął prezydent Ranasinghe Premadasa.

Dokładna siła organizacji nie była znana. Szacuje się, że Tamilskie Tygrysy liczyły około 8-10 tys. dobrze uzbrojonych bojowników. Kontrolowały północne i wschodnie wybrzeża Sri Lanki, a swoje akcje przeprowadzały na całej wyspie. Organizacja miała rozległe kontakty na całym świecie. Uzyskiwała fundusze od dużej tamilskiej diaspory w Ameryce Północnej, Azji i Europie. Od połowy lat 80. służby bezpieczeństwa państw europejskich otrzymywały sygnały, że mieszkający na ich terenie Tamilowie zamieszani są w przemyt narkotyków. Tamilskie Tygrysy uznane zostały przez USA oraz UE za organizację terrorystyczną.

Pod koniec lat 80., po masowych aresztowaniach mężczyzn przez wojska rządowe, tamilsy partyzanci zaczęli wysyłać na front także młode dziewczyny - początkowo jako sanitariuszki lub pracownice biurowe, potem jako uzbrojone bojowniczkę. Pod koniec wojny domowej stanowiły one

połowę Tamilskich Tygrysów. Były zgrupowane w dwóch pułkach piechoty, pułku przeciwlotniczym, medycznym, mechanicznym, politycznym i Czarnych Tygrysów - samobójców.

17 maja 2009 Tamilskie Tygrysy, pobite i zdziiesiątkowane w wyniku ofensywy armii rządowej, ogłosiły złożenie broni.

Podziałom społecznym towarzyszy mozaika religii. Największa grupa Lankijczyków to buddyści (69,3%), ich świątynie (dahaby) są zazwyczaj bajecznie kolorowe, kiczowate, wyposażone w plastikowe detale i setki pretensjonalnych, jak mniema Europejczyk, złocień. Ale nawet malkontent nie może przejść obojętnie wobec zawrotnej liczby ważnych oraz pomniejszych bogów i bóstw buddyjskich. Jest ich wszak 330 milionów i nikt nie jest w stanie sporządzić pełnego panteonu. Niemal co siódmy obywatel Sri Lanki, czyli pięknej wyspy, to hinduista (15,5%), słabo dbający o własne miejsca kultu - kowile, często sprawiające wrażenie niesprzątanych, trochę zaniedbanych i porzuconych. Na wyspie mieszka spora grupa muzułmanów (7%). Mozaikę etniczną Sri Lanki dopełniają chrześcijanie (7,2%), a dominujące pośród nich grupy wyznaniowe to katolicy, anglikanie, metodyści, baptyści, prezbiterianie oraz wyznawcy holenderskiego kościoła referowanego.

Mało kto wie, że na wyspie przetrwał system kastowy. Mówienie o nim nie jest modne, a wykształceni Lankijczycy wyraźnie bagatelizują te podziały. Wystarczy jednak chwila nieoficjalnej rozmowy, aby zrozumieć trwałość tych zamkniętych struktur i ich społeczne usankcjonowanie. Pamiętać przy tym należy, że kasty na północy kraju, w prowincji Jaffna zamieszkałej przez Tamilów, są inne niż na południowych rubieżach wyspy i w jej centrum. Wspierający Tamilskich Tygrysów dzielą się, bowiem na braminów, czyli szanowanych kapłanów, vellalas (właściciele ziemskich posiadających zróżnicowany areał i różną liczbę stałych robotników rolnych) oraz niedotykalnych, czyli pracowników wędrownych, cejlońskich nomadów XXI stulecia, stale szukających szans pracy i przetrwania. Zupełnie inaczej wygląda stratyfikacja w pozostałej, nietamilskiej, części kraju, ulokowanej na południe od rebelianckiej Jaffny. Tutaj spotykamy govigama (właściciele ziemscy i plantatorzy), karava (rybacy), hakurus (wytwórcy jaggery - naturalnego słodziku uzyskiwanego z soku palmowego, posiadającego duże wartości odżywcze i uchodzącego za cukier leczniczy), beravaya (tragarze), radhu (pracze), rodiya (żebracy, wędrowni artyści). Zupełnie w poprzek tych podziałów kastowych, majątkowych, etnicznych i religijnych biegnie linia demarkacyjna między mieszkańcami świętego miasta Kandy, przekonanymi o swojej unikalnej roli w historycznych losach kraju i arystokratycznym pochodzeniu, a plebejską resztą obywateli.

Trochę kluczymy, bo trzeba ominąć pierwszy szereg knajpek i zabudowań przy plaży, ale w końcu trafiamy. Plaża położona jest w zatoce, gdzie fale są zdecydowanie mniejsze niż w Tangalle, ale za to sama plaża jest węższa, więcej turystów. Poznajemy niektórych z wcześniejszych miejsc. Czas na kąpiel, a potem siedzenie w cieniu palm. No tak wczorajszy spacer po plaży w Tangalle przypiekl nas dość znacząco. W międzyczasie odwiedzamy kawiarenkę na palach przy plaży, aby zjeść zupę cebulową i napić się orzeźwiającego soku ananasowego.

O 16:30 wracamy do hoteliku, bo mamy zamówiony obiad. To co wjeżdża na stół pod wiata na podwórku przechodzi nasze najśmielsze oczekiwanie. Ja jem rice and curry, pozostali rybę. Jednak to moje danie jest wybitne. Składa się na nie ryż z warzywami, dynia w sosie curry, kurczak, zielona fasolka, chrupki papadam, a wszystko tak dobrze doprawione, nie za ostre i w takich ilościach, że po obiedzie czuję się najedzona niczym bączek. Przepyszne.

Potem idziemy jeszcze na spacer po okolicy. Chcemy sprawdzić jak daleko jest to głównej ulicy, aby jutro z rana iść tam czatować na jadący autobus do kolejnego miejsca naszej podróży. Trafiamy na przystań rybacka, gdzie trwa sprzedaż ogromnej ilości ryb. Wyjeżdżają stąd małe ciężaróweczki wypełnione skrzyniami ryb, ale przychodzą też tutaj zwykli mieszkańcy, niosący swoje zakupione ryby w reklamówkach.

Wracając z przystani dopada nas monsun. Leje masakrycznie, i niestety na mokrej nawierzchni chodnika poślizgam się i noga odjeżdża. Hmm znowu mnie zabolalo w kolanie...

Idziemy do kawiarenki na plaży, bo zaczyna się wieczorne happy hours, czyli tańsze drinki. Jednak kiedy siadamy na tarasie restauracyjki, gaśnie światło. Cale okoliczne wybrzeże staje się

ciemne. Pojawiają się tu i ówdzie świece na stolikach. Podobno to może być efekt ulewy, która przeszła parę chwil temu. Tak więc siedzimy sobie przy świetle świeczek w otoczeniu plaży i szumu oceanu. Fajnie jest. Jedyne co to możemy zamówić drinki, do których nie potrzeba elektrycznego szejkera. Po pół godzinie jednak prąd wraca, a my siedzimy sobie do 21:30, bo jest naprawdę sympatycznie. Poza tym co jakiś czas, z przerwami deszcz sobie popaduje...

## **28.07.2011 (czwartek)**

Dzień zaczyna się pechowo. Wczoraj podczas ulewy poczułam kolano, no i dzisiaj przy każdym kroku odczuwam ból. Zakładam opaskę, ale i tak nie jest dobrze. Łapiemy autobus na głównej drodze do Unawatuny. Jadąc autobusem wypatruję w zatoce słupków, na których mają siedzieć rybacy. Słupków jest dużo, ale rybaków można policzyć na palcach jednej ręki. To słynni rybacy, których można spotkać tylko tutaj. Niespełna godzina jazdy i już jesteśmy w Unawatunie.

Unawatuna, to miejscowość w pobliżu Galle, położona w zatoce morskiej. Tsunami niemal doszczętnie zrównało to miejsce z ziemią, ale kurort turystyczny dał radę się odbudować, a dawny spokojny klimat tego miejsca nie zanikł.

Tu, aby nie chodzić nigdzie z moim kolaniem bierzemy dwa tuk tuki, które wiozą nas do taniego hoteliku. Padam na łóżko, tyle mi zostaje na razie. Paweł przynosi mi śniadanie. Smaruje kolano maśmą, okładam lodem. Tyle mogę zrobić i leżeć. Dzień już mam stracony. Ciekawe co będzie jutro. Siedzę więc w pokoju oglądając filmy na laptopie i słuchając jak co chwilę obok hoteliku przejeżdża samochód-piekarnia z muzyczką „dla Elizy”. Od razu wiadomo, czy mieszkańcy mają wyskakiwać ze swoich domów czy nie. Poza tym jeździe też śmieciara, dla odmiany inną melodią. Kiedy mieszkańcy ją słyszą wychodzą przez swoje domy z kubelkami pełnym śmieci. Fajne to. Reszta ekipy zwiedza okolice (w końcu są sklepiki z pamiątkami), albo siedzi na plaży. Leżę w łóżku do wieczora, i wcale nie jest lepiej. Nie mogę stanąć na lewej nodze i przenieść na nią ciężaru.

Paweł biega po sklepach z biżuterią szukając pereł robi zdjęcia i wysyła swoim koleżankom z pracy, które zamówiły kupno koralików.

Obiad jemy w hoteliku. Bierzemy jedna porcje na dwie osoby, bo tyle tego rice and curry jest. Na dodatek właściciel rozumie, że jak ma być bez chili, to znaczy, że bez chili, toteż jedzenie jest pozbawione ostrości i można nim delectować się do woli. Uwielbiam ten ryż z curry, ilość dodatkowych sałatek jest porażająca i za każdym razem trafia się na nowe wariacje tej potrawy. Wieczór spędzamy przy kolejnych dzbankach herbaty oraz piwie. No i następuje koniec dnia...

## **29.07.2011 (czwartek)**

Budzę się w nocy, bo mnie żrą komary. Jest trzecia nad ranem, a my z Pawłem zabijamy komary. Jak one się dostały pod szczelną moskitierę? Końca są zapchane pod materac, to jak wleciały? Potem też co chwile się budzę, bo czuję jak mnie pogryziona skóra swędzi. Jakby tego było mało, to nasze okna wychodzą na uliczkę, którą zadziwiająco dużo samochodów jeździ. No i martwię się moim kolaniem, więc ciężko dzisiaj o mocny sen. Aha i jeszcze ten wiatraczek przy suficie... jak się o włączy to piszczy, jak się przyspieszy to jest za „wietrznie”, jak się da dużo wolniej to wyłącza się po paru minutach i potem załącza na nowo, a mnie jest za gorąco wtedy.

Wstajemy przed 9, z moim kolaniem jest jakby lepiej, ale dzisiaj raczej nigdzie się nie wybiorę. Mogę już trochę chodzić, ale blokadę kolana mam dalej. Potrzeba mi więcej lodu, który mrozę w lodówce właścicieli hoteliku.

Aśka z Iwona wpadają do nas z kawałkiem czekoladowego ciasta i 5 świeczkami z okazji naszej piątej rocznicy ślubu. Aśka śpiewa wniebogłosy. A ciasto okazuje się być czymś podobnym do naszego polskiego murzynka.

Po śniadaniu Iwona idzie na plażę, a Paweł z Aśką jada do pobliskiego Galle. Ja zostaję w łóżku, albo siedzę na balkonie czatując na jadącą ciastkarnię. Jakoś nie mam szczęścia. Znowu jedzie

śmieciarka. Jednak naprzeciwko naszego hoteliku wybucha w jednym z domów kłótnia. Kobiety wrzeszczą na potęgę. W końcu wypadają na podwórko i szarpią się, po czym znowu znikają i słychać dalsze krzyki...

No cóż czas umilam sobie filmami z laptopa. Dobrze, że go mamy ze sobą, bo chyba bym tu z nudów umarła. Po południu postanawiam przejść się kawałek. Powoli, bo powoli, ale udaje mi się przejść do pobliskiej restauracyjki na pizzę. Później tuk tukiem podjeżdżamy na koniec alejki tuż przy plaży, aby w fajnym sklepie z pamiątkami kupić trochę figurek. Udaje się zrobić dobre zakupy. Głównie figurek słoników, ale i parę innych rzeczy tu kupujemy. Na dodatek sprzedająca jest całkiem dobrze nastawiona do obniżek i dobrej ceny. Wychodzimy zadowoleni. Kolejny nasz przystanek to upatrzony wczoraj przez Pawła sklep z perłami. Niestety giniemy w nim na dwie godziny, bo Paweł wybiera perły dla koleżanek. Jest tego trochę, bo oprócz sznura koralu, kolczyki, zawieszki itp., w kolorze białym i czarnym. W końcu wybieram małe szafirki dla siebie, z których na jutro jubiler zrobi mi kolczyki i wisiorek. No a w międzyczasie oczywiście trwają długie pertraktacje cenowe... ale w końcu się udaje i czas wracać, bo już dawno zapadł zmierzch.

### 30.07.2011 (sobota)

Pobudka o 8. Hurra, kolano ożyło. Mogę w takim razie jechać do Galle. Pogryzieni ponownie przez całą chmurę komarów zbieramy się na śniadanie. Jest tak obfite, że ponownie wybieramy opcję jedno śniadanie na dwie osoby. Kiedy chcemy jechać do Galle, okazuje się, że Paweł nie ma przewodnika. Stwierdza, że chyba zostawił u jubilera, pędzi tam, a ja znajduję go w restauracji, gdzie wczoraj jedliśmy pizzę. Paweł poszedł zapłacić za obiad, ale przy okazji oglądał malowane obrazki i musiał odłożyć przewodnik, aby je wziąć do ręki. Nie ma to jak dobra dedukcja.

Łapiemy busa do Galle i po 10 minutach jesteśmy na miejscu. Galle - miasto w południowo-zachodniej części Sri Lanki, nad Oceanem Indyjskim, ośrodek administracyjny Prowincji Południowej. Około 99,5 tys. mieszkańców. Miasto składa się z dwóch części: zabytkowego fortu wysuniętego w morze i nowszej części miasta, znajdującej się na stałym lądzie. W 1986 r. założenie fortowe wpisane zostało na listę światowego dziedzictwa UNESCO jako najlepszy przykład ufortyfikowanego miasta wzniesionego przez Europejczyków w Azji południowej i południowo-wschodniej. Fort Galle jest największym z zachowanych miast fortowych wzniesionych przez Europejczyków w Azji. Około 400 domów wyznacza linie pięciu głównych ulic. Całe założenie fortu zajmuje obszar 700 x 400 m. Obecny kształt fortu nadany został w XVII w. przez Holendrów.

To przecudowne miasto podobne do indyjskiego Kochinu, miasto kolorów, smaków i niesamowitej gracji, taki posmak Europy w azjatyckim wydaniu. Znaczny wpływ na jego obecną postać miały państwa biorące udział w wyścigu kolonizacyjnym. W 1505 roku swój pierwszy przyczółek na wyspie założyli tu Portugalczycy. Ponoć widząc masę krzykliwych kogutów tłumiących się w okolicy nazwali miasto właśnie Galle (z łaciny – kogut, z port. Gallo - kogut). Największy jednak wpływ na obecną postać miasta wywarli Holendrzy. To oni zbudowali, poczynając od 1663 roku, przepiękny, otoczony imponującymi, potężnymi murami, fort. Przez 200 lat był on największym portem kraju i ważnym punktem tranzytowym dla statków handlowych kursujących między Europą, a Azją. Po dziś dzień Fort Galle jest największym z zachowanych miast fortowych wzniesionych przez Europejczyków w Azji. Jak najbardziej zasłużenie figuruje od 1986 roku na liście światowego dziedzictwa ludzkości UNESCO.

Gdy wjeżdżamy do Galle, pierwsze co rzuca się w oczy to stadion do krykieta. Doskonały widok na międzynarodowy stadion rozciąga się z murów rozległego fortu. Jego potężne mury i liczne bastiony zajmują niemal cały cypel tworzący naturalny port w Galle.

Docieramy na miejscowy dworzec autobusowy znajdujący się w Nowym Mieście, części miasta diametralnie odróżniającej się od jego kolonialnej, innej twarzy. To typowe azjatyckie miasto, z wszechobecnym rozgardiaszem, hałasem i plataniną tabunów ludzi. Nie widać już tu zbytnio śladów tragedii jaka miała miejsce w czasie katastroficznego tsunami w 2004 roku. To

właśnie ta część miasta ucierpiała najbardziej. Zniszczony został znany stadion krykieta, zabudowa tej części miasta, fala zmyła samochody i autobusy. Tymczasem zabytkowy Fort Galle (tzw. Stare Miasto) pozostał, dzięki potężnym pohlenderskim murom, nienaruszony.

Im bliżej murów miejskich, tym większy wzbudzają respekt i podziw. Nie dziwo, że nawet złowrogie tsunami nie było w stanie ich sforsować. Przekraczając jedną z dwóch bram prowadzących do fortu wkraczamy jakby w inny świat. Wszędzie, gdzie nie spojrzeć widać europejskie ślady, a to od typowo europejskich uliczek, kościołów (piękny Groote Kerk) aż po ukryte zaraz za murami klub tenisowy i koszary. Na ścianach kamienic figurują holenderskie i brytyjskie herby. Mnóstwo tu sklepów z rękodziełem, kafejek, antykwariatów i wspaniałych hoteli.

Sam fort jest dość znacząco zniszczony. Potrzeba jeszcze dużo czasu, aby przywrócić mu jego dawną świetność. Spacerujemy uliczkami fortu, gdzie spotykamy miejsce, w którym raz do roku wydaje się posiłek mieszkańcom – muzułmanom. Co chwilę widać, jak kolejna osoba pędzi z miską wypełnioną ryżem, sosami, co ma starczyć całej rodzinie. Pawłowi udaje się przekupić latarnika i po drabinie, bo w latarni nie ma schodów, wejść na samą górę. Część fortowa Galle jest bardzo spokojna, choć za murami w tzw. Nowym Mieście panuje charakterystyczny azjatycki zgiełk, czynne są stoiska na chodnikach z owocami, warzywami, czy też w pobliżu nabrzeża rybacy sprzedają świeże ryby o rozmiarach często przekraczających nasze wyobrażenia. Na koniec jeszcze siadamy w kawiarence, aby czegoś się napić, bo upał jest niemożliwy.

Potem wracamy an dworzec autobusowy. Asia i Iwona wracają do Unawatuny, natomiast my z Pawłem jedziemy do Ahangamy szukać słynnych rybaków łowiących ze słupków stojących w morzu. Niestety wypatruję podczas jazdy rybaków, ale nie udaje się zobaczyć nic poza pustymi słupkami. Może jesteśmy za wcześnie? W Ahangamie postanawiamy wyjść nad morską zatokę i zobaczyć czy jednak ktoś czasem nie łowi ryby. Kiedy wychodzę na plażę, patrzę, a tam jeden rybak siedzi na swoim słupku. Uradowana wykrzykuje, do Pawła, że JEST i jednocześnie przestraszam śpiącego psa, który niestety nas obszczekuje. Siedzimy sobie w pobliżu owego rybaka i robimy zdjęcia. Nawija się jakiś miejscowy gość, który mówi, że jest synem tego łowiącego. Opowiada, że teraz rybaków jest mało, bo to nie jest sezon na sardynki, a ten przypada na grudzień, gdzie w ciągu godziny wyciągają na swoje wędki nawet 1000 sztuk. Podobno morze jest wtedy ciemne i geste od ławic sardynek. W ogóle to łowienie jest śmieszne. Siedzi sobie taki rybak na paliku w morzu i wędkuje, a właściwie wygląda to tak, jakby mieszał wędką w morzu. Co jakiś czas wyciąga sobie sardynkę. Skoro jest niski sezon powinniśmy coś zapłacić owemu rybakowi – drobne 100 rupii. Potem nawija się drugi rybak, więc jemu dajemy 200 rupii, aby też dał swojemu koledze. Idzie przez wodę niosąc wysoko nad głową wędkę i worek na ryby, wspina się na słupkę, po czym zaczyna wywijać swoją wędką. Zaczepia mnie kolejny pies, który nie daje mi kręcić kamerą filmu, tylko postanawia mi ją przerwać, myśląc że jest to zabawa. Moje wrzaski bierze za jeszcze większą zachętę do zabawy. A moja kamera ląduje raz po raz na piasku.

Koniec tego dobrego, czas wracać do Unawatuny. Kierowca autobusu, tak mknie, że przejeżdża Unawatunę i lądujemy na głównym dworcu autobusowym w Galle. Co za pech. Musimy więc przesiąść się do wolnego czerwonego busa, który zatrzymuje się na każdym przystanku i tak wracamy ponad 40 minut później.

Po powrocie szybko przebieramy się w stroje kąpielowe i idziemy na godzinę łapać ostatnie dzisiejsze promienie słoneczne. Paweł się kąpie ja siedzę tylko na plaży, wołę nie ryzykować kolana w tych falach. Zresztą gdy Paweł wychodzi z wody jest cały w piasku, bo fale wzbudzają go całą masę. Obok na piasku dwa psy szaleją za piłką. Miejscowi co rusz wrzucają piłkę do wody, a psy nie bojąc się rzucają się w fale, aby zdobyć piłkę, fale miotają nimi na potęgę, ale wracają na piasek ze zdobyczą.

Potem lecimy kupować upatrzone obrazki (malowanego słonia oraz rybaków na palach) w lokalnych sklepikach i skórzaną torebkę. W końcu koło 19 lądujemy w restauracji Chili, gdzie Paweł zajada się rybą, a ja makaronem z kurczakiem. Na koniec czas na drinki. Ja mam jakiegoś Long Island z rumu, wódki i całej masy innych składników. Czuje, że jest mocny. Takich drinków w innych azjatyckich krajach nie było. Zawsze serwowano bardzo słabe. Po miłym wieczorze w restauracji na plaży, czas odebrać szafiry, są śliczne. Jubiler ponadto używa nam swojego telefonu,



abyśmy mogli zadzwonić do Deniyaji i zarezerwować nocleg dla nas na jutro. Przy okazji pokazuje nam rachunek za szafir, który dzisiaj sprzedał, za około 8 tysięcy dolarów. Rany, to kupa pieniędzy!

O 21 jesteśmy w hoteliku, gdzie zjadamy arbuza. Postanawiamy dzisiaj nie walczyć z komarami, tylko smarujemy się antykomarową muggą. A niech sobie latają do woli, już nas nie pogryzą.

### **31.07.2011 (niedziela)**

W nocy budzę się parę razy, bo komary żrą i muszę ponownie smarować się muggą. Wstajemy o 8 rano. Chwila schodzi nam na pakowaniu pamiątek, a potem jeszcze czas na śniadanie. Rachunek mile zaskakuje, bo nie ma tu 10% serwisu, a w tym przypadku, aż się o to prosi, bo właściciele znoszą nam jedzenie na taras na piętrze budynku. O 9:30 wychodzimy. Łapiemy autobus do Galle, cho początkowo kilka pierwszych nie chciało się zatrzymać.

Na dworcu autobusowym, kierują nas na autobus do Acuressy, gdzie mamy się przesiąść, bo na bezpośredni do Deniyayi trzeba sporo poczekać. O 10:05 już jedziemy. Autobus oczywiście czerwony grat, zatrzymuje się na każdym możliwym przystanku. Prędkość między nimi rozwija niewielką. Mam wrażenie, że jakby puścić na te trasę maratończyka, to spokojnie dobiegłby do Acuressy przed naszym autobusem. Mijamy pola ryżowe na których trwają w najlepsze żniwa. A ze jedziemy znowu w góry, to na zboczach coraz więcej plantacji herbacianych. Przy drodze co chwilę mijamy kolejne fabryki herbaty, a gdy obok nich przejeżdżamy owiewa nas zapach siana. Po dwóch godzinach docieramy do Acuressy, a pokonaliśmy raptem 32 kilometry!!! Zdecydowanie maratończyk byłby tu przed nami. Od razu zostajemy przerzuceni do właściwego autobusu i dosłownie 5 minut później jedziemy dalej. To trzeba przyznać zaleta transportu Sri Lanki (w Indiach zresztą też), jak człowiek pojawia się na dworcu zawsze coś zaraz jedzie w oczekiwanym kierunku.

Co chwilę wsiadają uczniowie w białych mundurkach, Hmm nie wiem jada do szkoły czy może już ze szkoły. Ciekawe jest również to, że przecież dzisiaj jest niedziela, a oni i tak jadą się uczyć. Teraz kolejne 48 kilometrów zajmuje nam dwie godziny. Trochę szybciej. Toteż w Deniyaya jesteśmy około 14. Potem idziemy ze 300 metrów z dworca w poszukiwaniu naszego zamówionego noclegu. Idą musimy uważać, bo chodnik i pobocze zastawione obwoźnymi sprzedawcami z przysłowiowym mydłem i powidłem.

Docieramy do Sinharaja Rest. Dobrze, że wczoraj zamówiliśmy nocleg telefonicznie, bo inaczej byłby problem. Jest tu tylko 6 pokoi. Właściciela nie ma, bo do 17 oprowadza turystów po lesie deszczowym. Rozgaszczamy się w w małych trochę przytęchłych pokoikach po czym idziemy do centrum, aby coś zjeść. Nie ma tu zbyt dużego wyboru, bo miejscowość nieduża. Wynajdujemy spelunkę, gdzie konsumuje bardzo dużo miejscowych. No skoro tak to trzeba tu zjeść, choć miejsce na pierwszy rzut oka nie zachęca, bo zamiast chusteczek są gazety, które po wykorzystaniu rzuca się po prostu pod stół. Jest tu tego sporo. Ale co tam skoro tyle ludzie tu je znaczy, że jest smacznie. Iwona odmawia skorzystania z tutejszej kuchni. Zamawiam oczywiście rice and curry – dostaję całą furę ryżu oraz 4 miseczki dodatków – buraczki, soczewica-dhał, papryka z cebulką, pomidorki z.. suszonymi rybkami. Druga potrawa to smażony ryż z warzywami i kurczakiem. Trzeba bardzo ostrożnie jeść, bo są kosteczki. Do wszystkiego oczywiście chrupki papadam. Iwona postanowiła zjeść słodkie bułeczki, które są tu serwowane w dość osobliwy sposób. Kelner stawia na stole tacę z zestawem ciastek, a jak przychodzi do płacenia to podaje się co się zjadło z całego zestawu. Gdy płacimy rachunek okazuje się, że za te dwa dania oraz napoje płacimy 11 zł. Normalnie bosko, a nie tanio.

Wracając kupujemy bułeczki i słodkie ciastka, które będą na rano. Na jednym ze stoisk przy drodze zakupujemy duriana, aby Iwona z Aśką miały okazję spróbować najbardziej śmierdzącego owocu na świecie. O dziwo jakoś bardzo nie śmierdzi w tej łupie.

Siedzimy sobie na dworze przed hotelikiem i pijemy zamówioną herbatę. Później pojawia się właściciel Palitha, który z miejsca okazuje się być bardzo przyjacielsko nastawionym Lankijczykiem. Umawiamy się na wycieczkę do lasu, niezbyt forsowną ze względu na moje kolano.

Razem z nami idzie też 3 osobowa rodzinka Niemców. Wyjedziemy jutro o 6 rano na kilka godzin. Iwona nie idzie do lasu, bo tam podobno są pająki... przeglądamy pamiętniki Palithy w głównym holu budynku. Na stołach leżą albumy ze zdjęciami, z jego pobytów w Europie, ale także małe pamiętniki do których wpisują się zadowoleni turyści. Podobno Palitha jest jednym z najbardziej wybitnych znawców lasu deszczowego. Pozytywnie opisuje go również przewodnik Lonely Planet. Ale mimo to goście nie odbiło i nie wymyśla za nocleg magicznych cen oraz za swoje usługi przewodnika.

Wieczorem zjadamy duriana. Po rozkrojeniu pojawia się śmierdzący zapach, niczym z kanalizacji. Iwona kończy na polizaniu... Potem zaczyna nam się odbijać durianem... czyli ową kanalizacją... masakra. Durian nie pozwala nam zapomnieć o sobie przez następne godziny. Czujemy się niczym bajkowy Shrek...

### **01.08.2011 (poniedziałek)**

O 5:30 w egipskich ciemnościach wstajemy. Pół godziny później wszyscy są gotowi i wsiadamy do busa. Iwony nie udaje nam się przekonać do wyjazdu, zostaje. Po 45 minutach jazdy wyboistą drogą, przejechaniu przez tak wąski most, że samochód ledwo się na nim mieści, docieramy do miejsca, skąd dalej idziemy pieszo. nasi niemieccy towarzysze pochodzą z kolonii i jak się okazuje ojciec rodziny urodził się w Katowicach, jednak języka polskiego już nie umie.

Jeszcze nie weszliśmy do lasu, a przewodnik – Palitha już nam wiele rzeczy opowiada. Dowiadujemy się, że sterczące, uschnięte fragmenty liści palmowych, które są wtykane na polach ryżowych, są po to, aby ptaki na nich siadały i polowały a kraby, które niszczą uprawy. Ja myślałam, że to takie strachy na przysłowiowe wróble, a tu wręcz odwrotnie. Ponadto pole po wyciętych krzewach herbacianych na rok porasta trawą, po to aby zatrzymać erozję gleby. Natomiast drzewa kauczukowe, które pojawiają się wśród krzewów herbacianych działają niczym nawóz.

Idąc spotykamy w kępie drzew chmarę głośnych ptaszków. Czegoś podobnego nie słyszałam jeszcze nigdy. Latają jak oszalałe i ćwierkają jak nie wiem co. Palitha mówi, że jest to siedem siostr. Jest taka legenda o gadatliwych siostrach, które potem zostały zakłute w ptaki.

Przed wejściem do parku musimy założyć skarpetki i do nich zapchać spodnie. Następnie nasze stopy i buty zostają wysmarowane solą, co ma chronić nas przed pijawkami. W kasie kupujemy bilet wstępu do parku i wchodzimy.

Sinharaja (oznacza w języku syngalezkim: Króla Lwa, ale co ma wspólnego z tym lasem?) to ostatni na Sri Lance kompleks lasu deszczowego, niezniszczony przez cywilizację. Drzewa rosną tu połączone spletanymi gałęziami i pnączami, gęstwinę potęgują pierzaste paprocie i zwieszające się liany, wszędzie słychać cykady i raz po raz nawołują się ukryte w gąszczu ptaki. To prawdziwa skarbnica przyrody, zamieszkała przez 830 gatunków endemicznych roślin i zwierząt. Strzelające ku niebu drzewa tworzą w warstwie koron obszar niemal nieprzenikniony dla promieni słonecznych, ale skutecznie zatrzymujący wilgotność. Dlatego też w lesie panuje półmrok i jest parno niczym w potężnej cieplarni.

Rezerwat leśny Sinharaja to wilgotny las równikowy, leżący w prowincji Sabaragamuwa, na południu Sri Lanki. Rezerwat rozciąga się na 21 kilometrów ze wschodu na zachód i maksymalnie 7 kilometrów z północy na południe. Jest skarbnicą wielu gatunków endemicznych.

Spacer po wilgotnym i dusznym, ale również mrocznym i tajemniczym lesie Sinharaja, nie da się porównać do niczego innego, nie tylko na Sri Lance, ale również w żadnej innej części świata. Chyba tylko tropikalny las deszczowy w Malezji może się z tym również.

Ta wspaniała dżungla, to jeden z ostatnich dziewiczych lasów deszczowych. Ziemia pokryta jest egzotycznymi kolorowymi kwiatami, a wokół wspaniale brzmi muzyka grana przez różne leśne stworzenia. Od korzeni po czubki drzew w lesie tętni życiem, pełno w nim kolorów i dźwięków: huczące wodospady, szemrzące strumienie, szum maszerujących wkoło mrowiska mrówek, szelest liści szelest, granie świerszczy i masa fruujących motyl. Wszystko to razem łączy się w jednym celu – by pobudzić nasze zmysły.

Liczne strumienie, wodospady i słodkowodne źródła wpływają do rzek Gin Ganga na południu i Kalu Ganga na północy. Region Sinharaja od dawna odgrywa ważną rolę w dziedzictwie kulturowym Sri Lanki. Nazwa lasu oznacza dosłownie „Król Lew”, był on prastarym domem legendarnego lwa Sri Lanki.

Dopiero stosunkowo niedawno zaczęto dbać o zachowanie tego obszaru. W 1976 został uznany za Rezerwat Biosfery, zaś w 1989 roku UNESCO uczyniło park Sinharaja częścią Światowego Dziedzictwa UNESCO. Ze względu na gęstą roślinność mieszkające tam dzikie zwierzęta, park nie jest tak dostępny, jak inne obszary leśne w strefie suchej, jak np. park Yala. Obecnie mieszkają tam trzy słonie i około piętnastu lampartów, rzadko jednak się je widuje.

Stąd także i my postanowiliśmy odwiedzić to magiczne miejsce. I to jest strzał w dziesiątkę. Nasz przewodnik cały czas nam coś opowiada i wyszukuje różne rzeczy w lesie. Mamy okazję zobaczyć fantastyczną nadymającą się jaszczurkę, która wygląda jak mały smok, jaskrawo zielonego węża, całkiem sporo dużych pajaków, czarne wiewiórki mieszkające w gniazdach niczym ptaki. Co chwilę słychać też różne ptaki. Pająki są niezłe. Przewodnik wrzuca na wielką pajęczynę kawałek patyczka i pokazuje nam co robi pająk. Ten podchodzi do patyczka, sprawdza czy jest to coś jadalnego, a że nie jest to jednym ruchem ów patyczek, pająk wyrzuca ze swojej sieci. Tak na marginesie po powrocie ze Sri Lanki wypróbowałam coś podobnego na sporym pająku, który zamieszkał na moim balkonie i jak mu wrzuciłam patyczek to... po chwili pająk pozbył się go z pajęczyny.

Gdyby nie nasz przewodnik nie dowiedzielibyśmy się co las ma do zaoferowania ludziom. Podobno Lankijczycy skwapliwie z tego dobra korzystają. Możemy więc zobaczyć wielkiego ślimaka, którego jak postuka się w skorupkę, to wydziela się woda, która jest... środkiem przeciwbólowym o sile morfiny. Jednak hitem są rośliny. Przewodnik pokazuje nam rośliny z których robi się klej, albo pociera owoce i jest... szampon. Próbuje też różnych liści, a to na ból żołądka, a to przeciw próchnicy zębów. Próbuje nektaru z drzew zbieranego przez lokalną ludność. Palitha jako dobry przewodnik od czasu do czasu jak znajdzie jakiś śmieć to go zabiera ze sobą. Jest tu też cała masa termitów i mrówek, które pędzą po pniach w trzypasmowych autostradach. Las, który nas otacza jest dość ciemny w jego wnętrzu jest dość parno. Dookoła zwisają liany, a na drzewach, które są bardzo wysokie, dość często pokryte roślinami pasożytami. Palitha mówi, że czasem te pasożyty są tak silne, że „zjadają” pierwotne drzewo. Na korach drzew rosną orchidee, paprocie.

Nad pobliską rzeką siedzą kormorany, a zimorodki czekają, aby zapolować na rybki. Co jakiś czas rzekę przepływa waran. Chwilę siedzimy nad rzeką i wtedy w mojej skarpetce odnajduję pijawkę. Jak ona tam się dostała? Już zdążyła się przyczepić do skóry i napić niczym bączek. Na szczęście dość łatwo udaje mi się ją oderwać. Potem tylko schładzam stopę w wodzie, bo krew mi cieknie. W wodzie jest cała masa małych rybek. Gdy wrzucamy kruszki ze śniadania, rybki wyskakują z wody i łąpczywie porywają owe resztki.

W drodze powrotnej wchodzimy na wiszący most nad rzeką. Cały się chwieje jak po nim idziemy. Prawdziwy most wiszący.

Do Deniyaji wracam przed 13. Szybka kąpiel i gotowi idziemy na autobus. Po drodze zawijamy do restauracji (tej samej co wczoraj). Kelner już do nas woła po angielsku „przyjaciele”. Zamawiamy oczywiście curry. Dzisiaj oczywiście inne dodatki – jest soczewica, jakieś ziemniakowate warzywo w sosie curry, jajka, fasola w chili ostra, że nie wiem co, cebulka z pomidorami no i chrupki papadam. Paweł szuka wczorajszych buraczków, które mu zasmakowały, ale niestety dzisiaj ich nie ma. Najedzeni możemy jechać.

Wsiadamy do autobusu, a właściwie dokonujemy szybkiego abordażu. Autobus, który podjeżdża jest mały, a ludzi sporo. Trochę pojedziemy, a z moim kolanem nie ma co stać. Abordaż udaje się i mamy miejsca siedzące. Autobus według informacji miał jechać o 14. Owa godzina minęła a my dalej siedzimy i czekamy. Na szczęście pół godziny później rusza. Okazuje się, że mimo iż napis na autobusie widnieje informując, że jedzie do Ratnapury, to wcale tam nie jedzie. Zostajemy z trudem poinformowani, że na końcu trasy będzie przesiadka. No to trudno jedziemy. Autobus rusza w góry. Niemiecka rodzina też jedzie, zmierzają do Haputale. W pewnym momencie

z 380 m n.p.m. robi się aż 1000. Jedziemy tak wąską drogą, że właściwie cud, że koła mieszczą się jeszcze na asfalcie. O mijance nie ma mowa. Jak trafi się na jadący z przeciwka samochód (a właściwie autobus, bo samochodów tu nie ma), to pojazdy muszą zjechać maksymalnie na pobocze, w jakimś szerszym miejscu i powoli minąć się. Autobus zatrzymuje się co chwilę, bo w kółko ktoś wysiada, a następny wsiada. Bileter pokrzykuje coś co przypomina BAINA, no i musi oznaczać wysiadanie, a potem HARI HARI, co zapewne musi być – odjazd. W ten sposób pokrzykując powoduje, iż kierowca albo się zatrzymuje, albo rusza w dalszą drogę. Przez autobus przewija się niezliczona ilość osób w trakcie całej trasy. Jedziemy z boczem kolejnych gór, a właściwie objeżdżamy je, robiąc niezłe koło. Na przełęczach są piękne widoki innych gór i dalekich równin. Możemy zobaczyć na przeciwległych zboczach drogę, którą godzinę temu jechaliśmy. W końcu zjeżdżamy w dół dziesięcioma mega serpentynami. I po prawie trzech godzinach i przejechaniu 50 kilometrów (choć na mapie jest 30) dojeżdżamy na dworzec autobusowy w Rakwanie. Tutaj stoją już autobusy czekające na nasz, gdzie ludzie przesiadają się na inne kierunki. Fajnie to zorganizowane. 10 minut później jedziemy dalej. Przed nami kolejne 50 kilometrów. Tym razem droga jest już normalna i autobus śmiga.

Wszyscy po drodze coś konsumują. Tak na marginesie podoba mi się tutejszy recycling. W restauracji zamiast serwetek będzie pocięta gazeta, natomiast jak pójdziecie do sklepu kupić bułeczki, to dostaniecie je zapakowane w torebki zrobione ze... SPRAWDZIANÓW uczniowskich!!!! a nawet egzaminów. Już sobie wyobrażam w Polsce torebki z arkuszy gimnazjalnych...W każdym razie jak wrócę to taką torebkę wszystkim pokażę.

Na koniec jazdy Aśce jeden z Lankijczyków siedzący obok niej chciał ukraść zawieszony przy pasku aparat. Może myślał, że to portfel. Aśka podniosła wrzask i gość dał sobie spokój.

Po półtorej godzinie dojeżdżamy do Ratnapury. Jest już ciemno. Na dworcu przyczepia się do nas miejscowy, który albo jest pijany, albo niespełna rozumu. Szybko go mijamy, bierzemy tuk tuki i każemy się zawieźć do hoteliku z przewodnika. Mimo później pory są w nim jeszcze miejsca. Tuktuciarzom płacimy za przywiezienie po 80 rupii za tuk tuka, a ukradkiem widzimy jak kierowcy dostają jeszcze po 100 od recepcjonisty za to, że przywieźli nas do nich. Guest house położony jest na zboczu, stąd w zależności od poziomu na którym jest pokój jest inna cena, zależna od widoku i standardu pokoi. Najdroższe są na samej górze, a na dole najgorsze i najtańsze. Szkoda tylko, że tu jest tyle schodów, bo normalnie moje kolano siada.

W końcu po 20 chwila wytchnienia. W łazience zabijam karalucha. Po wypiciu piwa jestem jak dętka, zasypiam w okamgnieniu.

## **02.08.2011 (wtorek)**

Po wczorajszym wczesnym wstawaniu do lasu deszczowego, postanawiamy dzisiaj wstać później. Po 9 jemy śniadanie, a potem jedziemy wynajętym samochodem z kierowcą do kopalni szafirów. Kopalnie szafirów położone są za miastem w gaju palmowym nad rzeką.

Ratnapura to inaczej miasto klejnotów. Rwąca woda wymywa kamienie szlachetne ze skał i niesie je często ze zwiernem w dół rzeki z gór.

Sri Lanka, nazywana Perłą Oceanu Indyjskiego to kraj od stuleci znany z wydobycia i obróbki kamieni szlachetnych i półszlachetnych. Nie znajdziemy tu brylantów, lecz piękne wielobarwne szafiry, rubiny (czerwone szafiry), ametysty, turmaliny, granaty, cyrkonie, aquamaryny, topazy, kamienie księżycowe i wiele innych rzadkich okazów takie jak kocie oczy czy szafiry gwiazdziste. Każdy z kamieni ma swój własny szlif, w odróżnieniu od 57 siedmiu szlifów na diamencie. Kolor każdego z kamieni jest również niepowtarzalny właśnie ze względu na formę, ilość szlifów i wtórnie rodzaj osadzenia w biżuterii. Szafiry i inne kamienie świecące powinny być osadzone w biżuterii w taki sposób aby jak najwięcej światła mogło dostać się do kamienia. Stąd też wynika zależność ceny szafira od jego wagi. Cena karata szafira rośnie niemalże wykładniczo wraz z ilością karatów w kamieniu. Niejednokrotnie ceny szafirów królewskich sięgają dziesiątek tysięcy dolarów, jeśli dany właściciel kopalni czy broker posiada w swojej kolekcji niepowtarzalny

kamień. Przy zakupie kamieni szlachetnych należy jednak być ostrożnym. Nawet u rekomendowanych jubilerów zdarzają się oszustwa. Dlatego też wprawne oko, dobra pamięć jest z pewnością sprzymierzeńcem tych wszystkich którzy są zainteresowani szafirami.

Białe Szafiry. Piękne ale jednak nie błyszczą się tak jak diamenty. Jest to niewątpliwie ich jedyna ale zasadnicza wada. Pomimo odpowiedniej ilości szlifów, biały szafir nigdy nie dorówna diamentowi. Niebieskie szafiry są najbardziej pożądanymi kamieniami na Sri Lance. Najbardziej wartościowe są tak zwane królewskie szafiry, których kolor jest szafirowy.

Kolor szafirowy: Przy wyborze kamienia należy dokładnie przyjrzeć się kolorowi i zawartości kamienia. Podczas gdy niewielkie wtrącenia widoczne pod lupą są do przyjęcia, widoczne gołym okiem wady są nie do przyjęcia. Szafir powinien mieć szafirowy kolor i mienić się w silnym świetle. Czerwone Szafiry (Rubiny). Jest ich cała różnorodność. Od Granatów różnią się głównie stopniem twardości. Znajdziemy tu sennie mleczne rubiny po tętniące życiem czerwone szafiry nazywane również rubinami.

Szafir – bardzo twardy minerał z gromady tlenków – niebieska odmiana korundu. Jest minerałem rzadkim. Nazwa pochodzi od sappheiros, w starożytności oznaczała przede wszystkim lapis-lazuli. Grecka nazwa została zapewne przejęta z języków semickich (hebr. sappir).

Tworzy najczęściej kryształy o postaci pseudoheksagonalnych słupów (o przekroju sześciobocznym) i bipiramid. Na ścianach kryształów często wykazuje poprzeczne zbrudzenia. Jest kruchy, przezroczysty, często wykazuje podzielną wykorzystującą płaszczyzny zbliźniaczeń.

Spotykane są też szafiry o innych barwach: biały, bezbarwny (leukoszafir), jasnoróżowy, czerwony, pomarańczowoczerwony (paparadża tzw. hiacynt), purpurowy, fioletowy (ametyst wschodni), fioletowoniebieski (szafir kaszmirski), zielony (szmaragd wschodni), jasnoniebieski (akwamaryn wschodni), szary, brunatny, czarny.

Znane są też odmiany dwubarwne (szafir arbusowy) oraz wykazujące asteryzm (szafir gwiazdzisty). Barwę powodują domieszki żelaza, tytanu, magnezu, wanadu, chromu. Szafir jest spotykany w skałach magmowych, najczęściej w pegmatytach, i bazaltach. Miejsca występowania: Sri Lanka – największe znajdowane kryształy, do 20 kg, nie mają wartości jubilerskiej, Kambodża, Indie, Australia, Tajlandia, Tanzania, USA, Rosja (na półn. Kola znaleziono kryształ ponad 5 kg), Namibia, Kolumbia, RPA, Madagaskar, Birma – w 1966 r. znaleziono w Magoku kryształ szafiru gwiazdzistego.

Wydawało nam się, że nic nas już na koniec naszej wizyty na Sri Lance nie zaskoczy, a tu nadszedł dzisiaj dzień, a wraz z nim kolejne "wow".

Otóż w okolicach Ratnapury znajduje się szereg małych kopalni szafirów. Pojechaliśmy dzisiaj do jednej z nich. Po 20 minutach jazdy wjechaliśmy na prywatną posesję i dopiero w ostatnim momencie pośród palm kokosowych dojrzelśmy 2 małe zadaszone szyby biegnące w głąb ziemi. Jakież było nasze zdziwienie, kiedy zaproponowano nam możliwość zejścia na dół.

Szyb ma około 15m głębokości, schodzi się po jego ścianie wyłożonej grubymi stopniami grubości podkładów kolejowych, trzymając się jedynie bambusowej poręczy. O żadnej linie zabezpieczającej nie ma mowy. Jest tu system komunikacji – rura bambusowa, która służy do tego aby porozmawiać z górnikiem na dole. Są też worki którymi tłoczy się powietrze pod ziemię, bo na dole jest gorąco i mogą wydobywać się niebezpieczne gazy. Niestety pod ziemię wchodzi Paweł i Aśka. Ja z moim kolanem mimo szczerych chęci nie pokonam zejścia, a Iwona po prostu nie chce. Zostaje mi przekazanie kamery Pawłowi i niech nakręci choć trochę pod ziemią, abym miała jakąś namiastkę. Na dole zaczyna się niziutki i wąziutki korytarz biegnący w głąb na około 150 metrów. W pewnym momencie korytarz jest tak niski, że trzeba iść na czworakach, innym zaś razem, kiedy korytarz staje się wyższy, to wody jest po kostki. Po przejściu kilkunastu metrów, po kilkunastu zakrętach Paweł dociera do wyrobiska, gdzie kilku górników na zmianę, prymitywnymi narzędziami (kilof zaliczał się do tych najbardziej zaawansowanych), kruszy glinę z nadzieją, że zawiera ona cenne kamienie. Glinę później wydobywa się na powierzchnię gdzie płukana jest w rzece i potencjalne zdobycze są dokładnie oglądane. Znakiem, że jest duża szansa na wystąpienie szafirów jest pojawienie się w glince rzecznych otoczków. Jeden z górników opowiada, że w górach w dżungli często powstają nielegalne kopalnie, bez certyfikatu i tam często dochodzi do

zasypania górników.

Na koniec zostawiamy górnikom skromny datek, który na pewno im się przyda, gdyż za pracę otrzymują około 700 rupii tygodniowo (nasz obecny pokój hotelowy, który nie grzeszy wygodą kosztuje 1250 rupii za dobę) plus ewentualne zyski z urobku. Właściciel zapewnia górnikom jedzenie i spanie. Każdy górnik pod ziemią pracuje od 8:30 do 17:30. Podobno przy dobrych wiatrach taka kopalnia potrafi dziennie znaleźć około 50 szafirów wielkości ludzkiego paznokcia. Pytanie tylko ile z tego zostanie po oszlifowaniu...

Po kopalni, czas odwiedzić prywatne muzeum kamieni. Czego tu nie ma... niestety jest też zakaz robienia zdjęć. Przy prywatnym muzeum jest sklep. Mały szafir w pierścionku z białego złota kosztuje 600 dolarów. Kamienie mają tu efekt gwiazdy lub kociego oka. efekt kociego oka - optyczny polegający na pojawianiu się wąskiej smugi (pasma) świetlnej przypominającej źrenicę kociego oka, która przemieszcza się po wypukłej i wypolerowanej powierzchni kamienia w trakcie jego obracania. Asteryzm – zjawisko optyczne polegające na pojawieniu się wąskich smug (pasm) świetlnych układających się w kształt „gwiazdy” na powierzchni kamieni szlachetnych, zwłaszcza szlifowanych w kaboszon.

Wracamy do hotelu trochę odsapnąć, a potem ruszamy do miasta. Spacer jest męczący, bo miasto jest dość hałaśliwe pozbawione jakiegoś ładu i składu. Sklepek na sklepiku, a chodników nigdzie prawie nie ma. Poza tym co kilkanaście metrów nagabują nas sprzedawcy kamieni, którzy zniechęca wyciągają małe zawiniątka z kieszeni i pokazują głównie szafiry. Pytanie na ile są prawdziwe. Próbuje dorwać jakiś nieoszlifowany korund i topaz, ale nie bardzo mi to wychodzi.

W końcu trafiamy na fajny sklep z materiałami. Na stoisku materiałowym dla mężczyzn, kupuję trzy materiały na obrusy. Z tych materiałów mężczyznom szyje się wdżianka – spódnice, a właściwie się tym materiałem obwijają.

Wieczór spędzamy przy piwie i owocach oraz obserwujemy jak mrówki niosą jakiegoś konika polnego. Transport nieźle im idzie. Obok Aśka zabija karalucha, ale mrówki zajęte są konikiem. Wciągają go nawet do góry i przenoszą przez belkę. Niesamowite.

Zajadam się ananasmem, do tego stopnia, że sok i skórka poraniły mi usta, ale piecze.... Czas spać...

### **03.08.2011 (środa)**

Pobudka 7 rano. Zabieramy rzeczy i pół godziny później odjeżdżamy z hoteliku tuk-tukami na dworzec autobusowy. Oczywiście zanim wsiądziemy do autobusu jadącego do Kolombo, najpierw trzeba zaopatrzyć się na drogę w śniadanie, czyli nieśmiertelne nadziewane bułeczki. Punkt ósma opuszczamy miasto klejnotów – Ratnapurę.

W momencie odjazdu z dworca rozpoczyna się szaleńcza jazda autobusu. Czegoś takiego jeszcze nie było. Kierowca zgarbiony, z błyskiem w oku niczym łowczy wymija wszystko co możliwe i to najlepiej w ostatniej chwili. Na dodatek autobus prowadzi boso, bo jakżeby inaczej. Trzeba trzymać się dobrze siedzeń, bo inaczej zjazd z siedzenia murowany. Iwona ma najgorzej, bo siedzi na pierwszym siedzeniu przed drzwiami, i nie ma o co się zapierać. Chce nawet wysiadać, ale bilety już zapłacone. Jakoś trzeba to przetrzymać.

Paweł siedzi koło Lankijczyka, który próbuje go zagadać. Okazuje się, że gość przez cztery lata był w Anglii i pracuje jako fizjoterapeuta w szpitalu. Zarabia tutaj 15 tysięcy rupii, czyli około 600 zł. Mało, ale wystarczająco, skoro ubrania na bazarach są po 100 rupii, jedzenie również po 100 rupii, nie mówiąc już o lokalnym transporcie.

Po 3,5 godzinach jazdy powoli docieramy do Kolombo. Oczywiście im bliżej stolicy, tym jedziemy coraz wolniej, bo zwiększa się ruch uliczny i w końcu trafiamy na korki. Jedziemy przez południową część nową stolicę Sri Lanki - Sri Dżajawardanapura Kotte, zwana potocznie Kotte. Jest to siedziba parlamentu i rządu tego kraju. Miasto leży na południowych przedmieściach największego miasta kraju i dawnej stolicy - Kolombo. Parlament Sri Lanki wybrał Kotte na swoją siedzibę i nową stolicę państwa 29 kwietnia 1982 roku. Kotte między XIII a XVI wiekiem było stolicą Królestwa Kotte. W XX wieku nastąpiła przyspieszona urbanizacja. W 1977, gdy rząd

wybrał miasto na nową stolicę, osuszono okoliczne bagna, na których miejscu powstało duże jezioro. Na wyspie pośrodku tego jeziora wybudowano budynki parlamentu. Mimo że Kotte jest stolicą Sri Lanki już ponad ćwierć wieku, proces przenoszenia instytucji rządowych z poprzedniej stolicy wciąż trwa.

Kierowca wyrzuca nas na skrzyżowaniu. Tutaj bierzemy dwa tuk tuki, aby podjechać pod znany hotel Nippon, obok którego ma znajdować się tani guest house. Dziewczyny zostają pod hotelem, a my z Pawłem idziemy szukać. Najpierw trudno go znaleźć, ale w końcu jest. Nazwa City Heaven Hotel, ma niewiele wspólnego z niebem. Na schodach zabijam karalucha, a pokoje są norkowate i cena dość spora. Paweł telefonicznie jeszcze negocjuje cenę z głównym właścicielem budynku. No dobra trudno zostajemy tu. To właściwie jeden nocleg i dzień. Wracamy pod hotel Nippon, gdzie Iwona z nudów była na recepcji i pokoje są po 2250 rupii, to tylko 250 rupii więcej niż w tej dziurze obok. Co za fart. Taki hotel i taka cena. Olewamy więc norę i pakujemy się do hotelu. Dostajemy dwa stare, nie pierwszej młodości pokoje, ale za to pokaźnych rozmiarów. Hotel ma swoją starą duszę. Wszystkie korytarze i schody drewniane. Pachnie trochę jak nasze schroniska młodzieżowe. Ale jest tu coś fajnego. I jeszcze na recepcji możemy zamówić taksówkę w nocy na jutro, która zawiezie nas na lotnisko.

Colombo jest największym miastem i dawną stolicą Sri Lanki (obecnie tą funkcję sprawuje Sri Dżajawardanapura Kotte). Znajduje się na zachodnim wybrzeżu wyspy. Colombo jest tętniącym życiem miastem, w którym miesza się wygodą współczesnego życia i piękne ruiny kolonialnych budynków. Region Metropolii Colombo obejmuje dzielnice: Colombo, Gampaha i Kalutara.

Okolice Kolombo od dawna była zamieszkiwana, głównie przez muzułmańskich żeglarzy, którzy w VIII wieku założyli tu mały port handlowy. Miasteczko jednak pozostawało na uboczu wielkich wydarzeń z historii wyspy, aż do XVI wieku, kiedy to pojawili się tu Europejczycy.

Ze względu na duży port morski i jego strategiczne położenie w obszarze szlaków morskich prowadzących ze wschodu na zachód, miasto Colombo było znane już nawet starożytnym kupcom około 2000 lat temu. Jednak jako że największe znaczenie Sri Lanka zyskała dopiero pod panowaniem Imperium Brytyjskiego, we wcześniejszych latach nie ściągnęła w to miejsce zbyt dużego kapitału. Od czasu odzyskania niepodległości w 1948 roku, Colombo stało się handlowym centrum wyspy, do którego przyjeżdżają inwestorzy z całego świata.

Centrum miasta, to jednak nie tylko biura międzynarodowych korporacji, ale również liczne restauracje i miejsca rozrywki. Nocne życie w Colombo jest organizowane również z myślą o turystach, można więc znaleźć tam podobne lokale, jak w setkach innych miast turystycznych na świecie.

Do znanych zabytków Colombo należą: stary fort, Muzeum Narodowe, Dutch Period Museum (Muzeum Okresu Holenderskiego) oraz liczne świątynie buddyjskie, hinduistyczne i muzułmańskie, których wyznawcy doskonale koegzystują w jednym mieście.

Szczególnie istotne jest Muzeum Narodowe w Colombo, największe w Sri Lance, które otwarto w 1877 roku za czasów kadencji gubernatora Sir Williama Henry Gregory'ego. Budynek znajduje się w pięknym cynamonowym ogrodzie. Wśród eksponatów znajdują się między innymi klejnoty koronne i tron ostatniego króla Królestwa Kandy, Sri Vikrama Rajasinha. Bardzo często są w nim też organizowane specjalne wystawy, dotyczące starożytnej historii wyspy.

Stolica Sri Lanki jest ciekawą mieszaniną różnych kultur, nabożeństw i narodowości. Znaczenie miasta, jako portu handlowego, wzrosło w XVI wieku, po przyjeździe Portugalczyków.

Pod panowaniem holenderskim a później brytyjskim, miasto dalej się rozwijało. Do dziś możemy tutaj znaleźć resztki kultury europejskiej w postaci kościołów katolickich, ewangelickich oraz anglikańskich. Te znajdują się zwłaszcza w dzielnicach Fort lub Pettah.

Dzielnica Fort nosi imię według wojskowych koszarów, które tutaj zbudowali zwłaszcza Brytyjczycy. Tutaj także można odwiedzić Pałace Prezydenckie (Janadhipathi Mandiraya). W pobliżu jest także przepiękna budowla z piaskowca, gdzie ma siedzibą rząd oraz prezydent. Budynek ten jest bardzo podobny do angielskiego Whitehall.

Galle Face Green – jedną milę długa strefa dla pieszych, która na południu graniczy z dzielnicą Fort, jest najżywszym miejscem w mieście a także idealnym miejscem odkąd można

wieczorem, w spokoju na ławeczce, podziwiać zachodzące słońce. W pobliżu znajdują się wszystkie znane hotele. Można tutaj znaleźć hotel Galle Face Hotel, zbudowany w roku 1864, Hotel Intercontinental, pierwszy nowoczesny, pięć gwiazdeczek posiadający hotel na Sri Lance, Hotel Galadari, Hotel Taj Samudra, Colombo Hilton, Lanka Oberoi oraz Holiday Inn.

Dzielnica Fort jest także bardzo atrakcyjna dla kupujących – znajduje się tutaj mnóstwo starych sklepów, specjalizujących się na sprzedaż kamieni szlachetnych, jedwabiu, starych znaczków pocztowych i jakościowego ubrania skózanego. Tutaj właśnie można odwiedzić monumentalny hotel Oriental z restauracją Harbour room, która kiedyś służyła jako karczma dla kapitanów i marynarzy, którzy przybywali do Kolombo z całego świata.

Dzielnica Pettah, która wcześniej wytwarzała zewnętrzną granicę dzielnicy Fort, jest dzisiaj najżywszym bazarom w mieście. Są tutaj ulice pełne sprzedawców ubrań, przypraw, dalej ulice złotników, jubilerów oraz ulice handlowców z ryżem, cukrem lub papryką.

Po wykapaniu idziemy do miasta. Najpierw tuk tukiem jedziemy do dzielnicy Petah przy dworcu kolejowym i autobusowym. Jest to jak już wyżej wspomniałam dzielnica handlowa – bazarowa. Jednak czegoś podobnego nie widziałam jeszcze nigdy i nigdzie. To jest dosłownie wielki bazar, wypełniony ludźmi i towarami, często w sprzedaży hurtowej na wiele kilogramów. Ścisk momentami jest tak wielki, że nie wiadomo jak poruszać się dalej. Mijają nas pełne ciężarówki, wózki ciągnięte przez chudych Lankijczyków, ale zapakowane tak, że wielokrotnie przewyższają to, co właściwie powinno być wpakowane na ich wózek. Aż dziw, że mogą to własnoręcznie pchać. Oczywiście ruchowi ludzi i transportu towarzyszy straszna wrzawa ludzkich głosów. Tu w ciągu dnia musi być sprzedawana gigantyczna ilość towarów. Kupujemy również i my, kolejne paczki herbaty, cynamon. W jednym ze sklepików poznajemy sprzedawcę, który na słowo Polska, reaguje bardzo żywiołowo i krzyczy Jaruzelski. Chyba jakiś komunista. Idąc dalej trafiamy na uliczkę ryżową, gdzie w każdym z magazynów siedzą sprzedawcy, którzy na stołach mają poustawiane dziesiątki miseczek z różnymi gatunkami ryżu. I jak tu coś wybrać???

W pobliżu meczetu Dżami ul Alfar zastaje nas mała ulewa. Meczet został wzniesiony w 1909 roku w biało-malinowe wzory, którymi ozdobiono łuki, wieżyczki, kopuły, co sprawia, że ma się wrażenie baśniowego zameczku.

Po drodze jemy bardzo ostre curry i pijemy świeży sok pomarańczowy z... lodem i kranową... no po miesiącu pobytu w Azji nie powinno nam chyba zaszkodzić. Aha i jeszcze jest w nim cała tona cukru.

Kiedy wychodzimy z małych uliczek Pettah na główną, tam też ruch gigantyczny. Właściwie to wszystko stoi w korku, a kto ma mniejszy pojazd, to jakoś udaje mu się prześliznąć, a to poboczem, a to jakąś luką, Kiedy wchodzimy w jeden z zakamarków budynku., okazuje się, że w starych zabudowaniach partery to ciągnące się korytarzyki sklepików. Korytarzyki łączą się z innymi budynkami. Jest tu przynajmniej cicho, ale panuje taki zaduch, że trzeba jak najszybciej się stąd ewakuować. Paweł chce obejrzeć pobliskie Muzeum Czasu Holenderskiego. Ja postanawiam posiedzieć na schodkach. Wracamy potem pod meczet, bo tutaj umówiliśmy się z Ašką i Iwoną. Muzułmanin prowadzący restaurację na przeciw meczetu zaprasza nas na zupę. Czyżby to był dobry uczynek, danie starganemu podróżnemu posiłku? No to ci jałmużna. Tak na marginesie w większości tutejszych sklepów, sprzedawcy to muzulmanie.

W końcu czas się stąd ewakuować. Niestety trochę to trwa, bo też musimy się precyzyjnie przez zatłoczoną ulicę, rikszami, pojazdami, ludźmi i towarami. Stąd już blisko do dzielnicy fortowej. Tu trafiamy na kilka kolonialnych budynków, w których mieszczą się sklepy pamiątkami, ale również supermarket i KFC, gdzie ostatecznie zjedamy lody.

Czas wracać. Przy budynkach tutejszego Wolrd Trade Center latają ogromnych rozmiarów latające lisy (takie jak w Indonezji). Ciekawe, że wybrały sobie na egzystencję tak duże miasto.

Tuptamy sobie do hotelu i tuptamy, zamiast wziąć tuk tuka. Jakoś daleko okazuje się być nasze miejsce noclegowe. Na dodatek znowu zaczyna padać. Ledwie żywi wracamy do hotelu i odpływamy w sen...



**04.08.2011 (czwartek)**

Za szybko wczoraj poszłam spać i niestety budzę się koło 6. Próbuję trochę spać, ale nic z tego. Wyspałam się. Koło 9 zwalniamy jeden pokój i przenosimy się do dziewczyn, po czym postanawiamy zejść do hotelowej restauracji, a właściwie takiego śniadaniowego baru.

Po śniadaniu ruszamy na spacer po mieście. Najpierw idziemy nad jezioro Beira, tu trafiamy do dwóch świątyń. Pierwsza z nich to buddyjska Seema Malaka. Jej małe budynki są rozmieszczone na trzech platformach odbijających się w lustrze wody jeziora Beira, zaprojektowana została przez najwybitniejszego architekta XX wieku Geofffreya Bawę. Szeroki okap pokrytego dachówką dachu podtrzymuje drewniana więźba przechodząca w ażurowe ściany. W ten sposób wewnątrz zyskało ochronę przed tropikalnymi ulewami, ale nie zostało zamknięte na niosący ochłodę wiatr. Wchodzimy mostkiem na wyspę położoną na jeziorze Beira mijając grupkę Polaków. Na latarniach w pobliżu jeziora siedzą wielkie pelikany cud, że te latarnie wytrzymują taki ciężar.

Niedaleko jeziora znajduje się druga świątynia Gangaramaja. Główną kaplicę niemal w całości wypełnia potężna pomarańczowa figura Buddy, któremu towarzyszy tłumek bóstw. O jednej stronie zacisznego dziedzińca na podwyższeniu rośnie drzewo Bo, a tu i ówdzie stoją kaplice poświęcone innym bogom. Jest tu też muzeum, które pęka w szwach od zgromadzonych staroci, kiczowatych i chaotycznie zebranych różności, które trafiły tu w charakterze wotów, składanych od stuleci przez wiernych. Na półkach wzrok przyciągają rzeźby z drewna sandałowego, i kości słoniowej, mosiężne posążki bogów, całe stosy starych monet. Jednak najdziwniejszy jest zbiór starych samochodów, maszyn drukarskich i nie wiem dlaczego leży tu kilka... muszli klozetowych. W ogóle ta świątynia jest dziwna. Nie dość że jest niczym skład jakby rzeczy niechcianych, to jeszcze niby buddyjska, a znajdują się w niej kapliczki z bóstwami hinduistycznymi jak np. z bóg słoń – Ganesza.

Idziemy dalej obchodząc jezioro. Iwona znika do muzeum narodowego, a my idziemy na bulwar.. Po drodze spotykamy dużo policji i wojska. Wszyscy uzbrojeni, zabezpieczają ulice. Podobno jest to wynik tego, że prezydent przemieszcza się dzisiaj po Kolombo.

Trafiamy na sklep Crescat, który jest dużym domem towarowym o standardzie europejskim. Jest tu dużo obcokrajowców i Lankijczyków, ale tych z bogatych sfer. Sklepy, które się tu znajdują mają horrendalne ceny. Nie ma szans, aby cokolwiek kupić. Jest za to supermarket, w którym ku mojej wielkiej radości znajduję w końcu indyjskie mydełka z kilkunastoma ziołami. W tym domu handlowym mają super kawiarnie, trochę jak w naszych krakowskich galeriach, ale tu przynajmniej ceny niskie. Wypijamy kilka soków ze świeżych owoców i zjadamy puchar lodów. No i możemy iść dalej.

Kiedy trafiamy na bulwar nadmorski czyli tzw. Galle Face Green, możemy podziwiać kilka hoteli. Myśleliśmy, że będzie tu zielony park, ale jest tu tylko zielenic z wyschniętą trawą, bez drzew. Miejscowi spacerują tutaj, spotykają się ze znajomymi, czy też puszczają latawce. Przy bulwarze znajduje się najsłynniejszy hotel Galle Face, który pochodzi z czasów kolonialnych i został wybudowany w 1864 roku. Szczyci się wyjątkowo licznym personelem w przeliczeniu na gościa. O dziwo można tam wejść i pospacerować, po najniższym poziomie. W holu ruch duży, bo sporo tu obcokrajowców, ale w dwóch sala odbywają się właśnie dwa lankijskie wesela. W owym holu stoją stoły, na których dla państwa młodych zostawia się prezenty. Na każdym stoi stos okazałych pakunków. Co jakiś czas, któraś z par młodych przemyka przez korytarz ustawiając się do rodzinnego zdjęcia. Niesamowite jest to, iż znajdują się tu popiersia słynnych gości. Jedno jest szczególne, bo należy do.. Jurija Gagarina. Jest też pamiątkowa tablica ze słynnymi gośćmi, którzy tu nocowali.

Idziemy dalej promenadą, gdzie sprzedawcy latawców i dmuchanych balonów sprzedają owe badziewia rodzinom. Pelikany szczególnie mocno okupują latarnie wzdłuż całego wybrzeża.

Nasza droga dalej biegnie do fortu, który znajduje się na końcu bulwaru. W centrum kolonialnego Kolombo rozciąga się dzielnica fortowa, ale po dawnych umocnieniach nie ma już

śladu. Twierdzę założyli tu Portugalczycy w 1517 roku, a Holendrzy ją rozbudowali ją, by broniła intratnego handlu szafirami, słońiami, cynamonem i kością słoniową. W XIX wieku pod rządami Brytyjczyków, miasto rozrosło się, a fortyfikacje przestały być potrzebne, ich miejsce zajęły budowle, które miały podkreślić chwał Europejczyków. Dzielnica nadal zachowuje swój stary brytyjski charakter. W każdej z wąskich uliczek można trafić na zabudowania kolonialne. Niestety dawny urok został zmałowany przez wojnę domową oraz powtarzające się zamachy bombowe. Stąd handel przeniósł się do innych dzielnic, a to miejsce znacznie opustoszało. Większość dzielnicy fortowej jest zamknięta i zabarykadowana bramkami i wojskiem, gdyż znajduje się tu dom prezydenta. Szczególne środki ostrożności mają zapobiec zamachowi na niego. Stąd też zobaczenie czegokolwiek w dzielnicy fortowej jest trudne. Nawet pobliski port morski jest niedostępny otoczony murem i kordonem wojska. Park, który tu się znajduje leży w pobliżu domu prezydenta, a więc nie ma możliwości jego zobaczenia.

Idziemy najpierw do tutejszego kościoła, ale niestety jest zamknięty. potem czas na latarnię morską, została zaprojektowana przez żonę brytyjskiego gubernatora po to, by choć trochę zdyscyplinować notorycznie spóźniających się obywateli pod rządami jej męża. Latarnia ponadto do lat 50 służyła marynarzom, potem jednak została zasłonięta przez wieżowce i straciła znaczenie.

Tak o to mijają dzień, trafiam jeszcze na zakupy szukając tuniki. W jednym ze sklepów kupuję cudną zieloną. Tego mi właśnie było trzeba. Później wracamy tuk tukiem do hotelu położonym na tzw. Wyspie Niewolników. Obszar ten nazwany został tak dlatego, że Holendrzy niegdyś więzili tu niewolników. Wtedy rejon ten zewsząd otaczało jezioro Beira, później częściowo osuszone w celu pozyskania gruntu. Jeśli niewolnicy uciekali, poddawani ich chłóście, a na skórze wypalano im piętn. W wodzie trzymano krokodyle, żeby nie usiłowano przepływać wód jeziora.

Wieczorem jeszcze wypad do tutejszego lokalnego baru na ostatnie ostre wołowe kottu, które wypala nam przełyk, co muszę po drodze zagryźć bułeczką. Wchodzimy jeszcze do hinduistycznej świątyni, w której trwają uroczystości i łomot dzwonków, czy czego to jest przeraźliwy.

No i czekamy do 1 w nocy, aby odjechać na lotnisko. Przed hotelem czeka na nas minibus, który po niespełna godzinie dowozi nas na lotnisko za Kolombo. Większość miasta śpi. Gwaro jest tylko między dworcem kolejowym i autobusowym, to tutaj przecież jest największy handel hurtowy. Nie ustaje nawet w nocy. Oczywiście jadąc przez śpiące miasto zostajemy skontrolowani przez policję, a na jednym ze skrzyżowań trwa mecz krykieta...Drużyny mają nawet swoje grupowe stroje. To jest dopiero coś...

## **05.08.2011 (piątek)**

Siedzimy na lotnisku od 2 w nocy. Przy wyjściu z gate'u poznajemy dwie Polki z Łodzi, które tak jak i my jeździły po Sri Lance. Samolot spóźnia się 45 minut. Wylatujemy dopiero o 5:15. Za oknem rozpoczyna się czerwony wschód słońca. Zjadamy śniadanie i od razu zapadamy w sen. Budzę się 20 minut przed lądowaniem w Szardży. Pod nami pustynia z piaskiem. Przesuwam zegarek o 1,5 godziny do tyłu i robi się 7:45. o 10 mamy kolejny samolot do Kijowa.

Lankijki, które z nami leciały przesiadają się na samoloty do Bahrajnu, czy Omanu. Zapewne jadą do pracy. Biegamy jeszcze po sklepach, ale nic nie kupujemy. Punktualnie o 10 samolot startuje. Czas na obowiązkowy posiłek czyli biryani. Tym razem w samolocie lecą z nami opaleni Ukraińcy poubierani w spodenki z obowiązkowymi skarpetkami i w sandałach. Po prawie 5 godzinach lądujemy w Kijowie. Mimo tego, że samolot jeszcze się nie zatrzymał ukraińscy turyści wstają i wypakowują bagaż podręczny. Stewardessy bardzo stanowczo i ku niezadowoleniu pasażerów usadzają ich na miejscach.

Po wylądowaniu próbujemy znaleźć transport do centrum Kijowa. Trafiamy na nieprzyjemnego gościa z piwem, który jest jednocześnie kierowcą, autobusu 322, który najpierw nie chce nas zabrać, ale w końcu zabiera. No i po azjatyckiej uprzejmości, europejska i ukraińska gościnność. Odechciewa się wszystkiego. Jedziemy 45 minut z kierowcą po piwie.... Dojeżdżamy

do stacji metra i jedziemy jedna z linii do centru. Potem dosłownie kawałeczek i trafiamy do Dream Hostel na ulicy Czerwonoarmijskiej. Ostatecznie w hostelu lądujemy o 17. Idziemy się rozpakować, umyć i później coś zjeść i na mały spacer po okolicy. I tyle na dzisiaj, bo jednak nieprzespana noc i przesunięcie czasu do tyłu powodują, że padamy na pysk...

### **06.08.2011 (sobota)**

Dzisiejszy dzień przeznaczamy na zwiedzanie stolicy Ukrainy. O 9 idziemy na śniadanie, a potem metrem śmigamy do Ławry Peczerskiej – ogromnego kompleksu świątynnego, potem cerkiew Andrzeja, dalej cerkiew o złotych kopułach, gdzie wjeżdżamy kolejką linową po wzgórzu, coś takiego było w Lizbonie.

Dalej czas zobaczyć cerkiew Sofię oraz Złotą Bramę. Wszędzie dookoła mijamy Ukrainki ubrane w kuse sukienki, w szpilkach. Na dodatek większość sukienek ma wzór panterki. I po co jechać na Sri Lankę oglądać leopardy? Skoro można je zobaczyć w Kijowie.

Dzień kończymy późnym obiadem i spacerem do marketu, gdzie można kupić duriana który kosztuje bagatela 220zł. Niedaleko naszego hostelu kończy się budowa stadionu na Euro 2012. W ogóle Kijów ma wiele ciekawych miejsc do zobaczenia, ale poza centrum są gigantyczne blokowiska, które są szare i przygnębiające. Nasze polskie osiedla z wielkiej płyty wyglądają znacznie lepiej, choć do tej pory myślałam, że nic gorszego nie może być.

### **07.08.2011 (niedziela)**

Wstajemy i zjadamy w pokoju śniadanie, które kupiliśmy wczoraj w markecie. O 10:30 opuszczamy hostel i metrem jedziemy do dworca kolejowego, skąd mają odchodzić autobusy na lotnisko. Wsiadamy do busa i jedziemy. Na lotnisku nadajemy bagaże, samolot odlatuje punktualnie. Popołudniu jesteśmy w Krakowie i w domu. Iwona odpala samochód zostawiony miesiąc temu na naszym osiedlu, ale nie chce ruszyć. Paweł musi wyjechać naszym samochodem i podłączyć samochód Iwony do naszego i podładować jej akumulator. Aśka wraca do domu jutro pociągiem.

### **Zakończenie...**

Sri Lanka... to taka niekłopotliwa wyspa. Całkiem fajna do podróżowania, na dodatek bardzo łatwego. Ze względu na swoje rozmiary nie trzeba tu myśleć o pokonywaniu dużych odległości, a tym bardziej jeździć nocą. Ma dużo atrakcji do zobaczenia w niewielkiej odległości i to chyba zasadniczy powód dla którego ściągają tu tłumy turystów z całego świata, niezależnie od pory roku. Niestety owi turyści napędzają ceny. Tam gdzie turysta masowy, tam wysokie ceny. Parki narodowe w tym przodują. Gdziekolwiek byliśmy wcześniej w Azji, to z takimi opłatami nie mieliśmy do czynienia. Jednak tam gdzie masowy turysta nie sięga, czyli lokalny transport, bary – jadłodajnie, czy guest housy, tam z kolei jest wybornie tanio.

Sri Lanka to znakomite miejsce dla tych, którzy nie chcą zwiedzać, a wolą spędzić czas na plaży (tylko ile można...). Plaże są tu cudowne – szerokie, piaszczyste no i pod palmami. Za to ci, co lubią naturę znajdą wiele możliwości jej podziwiania. Na niewielkiej powierzchni jest tu wiele różnorodnych parków narodowych, w których można zobaczyć całą masę zwierząt, są też stare miasta z wielowiekowymi zabytkami. Każdy na wyspie znajdzie coś dla siebie.

Sri Lanka, niby prawie Indie, a jednak nie. Pierwsze co rzuca się w oczy to, większy porządek, są tu nawet przystanki autobusowe. Nie ma na ulicach jednak aż tak kolorowo jak w Indiach, bo Lankijki raczej w sari nie chodzą. Ponadto nie ma tu świętych krów, bo i główną religią wyspy jest buddyzm, a nie hinduizm jak w Indiach. Nie ma tu też takiej biedy jak w Indiach. Owszem jest tu sporo do zrobienia, ale tak jak w całej Azji spotkaliśmy wielu sympatycznych ludzi

i mam nadzieje, że zostanie tak na długo. Tutaj podobnie jak w Indiach ludzie mówią po angielsku, więc nie ma problemu z komunikacją.

Stolica Kolombo, mnie nie powaliła. Tłoczne miasto, z fragmentami zabytków. Równie dobrze można je ominąć. Więcej ciekawych rzeczy jest we wnętrzu wyspy.

Sri Lanka to na razie jedyny kraj Azji, gdzie mogłam zjeść normalne śniadanie. Dzięki tysiącom małych sklepików można na każdym kroku kupić nadziewane bułeczki, a nie jeść z samego rana zupę lub setny omlet. A na obiad można zjeść rice and curry i za każdym razem doznawać zdziwienia, jak można je przyrządzić. Oczywiście należy pamiętać, aby kelnerowi powiedzieć, aby zaserwował nam danie bez chili, bo inaczej nie poczujemy smaku potrawy, a coca cola pita do obiadu, wcale nie będzie smakować. Równie dobrze można napić się oleju... po wypaleniu przetyku ostrą chili przez dłuższy czas nie czuje się smaku jedzenia.

Ah, no właśnie i jeszcze herbata... na Sri Lankę warto pojechać dla herbaty, dla herbacianych plantacji, dla Tamilek zbierających listki, dla degustacji tutejszej herbaty i dlatego, aby kupić tonę herbaty, a potem ją pić w domu i wspominać jaka to jest Sri Lanka...

A czy wrócę na Sri Lankę? Raczej nie, bo to co chciałam zobaczyć, to zobaczyłam, a jeszcze wiele miejsc w Azji jest do zobaczenia. Sri Lankę zostawiam już innym.